

KATARZYNA RUPIEWICZ

# ŚWIAT W PUDEŁKU



# Spis treści

## Rozdział 1

A – 3 lata wcześniej

## Rozdział 2

Marie – 10 lat wcześniej

## Rozdział 3

Li – 16 lat wcześniej

## Rozdział 4

Mika – 8 lat wcześniej

## Rozdział 5

Al – 35 lat wcześniej

## Rozdział 6

Tymoteusz – 25 lat wcześniej

## Rozdział 7

## Rozdział 8

Mark – czas obecny

A – piętnaście minut wcześniej

Mark - nieokreślona liczba godzin później

Dag – siedem miesięcy później

## Epilog

*Damianowi,  
bo przy Tobie Świat stał się mniej przerażający*

## **ROZDZIAŁ 1**

W nocy wszystkie miasta dawnej cywilizacji stawały się podobne. Za dnia różniły się wielkością i stopniem zniszczenia, a także barwami, zawsze wyblakłymi, lecz mieniącymi się odcieniami szarości, brązu, czerwieni i czerni. Jedynie zieleń wybujałej roślinności wdzierała się w tę przestrzeń soczystymi kolorami.

Teraz jednak było ciemno i od wielu godzin padał deszcz, więc ledwie widziałam zarysy mijanych budynków.

Nie wiem, jak długo już szłam. Dni? Tygodnie? Nawet ktoś taki jak ja odczuwał zmęczenie. Może wytrzymałabym na ulicy do świtu, gdyby kolejne fale dreszczy nie roznosiły zimna po całym ciele. Miałam na sobie jedynie płaszcz, który kleił się do skóry i od dawna już nie chronił przed ulewą. Pragnienie ciepła było jedynym uczuciem, które jeszcze we mnie nie zgasło.

Wybrałam solidne drzwi największego budynku, jaki zdołałam wypatrzeć. W takich miejscach częściej mieszkały wspólnoty złożone z wielopokoleniowych rodzin – mniej groźne dla samotnej kobiety. Zapukałam, najpierw cicho, potem drugi raz głośniej. Na tyle, na ile mogłam to ocenić, okolica wyglądała na zadbaną, więc może znalazłam się w jednym z tych miejsc, gdzie drzwi otwiera się nawet po zmroku.

Klucz szczęknął głośno i zobaczyłam dziewczynę w żółtym płaszczu. Miała krótkie kasztanowe włosy i nieco chłopięcą sylwetkę, co wcale nie odbierało jej uroku. Podejrzywałam, że wśród ludzi uchodziła za całkiem

ładną. Dla mnie jednak najważniejsze były pełne policzki i ciepłe ubranie, które dobrze świadczyły o wspólnocie.

– Mogę zostać na jedną noc? Proszę – powiedziałam, z trudem zmuszając zdrętwiałą z zimna twarz do określonego ruchu.

– Nie znam cię – warknęła dziewczyna.

– Tylko jedna noc, jest tak potwornie zimno...

Zmierzyła krytycznym spojrzeniem moje spływające w długich strąkach włosy i znaleziony w zaułku płaszcz. Przełknęła ślinę, a potem obejrzała się, jakby liczyła na pomoc kogoś z głębi budynku.

– Właż – powiedziała z nutą niepewności w głosie.

Często słyszałam, że w dzisiejszych czasach nie ma już dobrych ludzi. Tak mówili ci, którzy nigdy nie byli zdani na łaskę innych.

Weszłam do bardzo przestronnego i niemal zupełnie pustego korytarza. Nie zrobiło się dużo cieplej, ale przynajmniej ściany osłoniły mnie przed wiatrem i deszczem. Dziewczyna zamknęła drewniane drzwi staroświeckim kluczem, a potem wybrała, w określonej kolejności, symbole na elektronicznym terminalu. Ciężka metalowa gródź opadła z sufitu, odcinając nas od świata zewnętrznego.

Gospodyni bez słowa poprowadziła mnie do zepsutych ruchomych schodów i kazała iść przodem. Dopiero gdy jej stopy nie wydały żadnego dźwięku na metalowych stopniach, zauważyłam, że zamiast butów nosi grube czerwone skarpety.

– Wszystko w porządku, Marie? – krzyknął ktoś z góry.

Na korytarzu i na schodach działały tylko pojedyncze LED-y, więc nim spostrzegłam mężczyznę, było już za późno. Nagle poczułam pulsowanie z tyłu głowy i wiedziałam, że on również wyczuł pojawienie się mocy. Szaman! Co robił w takim miejscu?!

Zbiegł do mnie, słusznie zgadując, że pomyślę o ucieczce, i zastygliśmy w bezruchu, patrząc na siebie szeroko otwartymi oczami. On także się zdziwił. Przez chwilę podejrzewałam, że bardziej niż ja, ale zaraz uśmiechnął się drapieżnie.

– No proszę, kukiełka – powiedział.

Na pewno miał mniej niż trzydzieści lat, i to sporo mniej. Połowa jasnych włosów była króciutka i sterczała na sztorc, a połowa długimi pasmami opadała miękko na ramiona. Nosił lnianą pelerynę, która skrywała jego sylwetkę aż do ciężkich wojskowych butów. Trudno było takie zdobyć nawet u dobrze zaopatrzonych kupców. Wyglądał bardziej na przywódcę grupy religijnej albo gangu niż na szamana.

Patrzyłam na niego zaskoczona i przerażona. Podszedł do mnie z podniesioną brodą i pewnością siebie człowieka, który nigdy nie musiał błagać o litość. Bez trudu pociągnął mnie za rękę do najbliższego pomieszczenia na piętrze. Było puste i oświetlone tylko słabym ledowym poblaskiem.

– Pierwszy raz widzę dorosłą kukiełkę – stwierdził, rozpinając guziki mokrego płaszcza. – Ale na niewolnicę seksualną to ty się słabo nadajesz.

Udał, że krytycznym spojrzeniem ocenia małe piersi i wychudzone ciało. W rzeczywistości wyglądał, jakby ze wszystkich sił starał się zapanować nad uśmiechem. Wbrew temu, co powiedział, moja dorosłość zdawała się nie robić na nim wrażenia. Zrzucił ze mnie ubranie, a potem ściągnął swoją pelerynę. Zwróciłam uwagę tylko na duży nóż przypięty do uda. Do otwartych drzwi odważyła się zbliżyć dziewczyna, która mnie wpuściła.

– Sam, daj spokój. – Starła się nadać drżącemu głosowi obojętny ton.  
– Spójrz na nią, jest śmiertelnie przerażona.

– Nie wtrącaj się, Marie – mruknął.

Podszedł do ściany i naciskając odpowiedni symbol, aktywował drzwi, które zatrzasnęły się pomiędzy nami a dziewczyną.

– Nie zdejmuj spodni – wyjąkałam.

– Głupia! – roześmiał się. – Przecież nic ci nie zrobię.

Wiedziałam o tym bardzo dobrze. Pewnie chciał umocnić swoją kontrolę. Tyle tylko, że bardzo się pomylił, biorąc mnie za zwykłą kukiełkę. Byłam pudełkiem. Zbyt duża powierzchnia styku z moim ciałem mogła go zabić.

Nie martwiłabym się tym, gdybym nie została odcięta od świata w budynku, którego nie znałam. Jeśli szamanowi coś się stanie, nie będę nawet w stanie otworzyć drzwi, a co dopiero uciec przed jego wspólnotą.

Usiadłam na podłodze i objęłam się ramionami. Nie ze wstydu. Po prostu było mi coraz zimniej i niemal cieszyłam się na myśl o ciepłe, którym mimowolnie obdarzy mnie mężczyzna. Wiedziałam jednak, że po tym, co zobaczy, może wyrzucić kukiełkę na mrok i deszcz. Jeśli przeżyje.

Zdjął kamizelkę i koszulę, a potem uklęknął za mną.

– To nie potrwa długo – powiedział łagodnie.

Nie spodziewałam się nieśmiałości w jego głosie. Objął mnie delikatnie, a myśl, że najwyraźniej nie robił tego zbyt często, wcale nie dodawała mi otuchy.

Poczułam jego pierś na plecach i ściskające mnie mocno uda. Umysł szamana wniknął powoli do mojego wnętrza, ale na szczęście nie próbował zapuszczać się zbyt głęboko. Byłam pudełkiem – nie mógł tego wiedzieć wcześniej. Złośliwy los uczynił mnie cienką skorupką, niosącą w sobie ocean mocy.

Tacy jak ja nie powinni istnieć.

Szaman puścił mnie gwałtownie. Przez krótką chwilę czułam jego strach, nim zerwał połączenie. Zwinęłam się w kłębek, bo chłód wrócił do mnie ze zdwojoną siłą, gdy mężczyzna się cofnął.

– Ścigają cię – stwierdził albo spytał, nie potrafiłam tego rozpoznać.

– Tak.

– Ja i moi ludzie nie będziemy bezpieczni, jeśli tu zostaniesz?

Głos drżał mu lekko. Posiadanie kukielki przestało go bawić.

– A czy będziecie bezpieczni, jeśli mnie złapią? – wyszeptałam. – Tylko jedna noc. Proszę, jest tak strasznie zimno.

Zamknęłam oczy, bo czułam się zbyt zmęczona, by kłamać albo mieć nadzieję. Położyłam się na betonowej podłodze i chociaż kolejne dreszcze wstrząsały moim ciałem, nie miałam siły, żeby wstać.

– I co ja mam zrobić z czymś takim jak ty? – powiedział głośno.

Nie „kimś takim”, zupełnie jakbym nie czuła i nie cierpiała tak samo jak on. Ubrał się powoli. Podszedł i otulił mnie brązową peleryną. Materiał był szorstki, ale za to suchy. Mężczyzna podniósł mnie bez trudu. Musiałam być dla niego lekka, jak pusta skrzynka.

Kiedy nacisnął łokciem na panel, metalowe drzwi otworzyły się z głośnym trzaskiem. Szaman niósł mnie gdzieś długim korytarzem, a ja cieszyłam się chwilowym ciepłem, które, w przeciwieństwie do zimna, nie sięgało do kości.

Aktywował inny panel i otworzyły się przed nami drzwi pomieszczenia znacznie większego i jaśniejszego niż poprzednie. Pośrodku sali stały metalowe kosze, w których płonął prawdziwy ogień, a po obu stronach leżały rzędem sienniki. Na większości z nich siedzieli kolorowo ubrani ludzie, którzy umilkli na nasz widok.

Mężczyzna położył mnie na jednym z legowisk i przykrył kocem. Wyszedł bez słowa, odprowadzany równie milczącymi spojrzeniami

wszystkich obecnych. Zamknęłam oczy. Zapewne gapili się na mnie teraz, ale nie potrafiłabym się tym przejmować. Mimo że dawno nie byłam w tak ciepłym i suchym pomieszczeniu, wciąż się trzęsłam.

Nie mogłam też zasnąć, choć wiele bym dała za jedną przespaną noc. Ludziom zwykle wydaje się, że nie śpimy, co nie jest prawdą. W przeciwieństwie do nich możemy kontrolować potrzeby ciała, ale nie przestajemy ich odczuwać.

Ktoś dotknął mojego ramienia i lekko zacisnął na nim palce. Zrozumiałam, że muszę otworzyć oczy i zareagować na próbę nawiązania kontaktu.

Obok siedziała Marie z wyraźnie zakłopotaną miną. Podała mi kubek wypełniony gorącym ziołowym napojem. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że tym się właśnie zajmowali. Korzystając z szamańskiej wiedzy Sama, sprzedawali ludziom spokój ducha, zdolność czuwania albo sztuczne szczęście.

Ciepło naparu rozlało się po całym ciele. Świat ucichł i zniknął. Nigdy nie spałam tak spokojnie jak tej nocy.

\*

Kiedy się obudziłam, nie usłyszałam żadnych odgłosów, więc uznałam, że wszyscy wyszli. Najwyraźniej noc już minęła, ale nie zamierzałam tego sprawdzać. Postanowiłam ukrywać się pod kocem tak długo, aż ktoś nie przyjdzie mnie wyrzucić.

Zapadłam w kolejną drzemkę, z której wyrwał mnie męski głos.

– A mówią, że nie śpicie – powiedział wesoło.

Gdybym potrafiła śnić, mogłabym się łudzić nadzieją, że to tylko koszmar. Wczoraj byłam zbyt zmęczona i otepiała, by czuć coś więcej niż rezygnację. Dzisiaj jednak obecność szamana stała się bardziej przerażająca.



– No dalej. Nie każ mi używać mocy do wyciągania cię z łóżka. – Zaśmiał się jak z dobrego żartu.

Ostrożnie wychyliłam głowę spod koca. Szaman siedział po turecku na sienniku obok i patrzył z zawadiackim uśmiechem. Wczorajszy niepokój gdzieś znikł, bo mężczyzna znów promieniał młodzieńczą butą.

– Zaraz będzie obiad, a jeśli chcesz z nami zjeść, to musisz się jeszcze umyć i ubrać – rzucił, wstając.

Zozumiałam z tego wszystkiego tylko tyle, że mam iść za nim. Nauczona porządku przez lata gościny w cudzych domach, poskładałam koc w równą kostkę i owinęłam się peleryną, którą przy mnie zostawił.

– Marie to dobra dziewczyna, ale niezbyt bystra – powiedział, przyglądając mi się uważnie. – Nie zrozumiała za wiele z tego, co wczoraj zaszło. Moi ludzie myślą, że jesteś człowiekiem, i lepiej nie wyprowadzać ich z błędu.

Skinęłam głową, choć gra, w którą mnie wciągał, wcale mi się nie podobała.

Oczywiście potrafiłam udawać człowieka. Inaczej nie przetrwałabym tak długo. Przychodziło mi to łatwiej niż innym, bo nie przypominałam kukielki i tylko szamani mogli mnie rozpoznać. Oni zaś nie mieszkali w zwyczajnych domach ani nie chodzili po ulicach. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Ruszyłam posłusznie za Samem, o ile rzeczywiście miał tak na imię. Dzisiaj korytarze budynku wydawały się mniej mroczne. Luksfery wpuszczały dużo światła, więc pewnie przestało padać i późna jesień obdarzyła nas jednym z ostatnich słonecznych dni w tym roku. Żałowałam, że nie jestem na zewnątrz.

Mężczyzna otworzył przede mną drzwi i musiałam wejść pierwsza do pomieszczenia wypełnionego ludźmi. Zajmowali miejsca przy wielkim

stole z jasnego drewna, na którym plamy sęków odznaczały się jak siniaki na skórze. Większość siedziała na ruchomych fotelach. Niewiele osób potrafiło je naprawiać i rzadko widywałam kilka w jednym miejscu.

Młodzi, barwni członkowie wspólnoty rozmawiali wesoło, dopóki się nie pojawiliśmy. Na mój widok umilkli na chwilę i chociaż próbowali udawać, że wracają do poprzedniej konwersacji, widziałam, jak zmuszają się do oderwania od nas oczu. Sam popychał mnie lekko, więc przeszłam aż do wydzielonej niskim murkiem kuchni, w której kilka osób kończyło szykować obiad. Gotowali na gorących płytach, ale salę ogrzewali ogniem palonym w metalowych koszach.

Rozpoznałam Marie, ubraną w czerwony sweter i wyraźnie męskie, zielone spodnie. Posłała mi zakłopotany uśmiech.

– Ogrzewanie nie działa, jak w większości domów – powiedziała, choć mogłabym przysiąc, że myślała o czymś zupełnie innym – ale mamy gorące płyty, czystą wodę, oświetlenie i zabezpieczenia...

Umilkła speszona. Może powinnam coś odpowiedzieć. Nie miałam tylko pojęcia co. Marie pociągnęła mnie w stronę zasłony zrobionej z dwóch barwionych na niebiesko płócien. Za nią stał kosz z ogniem i niewielka balia.

– Myjemy się tutaj, bo jest cieplej. Zagrzałam ci wodę.

– Dziękuję – wymamrotałam.

– Ta substancja pomoże ci zmyć brud, zwłaszcza z włosów – powiedziała, wskazując na coś zielonego w dużym szklanym słoju.

Pachniało słodko, jak większość rzeczy, których ludzie używali do mycia albo maskowania własnego zapachu. Skinęłam głową, a dziewczyna wycofała się za kotarę.

Cały czas słyszałam szcęk talerzy i sztućców, a także pozornie obojętne rozmowy o cenach kukurydzy przed zimą. Umyłam się szybko,

lecz starannie, skoro tego ode mnie oczekiwano. Kiedy się wycierałam, Marie przyniosła mi stosik kolorowych ubrań.

Podziękowałam jej serdecznie. Często dostawałam rzeczy od swoich gospodarzy, chociaż rzadko równie czyste i niezniszczone. Nie przywiązywałam większej wagi do tego, jak wyglądam, ale zbliżała się zima, a taki prezent mógł mi zaoszczędzić wiele cierpienia. Jeśli tylko dam radę się stąd wydostać.

Nie wiedziałam, jakim cudem znaleźli spodnie tak wąskie, że nie musiałam wiązać ich sznurkiem, ale sweter wisiał na mnie jak opuszczony żagiel. Założyłam też fioletowy płaszcz, choć nie potrzebowałam go w pomieszczeniu. Nawet jeśli na tle członków wspólnoty wyglądałam całkiem przeciętnie, to w innym mieście przyciągałabym na ulicy wzrok. Wyróżnianie się współcześni odbierali jako manifestację siły, a tego z pewnością chciałam uniknąć.

Przyszła po mnie dziewczyna z burzą intensywnie czerwonych loków. Chcąc nie chcąc, opuściłam swój mały azyl za zasłoną i wróciłam między ludzi, wprost na miejsce obok szamana.

Talerz z ciepłym jedzeniem czekał już na mnie na stole. Podobne okazje zdarzały się zbyt rzadko, bym mogła sobie pozwolić na brak apetytu. Skoncentrowałam więc całą uwagę na dzieleniu posiłku na małe kęsy, które mniej drażniły pusty żołądek i gardło ściśnięte niepokojem.

– Jak masz na imię?

Zdałam sobie sprawę z tego, że pytanie zostało skierowane do mnie, chociaż nie wiedziałam, kto je zadał.

– A – odpowiedziałam.

– A? – powtórzył zaskoczony mężczyzna.

Wyglądał trochę jak chłopiec z nosem usianym piegami i jasną czupryną. Gdyby nie pierwsze zmarszczki wokół oczu, wziąłabym go za

kogoś jeszcze młodszego od Sama.

– Nie pamiętam rodziców, ale ludzie, którzy przygarnęli mnie w dzieciństwie, mówili tak dla żartu i jakoś zostało – wytłumaczyłam, wzruszając ramionami.

Nie miałam śmiałości, żeby się rozejrzeć. Wydawało mi się jednak, że większość osób przy stole uśmiechnęła się, jakbym tego właśnie od nich oczekiwała. Nigdy nie mogłam zrozumieć, jakimi mechanizmami kierują się ludzie, podejmując tego typu decyzje. Na jakiej podstawie uznawali, że powinni się uśmiechnąć, a nie – na przykład – pokiwać smutno głowami.

– Ja jestem Tom. – Mężczyzna wyciągnął rękę ponad stołem.

Kółka zaskrzypiały, gdy krzesło obok mnie odjechało do tyłu. Szaman wstał i z niepasującą do jego twarzy poważną miną uniósł kubek jak do toastu.

– A, pozwól, że podzielę się z tobą wodą naszego domu. Niech płynie w twoich żyłach jak najdłużej – powiedział uroczyście.

Upił łyk i podał mi kubek.

Rytuały związane z wodą narodziły się w nowo tworzonych osadach, gdzie każdy filtr był na wagę miedzi. Z czasem stały się jedną z nielicznych tradycji, jakie stworzyli współcześni. Wypowiadając patetyczną formułkę, szaman przyjmował mnie do swojej wspólnoty. Odrzucenie takiego daru stanowiłoby straszliwą obrazę dla gospodarza. Tak mi się przynajmniej wydawało, bo nigdy nie słyszałam o człowieku, który nie przyjąłby ofiarowanej wody. Pewnie dlatego, że nie dawało się jej byle komu, a już na pewno nie byle czemu.

Na ułamek sekundy zamknęłam oczy, czując, jak wokół narasta cisza. Wybuchła już na początku ceremonii, a kiedy się wahałam, zagarniała coraz większą przestrzeń. Sztywno – jak prawdziwa kukielka –

podniosłam się z krzesła i przyjąłam kubek. Szaman mrugnął do mnie, jakby udała mu się świetna psota.

– Dziękuję – wydusiłam z siebie.

Bałam się, że nie dam rady przepchnąć wody przez zaciśnięte gardło. Napiałam się z trudem. Usiedliśmy oboje, a pełna napięcia cisza przeszła w nerwowy i wymuszony wybuch radości. Chyba wszyscy, włącznie ze mną, zastanawiali się, dlaczego Sam to zrobił. Nawet jeśli chciał mnie tu zatrzymać, taki rytuał nie był konieczny, przecież mogłam mieszkać z nimi w charakterze gościa. Nikt nigdy nie włączył mnie do wspólnoty, a zdarzało mi się znajdować schronienie na kilka miesięcy. Oczywiście u ludzi, którzy nie mieli pojęcia, kim jestem.

– A, widziałaś już miasto za dnia? – spytał szaman, odkładając sztucę na pusty talerz. – Mam coś do załatwienia i mogę cię przy okazji oprowadzić. Chcesz się przejść?

Podniosłam na niego szeroko otwarte oczy. Nie wątpiłam, że użył tonu pytającego tylko ze względu na otaczające nas osoby.

– Bardzo chętnie. Dziękuję – odparłam szybko.

Wstałam z krzesła, zostawiając na stole niedopitą wodę, i poszłam za nim.

Wiedziałam, że budynek jest bardzo duży, a kiedy szliśmy w stronę wyjścia, miałam wrażenie, że korytarze łączą się i przecinają jak w labiryncie.

Na zewnątrz powitała nas ciepła barwa jesiennego słońca, które po tygodniu deszczowej pogody odzyskiwało kontrolę nad światem. W duchu przeklinałam swoją słabość. Gdybym wytrzymała jeszcze jedną noc, nie szłabym teraz ramię w ramię z szamanem.

W zasadzie nie zastanawiałam się, dokąd mnie prowadzi, skoro i tak nie miałam na to wpływu. Miasto do złudzenia przypominało kilka innych

miejszc, w których byłam już wcześniej. Zachowało się tutaj całkiem sporo niezniszczonych budynków i infrastruktury. Na pustych placach rośliny przedzierały się przez wyrwy w betonie i to też był dobry znak. Natura walczyła o przestrzeń, jeśli tylko znalazła gdzieś odrobinę spokoju.

– Naprawdę byłaś kiedyś mała? – spytał nagle szaman. – Myślałem, że wy nie dorastacie.

Zdecydowana większość kukiełek miała postać dziecka przez cały czas swojego istnienia. Dlatego do tej pory nie zostałam zdemaskowana. Nikt nie podejrzewał dorosłych.

– Nie, nie byłam – odparłam.

– To dlaczego skłamałaś?

– Bo każdy człowiek ma dzieciństwo i musiałam sobie jakieś wymyślić.

– Sprytne – powiedział, kiwając głową z uznaniem.

Nie zamierzałam podtrzymać tej rozmowy, mimo że pierwszy raz w życiu mogłabym powiedzieć komuś, jak bardzo się myli. Nasze ciała nie były zdolne do dużych zmian, takich jak dorastanie czy starzenie się. Nie miało to jednak nic wspólnego z byciem dzieckiem lub dorosłym. Dojrzewałyśmy i uczyłyśmy się tak samo jak ludzie. Oni jednak nie wierzyli w rozwój, którego nie mogli zobaczyć ani zmierzyć.

– Mieszkam tu od urodzenia – powiedział szaman. – Spokojna okolica. Nie docierają do nas bandy Sępów ani Rządy. Kukielki też udało się uprzętać... bez urazy. A ty skąd jesteś?

– Znikąd – odparłam, zaskoczona pytaniem.

– Nigdy nie miałaś domu?

– Jestem tylko pudełkiem – oświadczyłam, wzruszając ramionami.

Lubiłam ten gest. Odbierał ciężar wypowiedzianym słowom.

– Prawdziwe pudełka też mają swoje miejsca i właścicieli. Nikt cię nie chciał czy ty nie chciałaś się nikomu powierzyć? – spytał pozornie obojętnie.

Zatrzymałam się. Nie byłam pewna, dokąd zmierza ta gra, ale z pewnością chodziło mu o coś więcej niż grzecznościową konwersację. Ruszyłam powoli, trzymając się jednak z tyłu, by zerwać kontakt wzrokowy.

– Przecież widziałeś – powiedziałam ściszym głosem. – Moje wnętrze jest zbyt cenne, by pozwolili mi odejść i zamieszkać w domku z działającym ogrzewaniem.

– Może ktoś mógłby cię obronić. – Mężczyzna odwrócił się nagle. – Ktoś, kto wykorzystałby tę moc do dobrych celów.

No tak! Jak mogłam się nie domyślić?! Więc to był jego genialny plan. Chciał używać mojego źródła, a tego nie mógł zrobić, jeśli się nie zgodzę.

– Zabiliby cię – powiedziałam.

– Nie sądziłem, że ci na mnie zależy. – Spojrzał mi w oczy, jakby wierzył, że się zarumienię albo spuszczę wzrok. – Zima spędzona w budynku, w którym jest ciepły ogień i zapasy jedzenia. Nie tego chciałabyś teraz najbardziej?

Nie doceniłam go. Może był szalony, ale nie głupi. Wczoraj raczej nie zdążył zauważyć w moim wnętrzu, że właśnie o tym marzę. Bezpieczne schronienie, regularne posiłki, ciepły koc w nocy – to wszystko, czego mogłam oczekiwać od losu. Czy dla kilku tygodni spokoju zaryzykowałabym życie całej wspólnoty? Młodego, zawadiackiego szamana? Dobrej, choć niezbyt bystrej Marie? Mężczyzny o piegowatej twarzy chłopca?

– Tak – zgodziłam się.

– Wiedziałem, że się dogadamy – powiedział wesoło.

Jego oczy również się uśmiechały. Nie potrafiłam go rozgryźć. Był aż tak lekkomyślny, pewny siebie czy głupi?

– Ile walk stoczyłeś do tej pory? – spytałam otwarcie.

– Nie rozumiem.

– Ilu ludzi zabiłeś?

Najbardziej interesowali mnie szamani, ale wątpiłam, by jakiegoś tutaj spotkał.

Uśmiech znikł z zielonych oczu, choć jego marna imitacja pozostała na ustach. Mężczyzna wahał się. Jedno uderzenie serca, dwa, trzy, coraz szybciej. Wtedy po raz pierwszy przestałam się go bać. W przeciwieństwie do nas szamani często pozostawiali dziećmi, mimo że ich ciała dorastały.

– Zwykle wystarcza mój urok osobisty – powiedział, jednocześnie mrugając do mnie i wzruszając ramionami.

Nigdy nie spotkałam się z podobnym połączeniem gestu i mimiki.

– Chodź, spóźnimy się – dodał, zerkając na słońce.

Ruszył rażno przed siebie. Ledwie byłam w stanie za nim nadążyć.

– Jak masz na imię? – spytałam ośmielona.

– Myślałem, że wiesz. Sam.

– To nie jest twoje imię – stwierdziłam, okazując zniecierpliwienie.

Zwolnił. Spojrzał na mnie, wyraźnie zaskoczony. Nie wiem, czy moją zmianą postawy, czy wiedzą na temat szamanów. W przeciwieństwie do niego ja musiałam kilku zabić.

– Samuel – powiedział cicho.

– To dlaczego pozwalasz im mówić Sam?

– Jaka to różnica? – Znowu wzruszył ramionami. – Nie chcę się wyróżniać.



Gdybym była człowiekiem, pewnie stanęłabym jak wryta. Dałam jednak radę zrównać krok z mężczyzną, chociaż znowu przyśpieszył. Istnienie szamanów i kukiełek oficjalnie było nazywane anomalią. Do tej pory ludzie nie zdołali wymyślić niczego mądrzejszego.

Kukiełka, która stanowiła niewyczerpane źródło mocy, i szaman, który starał się nie wyróżniać, byli w takim razie... No właśnie. Anomalią anomalii? Czystym szaleństwem? Zapowiedzią drugiego końca świata?

Doszliśmy do budynku, który musiał być bardzo duży, zanim zawaliło się prawe skrzydło. Mur oddzielał całe ściany od porastających bluszczem gruzów. Jesienna czerwień liści wciąż odznaczała się na tle przygaszonej barwy cegieł.

Samuel nacisnął kilka symboli, ale drzwi się nie otworzyły. Najwyraźniej czekaliśmy aż ktoś odblokuje je od środka. Mężczyzna znów spojrzął na mnie roześmianymi oczami.

– To jak? Przeszedłem test na właściciela? – Spróbował obrócić moje pytania w żart.

Bardzo słaby żart.

\*

Ja i Samuel zjeżdżaliśmy na prostokątnej platformie, która oddzieliła się od podłogi. Opadała miękko w wąskim, wysokim na kilka pięter korytarzu. Nie mogłam zapanować nad irracjonalnym lękiem, że zaraz zostaniemy odłożeni na jedną z półek i zostawieni tam na zawsze jak zakurzone pojazdy. Do tego przecież służyła nasza winda w czasach dawnych ludzi. Zabierała z góry samochody i wkładała je do odpowiedniej przegródki, jeden tuż obok drugiego, jak kubki w za małej szafce.

Skąd wiedziała, gdzie ich potem szukać, i czy zdarzało jej się o którymś zapomnieć? Tego mieliśmy się nigdy nie dowiedzieć, ale kilka

pojazdów nadal czekało, aż ktoś je stąd zabierze. Można było się do nich dostać wąskimi klatkami schodowymi, lecz mało kto odczuwał taką potrzebę. Ludzie wykorzystali już zapasy benzyny, a nowej nie potrafili produkować.

Nie przestałam się bać, gdy platforma zatrzymała się na dole i mogliśmy bezpiecznie z niej zejść. W głębi betonowych wnęk, na najniższej kondygnacji, leżała broń palna, która podobnie jak pojazdy była już tylko bezużyteczną pamiątką po dawnej cywilizacji.

Chociaż obowiązywał zakaz posiadania przedmiotów, których jedynym zastosowaniem było zabijanie, nieraz je już widziałam. Ukryte głęboko w skrzyniach kupieckich karawan i zdobiące tajne sale w siedzibach gangów, stanowiły zakazany owoc, którego i tak nikt nie mógł ugryźć. Tylko Rządy potrafiły sprawić, że pistolety strzelały.

Machinalnie ruszyłam stosunkowo wąskim przejściem pomiędzy dwoma ciągnącymi się wysoko nad moją głowę regałami z symetrycznie rozmieszczonymi półkami.

- Wiedziałem, że ci się spodoba – powiedział wesoło mężczyzna.
- Umiecie używać tej broni? – spytałam zupełnie neutralnym tonem.
- Nie, ale windy też kiedyś nie umieliśmy – odparł, mrugając.

Nie odpowiedziałam ani nie zrobiłam żadnej miny, chyba że zdradziły mnie oczy. Boję się ludzi, których nie rozumiem, bo nie potrafię przewidzieć ich zachowania. Wzięłam szamana za duże dziecko, które przygarnęło kukiełkę w ramach chwilowego kaprysu. Nie sądziłam, że mogę stać się częścią większego planu.

Na końcu korytarza znajdował się mały pokój, oddzielony szybą. Kiedy przeszliśmy przez wysokie pomieszczenie, sufit obniżył się gwałtownie, zdawał się wisieć tuż nad naszymi głowami. Niemal całą przestrzeń wypełniał wielki stół, przy którym stał z założonymi rękami mężczyzna o

jasnych, ulizanych włosach. Nie był ani młody, ani stary, jakby znalazł się idealnie pośrodku tego kontinuum.

Samuel podał mu rękę i pozornie przypadkiem dotknął kciukiem miejsca poniżej nadgarstka, gdzie łączyły się niebieskie nitki żył. Czy mężczyzna, który zmusił się do niepewnego uśmiechu, wiedział, że właśnie odczytano jego myśli? Szczerze w to wątpiłam. A więc nie tylko imię młody szaman zataił, żeby... się nie wyróżniać.

– Kim jest twoja urocza towarzyska? – spytał gospodarz.

To niezwykle, w jaki sposób ludzie ubierali myśli w słowa. Mogłabym przysiąc, że mężczyzna zamiast „kim?” chciał powiedzieć „dlaczego?”, a dalsza część zdania stanowiła gotową formułkę.

– Al, poznaj A. – Szaman uśmiechnął się jeszcze szerzej. – To kukielka, bardzo rzadki i cenny okaz.

Sądząc po minie Ala, równie dobrze ktoś mógłby opowiadać mu o cennym okazie myszy. Gospodarz przestał mi się przyglądać, jakbym właśnie znikła, i przeniósł wzrok na Samuela.

– Oszalałeś? Chyba nie trzymasz tego w domu? – Z trudem powstrzymał się przed krzykiem.

– Moi ludzie myślą, że to człowiek. Tobie mówię prawdę, bo jesteśmy przyjaciółmi, a z nią możemy działać więcej niż z całą bronią, jaką tu mamy.

Al spojrzał na niego podejrzliwie. Nie przyszło mu chyba do głowy, że ich mały magazyn jest tylko stertą złomu i jedyne, co może im przynieść, to kłopoty.

– Słyszałeś o pudełkach? – spytał Samuel i poczekał, aż rozmówca pokręci głową. – Kukielki powstają z mocy, ale to proces chaotyczny i nieprzewidywalny. Jedne dostają tej mocy mniej, a inne więcej... – Urwał

pod krytycznym spojrzeniem Ala. – W każdym razie pudełko to taka kukiełka, która ma w cholerę mocy, chodzący generator.

– Pudełka wyglądają jak dorośli? – Gospodarz zerknął na mnie ukradkiem.

– Nie wiem, stary – odparł szaman beztrosko. – Jest ich na świecie tylko kilka. Chyba nikt nie widział więcej niż jednego.

– Skoro to takie rzadkie i bezcenne – Al cedził wyrazy – to jakim cudem nie dostało się w ręce Rządów?

Szaman wzruszył ramionami i mrugnął do niego. Zatem połączenie jednego z drugim miało określone znaczenie: nie zastanawiał się nad tym? Zmyślał? Próbował coś ukryć?

– Miała fuksa albo byliśmy sobie pisani – powiedział, tym razem mrugając do mnie.

Al nie wydawał się przekonany i wcale mu się nie dziwiłam. Nerwowym ruchem przygładził włosy i najwyraźniej nie bardzo wiedząc, co zrobić z rękami, włożył je do kieszeni.

– Podobno masz coś dla mnie? – powiedział szaman.

– Taaak, tak, coś mam. – Al ożywił się nagle i chyba wypchnął moje istnienie ze świadomości. – Trafiłem na to przypadkiem, ale spodoba ci się.

Podszedł do stołu i przesunął po nim ręką. Szara powierzchnia ożyła. Zwykle nikt nie rozumiał, co pokazują blaty i w jaki sposób to kontrolować. Teraz patrzyłam jak zahipnotyzowana na palce mężczyzny, który płynnie wybierał kolejne sekwencje symboli. Tylko cichy głos w mojej głowie przypominał, że nie wolno budzić technologii dawnych ludzi, jeśli do tej pory pozostawała uśpiona.

Ci, którzy przetrwali koniec świata, albo nie wiedzieli, czym jest moc i skąd się wzięła, albo nie chcieli tego przekazać swoim potomkom.

Twierdzili, że rozwój cywilizacyjny doprowadził do katastrofy i teraz musimy wykorzystać szansę na nowy początek. Nie tłumaczyli dzieciom, jak działała elektronika, co oznaczają symbole, którymi się posługiwali ani jak wyglądał świat tuż przed zagładą.

Kolejne pokolenia odkryły, że potrzebują tych informacji, ale badanie technologii uważano za niebezpieczne i niemoralne. Tym bardziej że śmiałkowie, którzy decydowali się rozpracować dawne mechanizmy, często ginęli w drastycznych wypadkach lub byli mordowani przez szamanów. W najlepszym razie groziło im wykluczenie ze wspólnoty.

Oczywiście musieli się znaleźć też tacy, którzy – kiedyś, dawno temu – powiedzieli wszystko swoim dzieciom. Nadto dobrze wiedziałam, że Rządy potrafią naprawiać ogrzewanie w budynkach, produkować filtry wody, a także mniej zaawansowaną broń i amunicję. Rządowi nie bali się eksperymentów naukowych, rozwijania umiejętności szamanów i wykorzystywania kukiełek. Mogli sobie na to pozwolić, bo nikt nie patrzył im na ręce.

Tutaj lokalna społeczność postawiłaby znak równości pomiędzy trzymaniem w domu kukiełki a budzeniem uśpionych we wnętrzu stołu obrazów.

– Nazwałem to gniazdem szcurów – powiedział z dumą Al.

Naszym oczom ukazało się miasto widziane z góry, jakbyśmy patrzyli na nie z dachu budynku znacznie wyższego niż pozostałe. Samuel odruchowo wyciągnął rękę, ale zdążył się powstrzymać, nim dotknął blatu. Nieopatrzny ruch mógł sprawić, że obraz zniknie.

– Zastanawiałem się, co jest wszędzie – kontynuował Al coraz bardziej rozentuzjasmowanym głosem – na każdej ulicy, w każdym budynku. Pomyślałem o szcurach. Wybieram miejsce, a szcur, który tam siedzi, pokazuje mi, co widzi...

Dotknął dłonią ledwo widocznej w mroku budynków uliczki, a na stole pojawiły się betonowe ściany, pękający chodnik i drewniany trzonek zniszczonej łopaty. Przesunął palcami po blacie i znów zobaczyliśmy miasto. Dotknął mieniącego się kolorami placu, a stół w ułamku sekundy odmalował stragany na targowisku. Al wykonał kilka skomplikowanych gestów i naszym oczom ukazał się korytarz wiodący od drzwi do ruchomej platformy, którą tu zjechaliśmy.

– Możesz zajrzeć do każdego budynku? – spytał Samuel.

– Nie, chyba nie wszędzie są szczury. U ciebie na przykład ich nie ma – powiedział Al, chichocząc nerwowo.

– Rewelacja! – Szeroki uśmiech szamana wydawał się wymuszony. – Naprawdę świetna robota!

Samuel wyciągnął rękę w stronę przyjaciela, który ochoczo uściskał jego dłoń.

– Pomyśl, jakie to daje możliwości! – krzyknął Al. – Teraz Sępy się przed nami nie ukryją. Mogą się chować w zaułkach, a my zawsze będziemy wiedzieli, gdzie są! Szczury znajdą każdego.

Nie wiedziałam, czy Sępy istniały również w poprzednim świecie, ale wydawało mi się, że tworzenie podobnych grup jest cechą gatunkową ludzi. Zawsze tam, gdzie większość pracowała, by uczciwie zdobyć pożywienie, znajdowali się tacy, którzy woleli zabrać je innym.

Sami siebie nie nazywali Sępami. Każde plemię miało własną nazwę. Nie napadali też na miasta takie jak to, w których wiele budynków miało działające zabezpieczenia i mieszkańcy zbyt długo mogliby się bronić. Wybierali bardziej zniszczone tereny i nowe osady.

Wiedziałam o tym, bo przez jakiś czas musiałam mieszkać w ich obozie. Czy pochyleni nad stołem mężczyźni naprawdę spodziewali się

ataku Sępów? Al na pewno tak. Jeśli chodzi o szamana, to miałam pewne wątpliwości.

\*

– Co o tym myślisz? – zagadnął Samuel, gdy oddaliliśmy się od budynku, w którym mieszkał technik. Ciepły jak na tę porę roku wiatr omiół nasze twarze.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie uważasz, że lepsza byłaby nazwa „gniazdo nietoperzy”? – spytał nagle. – Nie chciałem tego mówić Ałowi, żeby mu nie sprawiać przykrości, ale szczury są na ziemi, a my obserwujemy obraz z góry.

Rozejrzał się uważnie po otaczających nas budynkach, jakby rzeczywiście starał się wypatrzeć nietoperza albo szczura jakimś cudem przycupniętego na ścianie. Nie wiedziałam, kiedy żartował, a kiedy mówił serio.

– Spóźnimy się na targ – mruknął. – Ale przyznasz, że to niesamowite? Widziałaś już coś podobnego?

Pokręciłam głową. Przez chwilę szliśmy w milczeniu, a szaman nie przestawał mi się przyglądać.

– Gniewasz się za to, jak potraktował cię Al? – spytał znowu.

Jak zbędne krzesło? Nie, nie gniewałam się. Traktowano mnie już znacznie gorzej, ale nie chciałam o tym mówić. Wyglądało jednak na to, że Samuel nie da mi spokoju, jeśli nie zacznę z nim rozmawiać.

– Myślałam, że pudełko to określenie, które sama wymyśliłam, ale powiedziałaś, że takich kukiełek jest więcej?

Nigdy nie słyszałam o kimś takim jak ja. Szaman nie był jednak zaskoczony moim istnieniem, podobnie jak tutejszy Rząd. Nie mogłam być jedyna.

– Nazwę „pudełko” rzeczywiście sobie pożyczyłem – powiedział z uśmiechem. – Bardzo mi się podoba. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko?

Rzucił mi rozbawione spojrzenie, jakby oczekiwał odpowiedzi.

– Spotkałem jeden egzemplarz podobny do ciebie. Nazywano go P70160. Przyznasz, że słabo? Nie mam pojęcia, czy to kod dla całej... podgrupy kukielek, czy tylko dla tej jednej. Jak wspomniałem, jest was zbyt mało, by ktoś się nad tym zastanawiał.

– P70160 też miała postać dorosłego?

– To był mężczyzna.

Zamilkł, przełknął ślinę i nieznacznie przyśpieszył kroku. Domyśliłam się, dlaczego przerwaliśmy grzecznościową konwersację. Najwyraźniej „spotkałem” w tym przypadku oznaczało „zabiłem” lub „patrzyłem, jak inni zabijają”.

Dotrzymanywałam mu kroku, ciesząc się krótkotrwałą ciszą. Typowa kukielka miała postać dwunastoletniej dziewczynki, więc wszystkie egzemplarze o niestandardowym wyglądzie, takim jak mój albo wspomnianego mężczyzny, mogły się czuć w miarę bezpiecznie. Oczywiście do czasu, aż nie trafiły na szamana, nie zostały zranione albo ktoś nie zauważył, że się nie starzeją.

Tak jak w wielu miastach, pomiędzy nadgryzionymi zębem czasu i mocy budynkami znajdował się duży plac. Słońce obniżyło się już na horyzoncie, a jego ciepłe światło przedzierało się przez szpary w drewnianych konstrukcjach straganików ustawionych na spękany beton. W przeciwieństwie do kramów, które widywałam do tej pory, te nie tworzyły wrażenia tymczasowości. Każdy sprzedawca miał swój przydzielony kwadrat, a wyłożonych towarów nie mógłby szybko pozbierać.



Weszliśmy w rzednący już tłumek ludzi na targu. Z szacunkiem, ale też lekkim strachem albo niechęcią przechodnie cofali się przed Samuelem. Nigdy nie zastanawiałam się, jak funkcjonowałby szaman, gdyby musiał żyć w zwyczajnej wspólnocie. Ludzie otoczyliby go nabożną czcią? Zabobonnym lękiem? Tłumioną nienawiścią?

Na placu tylko handlarze uśmiechali się do niego i kiwali głowami. Z daleka rozpoznałam stragan jego ludzi, młodych i kolorowo ubranych.

Mieszkańcy miast barwili tkaniny znacznie częściej, niż robiło się to w nowych osadach. W porównaniu z moimi gospodarzami jednak i tak zachowywali umiar.

Szaman podszedł do kobiety handlującej łakociami. Jej straganik był mniejszy niż pozostałe i obwieszony wstążkami łopoczącymi wesoło na wietrze – wabik na dzieci, których nie mogło być przecież za wiele. Na tle szarego placu kram wyglądał jak jeden z ostatnich kolorowych liści, które można znaleźć na początku zimy.

– Sam, mój drogi! Nie wiedziałam, że przyjdiesz dzisiaj, ciasto już się skończyło! – Kobieta krzyknęła z przesadną emfazą.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

– I bardzo dobrze! Stracę wszystkie zęby, jak będę jadł tyle ciasta. – Zaśmiał się, jakby to było zabawne. – Poproszę dwie garście karmelków dla mojej przyjaciółki.

Zmierzyła mnie wzrokiem, ale najwyraźniej pomyślnie przesłała test, bo skinęła głową. Włożyła cukierki w płócienny woreczek i podała Samuelowi. Kiedy wyciągnął w jej stronę monety, machnęła ręką.

Szaman wręczył mi cukierki i ruszyliśmy nieśpiesznie w kierunku jego ludzi. Większość sprzedawców pakowała powoli towar, przerywając tę czynność, ilekroć ktoś zawiesił wzrok na ich straganach.

– Wiesz, dlaczego ci je kupiłem? – Samuel emanował pewnością siebie.

Pokręciłam głową.

– Bo twoje oczy mają kolor karmelu. A wiesz, jak się robi te cukierki?

Skinęłam głową. Mężczyzna podwinął rękaw, prezentując sporą bliznę na przedramieniu.

– Rozgrzany karmel – oświadczył z dumą. – Miałem dwanaście lat i, jak widać, niczego się nie nauczyłem.

Nim zdążyłam odpowiedzieć, podeszliśmy do jego ludzi. Było ich tu znacznie więcej, niż potrzeba do obsługi stoiska i zastanawiałam się, czy to dlatego, że muszą chronić cenny towar. Dziwne płyny w szklanych butelkach i zioła w woreczkach dało się czasem zdobyć w miastach, ale ani jedne, ani drugie nie należały do produktów sprzedawanych oficjalnie na targach.

Podobnie jak Samuel podałam rękę kilku osobom, których twarze nie zapamiętałam podczas wspólnego posiłku. Udało mi się też puścić w obieg woreczek karmelków. W wielobarwnym i głośnym rozgardiaszu, który wybuchł wraz z naszym pojawieniem się, rozpoznałam tylko Marie i Toma – mężczyznę o sympatycznej piegowatej twarzy. Uśmiechnęłam się, bo wszyscy się uśmiechali, mówiąc jeden przez drugiego.

Nagle poczułam lekkie pulsowanie z tyłu głowy. Zastygłam w pół ruchu. Czasem chciałabym tak jak ludzie ulegać halucynacjom albo sztuczkom wyobraźni. W ten sposób mogłabym ludzić się nadzieją, że to coś nie dzieje się naprawdę.

Pochwyciłam zaniepokojony wzrok Samuela. Szamani też wyczuwali zaburzenia mocy. W końcu stworzyła ich tak samo jak nas, tylko po przeciwnych stronach kontinuum. Usłyszałam kobiecy wrzask i przekleństwa. Odwróciłam się machinalnie.

Na środku targowiska pojawiła się kukiełka. Moc działała chaotycznie. Do emanacji dochodziło w lesie, w wysokich górach, a czasem w samym

środku mieszkalnego budynku lub – tak jak teraz – zatłoczonego placu.

Pośród szybko cofających się ludzi stała dziewczynka, ludzką miarą dwunastoletnia. Miała kanciaste ciało dziecka, ale z wyraźnie zarysowanymi piersiami. Jej twarz stanowiła zastygłą maskę, w której bardzo szybko poruszały się oczy. Dlatego nazywali nas kukiełkami.

Otoczający ją szerokim kręgiem mieszkańcy nawet nie przypuszczali, że pojawiamy się na świecie bez żadnej wiedzy. Nie rozumiemy ich języka ani tego, kim są lub kim my jesteśmy. Nie rozróżniamy jeszcze emocji, a także związanej z nimi mimiki, bo to jest bardziej ludzkie niż nasze. Dlatego mięśnie na twarzy dziewczynki nie drgnęły, choć jej wzrok przeskakiwał z jednej osoby na drugą.

Kobieta sprzedająca łakocie pisnęła przeciągle. Rzeźnik o przedramionach grubszych niż moje nogi wziął do ręki siekiere. Naga dziewczynka spróbowała zrobić krok, ale umiejętność chodzenia lub trzymania przedmiotów przychodzi dopiero z czasem. Zachwiała się więc na nóżkach, które wydawały się zbyt sztywne, by kiedykolwiek mogła się naturalnie poruszać. Nie wiem, czy powinnam się cieszyć z tego, że nowo powstała istotka niczego nie rozumie.

Ktoś blisko mnie zaniósł się głośnym szlochem: Marie.

– Chodźmy stąd – polecił Samuel.

Starszy mężczyzna, który jeszcze przed chwilą pakował do wiklinowego kosza kupione na straganie obok gruszki, zmierzył go wzrokiem.

– Szaman powinien zostać – powiedział z naciskiem. – Na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

Dobrze, że kontrolowałam okazywanie emocji, bo wybuchłabym histerycznym śmiechem. Co mogło pójść nie tak podczas zabijania bezbronnego dziecka?

– Dag, zabierz stąd dziewczyny! – rozkazał Samuel. – A, idź z nimi!

Pokręciłam głową, na wszelki wypadek zacisnęłam zęby i napięłam mięśnie, by podkreślić upór. Wiedziałam, że w chwilach takich jak ta moja mimika staje się sztuczna i przerysowana.

– Proszę – dodał cicho szaman.

Ponieważ nie zamierzałam się ruszyć, objął mnie mocno w pasie, jakby obawiał się, że stracę przytomność. My jednak nie mdlałyśmy ani nie chorowałyśmy. Nasze ciała potrafiły się też regenerować. Dlatego ludzie nie mogli zabić kukiełki nożem, tylko musieli pociąć ją na kawałki.

Samuel zacisnął mocniej palce na mojej skórze, kiedy padł pierwszy cios. Świdrujący pisk dziecka ściał powietrze tak, że trudno było nim oddychać. Staralam się nie patrzeć na upadającą na ziemię dziewczynkę, tylko na krąg ludzi i ich twarze. Przeważali mężczyźni, a i oni bledli albo odwracali wzrok. To byłoby zbyt proste wierzyć, że wszyscy na widok kukiełek zmieniali się w krwiożercze bestie. Wielu nie potrafiłoby zadać ciosu, gdyby musieli zrobić to sami. Mimo to wierzyli, że rzeźnik ściskający trzonek zakrwawionej siekiery w zbieleńskich palcach nie ma innego wyboru.

W czasach kiedy każde nowo narodzone dziecko było na wagę miedzi, samoistnie pojawiające się kukiełki stanowiły zagrożenie dla całego gatunku. Ludzi wciąż umierało więcej, niż się rodziło, a my teoretycznie mogłyśmy żyć wiecznie. Nikt nie wiedział, czy pozostawione w spokoju przewyższyłybyśmy liczebnością gospodarzy tej planety. Ci, którzy przetrwali, podejrzewali jednak, że ich przodkowie zaprzepaścili szansę na panowanie nad Ziemią.

Wątpiłam w tę teorię. Tak samo jak w to, że ciało kukiełki trzeba porąbać na tak małe części. Problem w tym, że wszystko, w co ludzie uwierzyli, zyskiwało status prawdy.

Postawna kobieta zemdlała w tłumie. Kilka osób szybko wycofało się z kręgu. Słyszałam, że więcej niż jedna wymiotowała.

Samuel zmusił mnie, żebym się odwróciła, i ruszyliśmy w kierunku domu wspólnoty. Tom szedł obok nas, wyraźnie speszony. Podejrzewałam, że nie spodobała mu się reakcja przywódcy – ktoś, kto miał bronić miasta przed kukiełkami, nie powinien zaciskać ust tak, że zmieniały się w wąską kreskę.

– Widziałas już ćwiartowanie, A? – spytał.

Na razie koncentrowałam się na tym, żeby jakoś iść, bo szaman wciąż obejmował mnie tak mocno, że musiałam idealnie zrównać z nim krok.

– Tak, kilka razy – odpowiedziałam spokojnym tonem.

– Zauważyłem, nie piszczałaś i nie krzywiłaś się jak inne baby.

W głosie Toma usłyszałam wyraźny podziw. Uśmiechnęłam się więc nieśmiało. Nieważne, co ja myślałam, ważne, co oni chcieli zobaczyć.

– Odłączymy się na chwilę – oświadczył nagle Samuel.

Tom kiwnął głową, wyraźnie zaskoczony. Szaman pociągnął mnie bocznymi uliczkami aż do budynku, który nie miał frontowej ściany. Przerdzewiałe pręty zbrojeń sterczały groźnie jak zapomniane narzędzia tortur.

Kiedy wdrapaliśmy się po schodach, Samuel sprawdził, czy nie ma nikogo w kilku mniejszych pomieszczeniach wydzielonych z otwartej przestrzeni. Dopiero wtedy wrócił i nie mówiąc nic, przytulił mnie mocno.

Wiedziałam, że ludzie bardzo nieufnie reagują na odrzucenie takiego gestu. Czekałam więc cierpliwie, aż skończy mnie obejmować i gładzić po włosach. Czuję, że w ten sposób próbuje zapewnić mi poczucie bezpieczeństwa. Tylko że w takie dni jak ten nigdzie nie czułam się bezpiecznie.

Szaman cofnął się wreszcie i obdarzył mnie spojrzeniem zbitego psiaka.

– Dlaczego zostałeś? – spytał cicho.

Rozejrzałam się czujnie, czy na pewno nikt nas nie widzi. Zwykle panowałam nad tak irracjonalnymi pomysłami, ale teraz pozwoliłam, by wszystkie emocje spłynęły z twarzy. Kiedy od czegoś zależy twoje życie, staje się to odruchem bezwarunkowym, dlatego bycie sobą wymagało ode mnie większej koncentracji niż udawanie.

Widziałam, jak mężczyzna wstrzymał oddech i z jakim trudem udało mu się nie cofnąć na widok maski, w którą zamieniła się moja twarz. Czyżby sądził, że różnię się pod tym względem od innych kukiełek?

– Po pierwsze, gdybym odeszła, ona i tak by zginęła – odparłam matowym tonem. – Po drugie, zwykle nie mam wyboru, a po trzecie, to mi przypomina, kim jestem i kim wy jesteście. Kiedy przebywam zbyt długo wśród dobrych ludzi, zdarza mi się o tym zapomnieć.

Samuel starał się nie odwracać wzroku, choć podejrzewałam, że chętnie by to zrobił.

– Jak udało ci się przeżyć? – Pokręcił głową, lecz nie wiedziałam, jak to zinterpretować. – Na początku.

– Pojawiłam się w lesie – zaczęłam opowiadać. – Znalazłam chatę, w której mieszkał starszy, schorowany mężczyzna. Wiedział, kim jestem, ale nigdy nie powiedział tego głośno. Potrzebował kogoś dostatecznie silnego, by zdobyć jedzenie i przynieść drewno na opał. Pomogłam mu przeżyć kilka lat więcej, a on w zamian nauczył mnie bycia człowiekiem.

Szaman przyglądał mi się uważnie, marszcząc brwi.

– Dlaczego tam nie zostałeś, z dala od ludzi?

– Na samotnie mieszkającą kobietę czyha wiele niebezpieczeństw – odpowiedziałam.

– Nie mogłaś tego wtedy wiedzieć.

Na krótką chwilę skoncentrowałam się na tym, aby i moje oczy przestały cokolwiek wyrażać, choć to było już trudniejsze.

– Wtedy nie wiedziałam.

Odwróciłam wzrok, potrząsnęłam głową, jakbym zrzuciła maskę. Po chwili spojrzałam na niego zniecierpliwiona i wydełam usta jak rozkapryszony podłotek. Wiedziałam, że ta mina jest nie na miejscu, ale kobiety zwykle robiły ją bez żadnego uzasadnienia.

– Możemy już wracać? Robi się zimno – powiedziałam, podwyższając głos do piskliwego jęku.

Wiatr szarpał nasze ubrania.

Zeszliśmy po schodach i krętym labiryntem wąskich betonowych przesmyków wracaliśmy do domu wspólnoty. Na myśl o tym, że zgubiłabym się tu bez przewodnika, przeszły mnie ciarki, a przynajmniej pomyślałam, że tak właśnie powinno się stać. Chciałam wiedzieć, jak uciec z każdego miejsca, w jakim się znalazłam.

W przeciwieństwie do ludzi nie czułyśmy, kiedy ktoś na nas patrzy. Zauważyłam, że szaman mi się przygląda, więc zgarbiłam się lekko, uniosłam ramiona i zamknęłam się w sobie.

– Musisz być bardzo inteligentna, żeby cały czas nad tym panować – powiedział.

Wyprostowałam się, ale głowę zostawiłam pochyloną i sprawiłam, że moje policzki się zarumieniły. Mały pokaz umiejętności, bo jak mogłam to inaczej nazwać?

Zastanawiałam się, czy ludzie kiedykolwiek posługiwali się pojęciem inteligencji w odniesieniu do kukiełek. Pewnie nie podobał im się fakt, że myślimy. Tego, że czujemy, w ogóle nie brali pod uwagę.

Ukradkiem zerknęłam na szamana. Mrugnął, objął mnie znów ramieniem, ale tym razem za szyję, jak swoją własność. Ruszył szybciej, sprężystym krokiem, z dumnie wypiętą piersią.

– Ty też – powiedziałam cichutko.

## A – 3 LATA WCZEŚNIEJ

Melodia dzwonka, która rozległa się w gabinecie, musiała kiedyś wydawać się piękna. Anton słyszał ją jednak zbyt wiele razy i gdy znowu zabrzmiała, machnął dłonią, jakby odganiał natrętnego owada.

– Udzielam pozwolenia – powiedział Minister powoli i wyraźnie.

System rozpoznawania mowy często płatał figle, ale tym razem drzwi otworzyły się bezgłośnie. Do środka wszedł młody żołnierz i uklonił się sztywno.

– Mam przekazać, że potwierdzenie tożsamości obiektu przebiegło pomyślnie – wyrzucił z siebie jednym tchem.

Minister przyjrzał mu się uważnie, bardziej z przyzwyczajenia niż z ciekawości. Wszyscy zaczęli w Rządzie jako naukowcy albo żołnierze. Ci pierwsi byli jednak zbyt cenni, by delegować ich do zadań administracyjnych, a drudzy na ogół zbyt tępi, by nie przekręcać zdań, które kazano im powtórzyć. Wyławianie bystrzejszych jednostek stanowiło nie mniejsze wyzwanie niż poszukiwanie ryb w oceanach.

– Na którym poziomie ją umieszczono?

Młody mężczyzna zmarszczył nos, jakby samo użycie zaimka w rodzaju żeńskim uważał za zbyt upodmiotowienie schwytanej istoty.

– Na dwudziestym, panie Ministrze – odparł niepewnie.

– Chodźmy zatem.



Anton żwawym krokiem wyszedł na zewnątrz, a żołnierz ledwie zdążył wybiec, nim gabinet zamknął się automatycznie. Podeszli do windy i chłopak zaczął przestępować z nogi na nogę.

– Nie mogę z panem iść – wyjąkał. – Drzwi tego poziomu nie otwierają się przede mną.

Minister skinął głową. Oczywiście wiedział, że gówniarz nie ma uprawnień na dwudziestkę, ale lubił ich testować. Na swój sposób było to dla niego niesamowite, jak ludzie na co dzień otoczeni techniką nie umieli i nie potrzebowali jej rozumieć. Czasem trudno było oprzeć się wrażeniu, że cały budynek postrzegają jako samoświadomy byt, który podejmuje autonomiczne decyzje.

Anton wszedł do windy sam, wybrał piętro i ruszył w dół. Siedziba Rządu Rodanu mieściła się pod ziemią, w kompleksie, który dawni ludzie stworzyli na wypadek wojny albo naturalnej katastrofy, zupełnie jakby wiedzieli, w jakim kierunku zmierza ich cywilizacja. Rządy wybierały tego typu ośrodki na swoje centra dowodzenia, ponieważ miały świadomość, że po pierwszej apokalipsie świat nie zawrócił z raz obranej drogi.

Drzwi otworzyły się bezgłośnie, a minister znalazł się w pomieszczeniu niewiele większym niż kabina windy. Podeszedł do systemu bezpieczeństwa i umieścił dłoń w zarysie ręki. Nie rozumiał, dlaczego palce we wzorze są szeroko rozstawione ani w jaki sposób maszyna identyfikuje go na podstawie odcisku dłoni. Wiedział za to, kto podejmuje decyzje o przyznaniu uprawnień i jak powiedzieć systemowi, kogo może, a kogo nie powinien wpuszczać na poszczególne poziomy.

Gdy tylko podniosła się gródź, oczom mężczyzny ukazał się celujący do niego żołnierz. Nie ufali bezgranicznie technologii – wystarczy, że ich przodkowie popełnili ten błąd.

Minister skinął głową i wartownik odpowiedział skinieniem.

Anton podszedł do drugich drzwi, wziął głęboki wdech i wszedł do środka. W pokoju przesłuchań znajdował się niewielki stół z krzesłami i trzy osoby: żołnierz, szaman i siedząca naprzeciw niego kukielka. Nie kukielka, tylko A. Nazwano ją tak, ponieważ była pierwszą wśród obiektów anomalią, której istnienie udało się udokumentować – „a” jak anormalna zdolność generowania energii.

Minister był zaskoczony jej wyglądem, chociaż wiedział, że powinien spodziewać się młodej dziewczyny. Ona natomiast przestraszyła się go, mimo że nigdy się nie spotkali, bo A była przetrzymywana przez Rząd z południa, i to kilkadziesiąt lat wcześniej.

*Nie przestraszyła się, tylko chciała, żebym tak pomyślał – poprawił się zaraz.*

– Możemy zaczynać – powiedział do szamana.

Mężczyzna miał około trzydziestu lat, jasne kręcone włosy i zielone oczy. Z pewnym obrzydzeniem złapał kukielkę za rękę.

Pierwsze eksperymenty z telepatią przeprowadzano, umieszczając szamana i człowieka w oddzielnych pokojach, tak aby mieć pewność, że myśl została przekazana na odległość. Nic z tego nie wyszło. Okazało się, że umysł samoświadomej istoty szamani potrafili odczytać tylko wchodząc z nią w bezpośredni kontakt. Najprawdopodobniej przechwytywali impulsy biegnące po neuronach i żeby to zrobić, musieli dotknąć skanowanej osoby.

– Ile masz lat, A? – spytał Minister. – Sto? Więcej?

– Nie wiem – wydukała, pochylając głowę.

Kukielki nie były inteligentniejsze od ludzi. W zasadzie nie posiadały zdolności twórczych, nie śniły i nie potrafiły sobie wyobrazić czegoś, co nie istnieje. Jediną przewagę, jaką obdarzyła je natura, stanowiła

przekłeta autoregeneracja, która dotyczyła również komórek mózgu. Kukielki szybciej się uczyły i więcej pamiętały, dlatego z wiekiem stawały się niebezpieczne.

A była stara jak na wolno żyjący egzemplarz, ale nie dorastała do pięć rządowym okazom.

– Skąd pochodzisz?

Nie odpowiedziała, a Anton szczerze wątpił, by nie zrozumiała pytania zadanego w taki sposób, jakby mówił do człowieka.

– Gdzie się zmaterializowałaś?

– Rząd Południa nazwał to miejsce Tien Shan – powiedziała powoli, a jej wzrok uciekł do góry i w prawo, jakby rzeczywiście musiała sobie coś przypomnieć.

W wewnętrznej komunikacji Rządy używały dawnej geografii. Zwyczajni ludzie rzadko się nią posługiwali. Ponieważ nie podróżowali, ich świat kurczył się do rozmiarów najbliższej okolicy. Zнали nazwy kilku miast i osad, lecz nie potrzebowali rozróżniać poszczególnych obszarów. Jeżeli ktoś mówił o „górach”, „równinie” albo „morzu”, jego rozmówcy wiedzieli, które miejsce miał na myśli.

Plotki o odległych terytoriach zwykle przekazywano sobie szeptem, używając nazw stosowanych przez różne Rządy albo tylko kierunków. Krążyły też legendy o śmiałkach przemierzających setki kilometrów w poszukiwaniu informacji na temat otaczającego ich świata. Wielu spotkało tych ludzi, gdy wyruszali w podróż. Nikt jednak nie widział ich, kiedy wracali.

– Czyli znalazłaś się bardzo daleko od domu. To musiała być niebezpieczna podróż.

– Była – przytaknęła cicho.

Przez oczy dziewczyny przebiegł cień smutku, ledwie zauważalny. Mięśnie zatańczyły pod skórą, napięły się i zaraz rozluźniły, jakby udało jej się odpędzić tragiczne wspomnienia i odzyskać kontrolę.

Minister z trudem powstrzymał się przed gwizdnięciem z podziwu. Wszystkie kukiełki żyjące w terenie uczyły się naśladownictwa, lecz ich umiejętności mimikry rzadko osiągały tak wysoki poziom. Inaczej trudno byłoby je odróżnić od ludzi.

Anton przeszedł przez pokój i stanął tyłem do stołu, tak aby nie widzieć dziewczyny ani sondującego ją szamana.

– Pamiętasz, ile osób zabiłaś, uciekając z rządowego ośrodka? – spytał ostro.

Zbrodnia miała miejsce kilkadziesiąt lat wcześniej, ale Rządy nie utrzymałyby kontroli nad współczesnym światem, gdyby tolerowały akty agresji przeciwko swoim ludziom.

Nie usłyszał odpowiedzi i nie odwrócił się, aby sprawdzić, jaką minę przybrała teraz dziewczyna, choć musiał przyznać, że go to ciekawi.

– Przypomnę ci: dziewięciu, z czego trzech szamanów... Dlaczego uciekłaś?

Tak naprawdę uważał tę kwestię za drugorzędną. Bardziej interesowała go informacja, jak kukiełce udało się pokonać znacznie silniejszych od niej przeciwników. Pytając o to, przyznałby się jednak do niewiedzy, a tego jako członek Rządu nie chciał robić.

Gdy odpowiedź znowu nie padła, odwrócił się i spojrzał zniecierpliwiony na szamana. Ten wyduł usta jak rozkapryszone dziecko, którym poniekąd był. Szarpnął dziewczynę za rękę, zmuszając do nawiązania kontaktu wzrokowego.

– Eksperymenty – powiedział, marszcząc brwi. – Uciekła z powodu eksperymentów z magią uzdrawiającą.

Magia uzdrawiająca oznaczała pobieranie pluripotencjalnych komórek macierzystych z organizmów kukiełek i leczenie nimi ludzi, co czasem kończyło się cudem, a czasem jeszcze szybszym zgonem w wyniku choroby nowotworowej. Bezpieczniejszą opcją okazało się przeszczepianie całych organów. Organizm biorcy nigdy nie odrzucał nowego narządu, lecz prawidłowe połączenie wszystkich naczyń krwionośnych nadal wymagało od chirurga ogromnych umiejętności. Niezbędny był także sprzęt, który we współczesnych warunkach coraz trudniej było odtworzyć.

Badania zapoczątkowane przez przodków w czasach, gdy Rządy nie podjęły jeszcze decyzji o cofnięciu ludzkości w rozwoju, dawno osiągnęły apogeum i ustąpiły miejsca uzdrowieniom dokonywanym przez szamanów.

– Poddawano ją eksperymentom? – spytał Anton, starając się, by jego głos nie wyrażał żadnych emocji.

Szaman milczał przez dłuższą chwilę, a na jego czoło wystąpiły krople potu.

– Tak – wydusił z trudem.

*Idioci – pomyślał Minister. – To jakby zarznąć kurę znoszącą miedziane jajka, by ugotować z niej rosół.*

– Boisz się nas, A?

– Tak – wyszeptała.

Spoglądała mu przez krótką chwilę w oczy, ale zaraz odwróciła wzrok.

– Załóżmy, że mogę obiecać, że nie spotka cię nic złego – powiedział spokojnie. – Nie poniesiesz kary za zabicie szamanów ani nie będzie żadnej magii uzdrawiającej. Poprosimy cię oczywiście o współpracę w kwestiach związanych z transferem energii, ale w zamian zyskasz bezpieczne schronienie i żywność przez cały rok. Brzmi dobrze?

Dziewczyna nie odpowiedziała, jej dłonie drżały lekko, więc ukryła je w zbyt długich rękawach męskiej kurtki. Zupełnie jakby nie potrafiła nad tym zapanować, jakby nie wywoływała tego świadomie.

– Ta umowa może wyglądać mniej korzystnie – dodał Minister. – Liczę do trzech: raz...

– Zgadzam się! – krzyknęła szybko.

– Jesteś bardzo rozsądna – powiedział, mimo że w odniesieniu do kukiełki zakrawało to na tautologię. – Nie spróbujesz uciec?

– Nie – zapewniła.

Minister spojrzał na szamana.

– Nie kłamie – stwierdził mężczyzna o dużych zielonych oczach dziecka.

Poszło szybciej, niż Anton się spodziewał. Oczywiście test trzeba będzie regularnie powtarzać, ale w tej chwili mieli powody do optymizmu. Nawet jeśli dziewczyna świetnie udawała, to szamana nie mogła przecież oszukać.

\*

– Obiekt proszony jest o opuszczenie strefy mieszkalnej – powiedział żołnierz przesadnie poważnym głosem.

A podniosła się i unikając gwałtownych ruchów wyszła z przeszklonej celi. Na początku podejrzewała, że wszystkie dziwne rytuały powinna złożyć na karb różnic pomiędzy północą a południem, gdzie nikt nie wypowiadał codziennie tych samych formułek ani nie przestrzegał wszystkich zasad bezpieczeństwa.

Po ponad roku od przyjęcia oferty Ministra doszła jednak do wniosku, że to czas zmienił rządowe ośrodki. Naukowo-wojskowy żargon urósł do rangi dialektu odróżniającego przywódców od ciemnej masy na zewnątrz. Procedury stały się ostoją dawnego porządku, który starano się

zakonserwować na niewielkich, pilnie strzeżonych obszarach. Tony stali oddzielały cywilizowany świat nauki od prymitywnych wspólnot na powierzchni.

– Procedura zmiany poziomu rozpoczęta – poinformował żołnierz.

A posłusznie ruszyła przed siebie, odruchowo utrzymując dokładnie taką odległość od mężczyzny, jaką zalecał regulamin. Weszła do windy i nie czekając na rozkaz położyła dłonie wysoko na ścianie, zupełnie jakby próbowała zapewnić uzbrojonemu wojskowemu poczucie bezpieczeństwa.

Po pierwszych miesiącach w ośrodku pogrążyła się w stuporze: jadła, oddawała zgromadzoną w swoim ciele moc rządowym szamanom i spała. Obserwując rozbudowany system zabezpieczeń, nie żywiła nadziei na ucieczkę. Tutaj nikt nie traktował obowiązków niedbale, nie popełniał błędów ani nie zapominał czegoś zrobić.

Później zrozumiała, że właśnie dlatego nie mogło się zdarzyć nic nieprzewidzianego. Wszystko odbywało się o ustalonych godzinach, żołnierze zachowywali się w określony sposób, a nawet poruszali się po tych samych trajektoriach.

Szamani wyłamywali się oczywiście z utartych schematów. Czasami ostentacyjnie udawali, że mają prawo do decydowania o swoim rozkładzie dnia. Z nimi jednak A potrafiła sobie poradzić.

Wyszła z windy, znów oparła ręce o ścianę i poczekała, aż żołnierz otworzy gródź dotykami dłoni. Potem jak zwykle stanęła oko w oko z lufą karabinu drugiego wartownika. Tamten odprowadził ją do drzwi pokoju, którego podłogę zrobiono z czegoś miękkiego. Czekają tam dwóch szamanów. Jednego – mężczyznę o niesamowitych zielonych oczach – poznała pierwszego dnia, drugi miał rzadkie w tym regionie kruczoczarne włosy, lecz poza tym niczym się nie wyróżniał.

Pomieszczenie było puste, pomalowane na nieskazitelnie biały kolor i regularnie sprzątane. Nie wypatrzyła tu niczego, co mogłoby rozpraszać szamana albo zostać wykorzystane jako broń. Jedynie uginająca się pod stopami podłoga działała na jej korzyść.

Dziewczyna ściągnęła płócienne ubranie i pozwoliła wniknąć w siebie pierwszemu szamanowi. Na tyle, na ile mogła ocenić upływ czasu, odczekała mniej więcej piętnaście minut, aby mieć pewność, że eskortujący ją żołnierz zdąży wrócić na stanowisko. Potem wybuchła.

Miała tylko jedną szansę. A wywołała w swoim wnętrzu tak potężne uderzenie mocy, że w ułamku sekundy ogień pochłonął umysł pierwszego szamana. Wyswobodziła się z objęcia, nim jego ciałem wstrząsnęły dreszcze. Podbiegła do drugiego i zatkała mu dłonią usta.

Nie była silniejsza od dorosłego mężczyzny, jednak w tym przypadku miała poważną przewagę: dla niego jej dłoń płonęła. Kukielka nie potrafiła wyprowadzić mocy na zewnątrz, ale mogła wypełnić nią swoje ciało, sprawić, by przelewała się przez pory skóry – rzecz prawie nieodczuwalna dla człowieka, ale śmiertelnie groźna dla szamana.

Przytrzymała jego głowę drugą ręką. Szamotał się i próbował wyrwać. Nosił rękawiczki, więc mógł bezpiecznie złapać ją za nadgarstki i odepchnąć. Musiała jak najszybciej wciągnąć jego umysł do swojego wnętrza.

Szaman puścił rękę A i uderzył ją pięścią w twarz. Tylko cudem utrzymała równowagę i nie upadła na podłogę. To jednak był wyczekiwany moment nieuwagi: ta krótka chwila, gdy skoncentrował się na wyprowadzeniu ciosu, otworzyła furtkę do jego mózgu. Wpadła do środka niczym płonąca kula, myśląc tylko o tym, by zniszczyć wszystko, co napotka na swojej drodze. Stopiła się z nim jak rozgrzany metal: czuła ból, strach i zdziwienie przeciwnika.



Tym razem nie mogło już pójść szybko, bo to ona wpychała go do pudełka. Musiała więzić mężczyznę do samego końca, nie zważając na krwawe łyzy, które spływały po jej palcach, ani na śmierć, którą odczuwała w najdrobniejszych szczegółach.

Szaman znieruchomiał. Dłuższą chwilę zajęło jej uświadomienie sobie, że nie czuje już bólu, a emocje drugiej osoby zniknęły. Ten paniczny strach należał tylko do niej.

Zerwała się na równe nogi. Dzięki miękkiemu podłożu wartownik nie mógł usłyszeć odgłosu upadających ciał. A odciągnęła je w kąt pokoju. Liczyła na to, że wyjdzie zwycięsko z walki z szamanami, lecz pokonanie uzbrojonego strażnika było już dużo mniej prawdopodobne.

Starannie wytarła zakrwawione ręce i ubrała się, ujednoliciła też ukrwienie twarzy, na wypadek gdyby niedawny wysiłek uczynił ją zbyt czerwoną albo bladą. Potem spokojnie wyszła z pokoju. Strażnik wycelował w nią broń, tak jak zawsze.

– Rozpoczynam procedurę zmiany poziomu – powiedział głośno.

Opuścił lufę, aby obsłużyć panel do komunikacji na odległość i przywołać drugiego wartownika. W tym momencie miała jedyną szansę. Najszybciej, jak tylko potrafiła, pobiegła w kierunku drzwi. Nim jednak do nich dotarła, huk wystrzału zagłuszył pierwsze sekundy bólu, a drugi strzał zabrzmiał jak echo. Dwie kule rozpruły dziewczynie brzuch.

A zwinęła się i zaczęła drzeć, pociemniało jej też w oczach. Ból był nie do zniesienia, odkaslnęła krwią. Nie wiedziała, kiedy żołnierz podszedł, ale kątem oka dostrzegła, że stoi nad nią z wycelowaną bronią.

Nie potrafiła ocenić, jak długo do niej mierzył, jednak mogłaby przysiąc, że to były godziny. A zbladła, jej oczy zaczęły uciekać w tył głowy. Walczyła o utrzymanie przytomności. Mężczyzna okrążył ją.

Odkasznęła krwią, znieruchomiała, przestała oddychać. Cisza, która wypełniła korytarz, stała się tak gęsta, że trudno było się w niej poruszyć. Żołnierz w każdym razie długo tego nie robił. Oddychał głośno, jak po intensywnym wysiłku. W końcu zdecydował się podejść do kukielki i sprawdzić jej puls.

Nie żyła, chociaż... Puls był, tylko ledwie wyczuwalny. W tym momencie dziewczyna wyrwała nóż z kabury na jego udzie i cięła nim na oślep. Mężczyzna cofnął się, ale dopadła do niego i wbiła ostrze w oko. Wypuścił broń z ręki. Próbował uderzyć kukielkę, kilka razy mu się udało, ale szybko tracił siły. A wyrwała nóż z szamoczącego się ciała i zadała drugi cios.

Nagle zegarek żołnierza zaczął przeraźliwie piszczeć.

*Cholera, czujnik śmierci* – pomyślała przytomnie.

Słyszała taki dźwięk tylko raz, ale pamiętała, że potrafi on pokonywać ściany i docierać do bardzo odległych ekranów. Złapała broń i rzuciła się pędem do drzwi. Miała szczęście, bo nie zdążyli ich jeszcze zablokować. Czujnik ruchu wypuścił ją do małego pomieszczenia, w którym zobaczyła drzwi windy. Dopadła czytnika linii papilarnych i położyła na nim zakrwawioną dłoń. Mechanizm nie rozpoznał jej oczywiście, a system w takiej sytuacji blokował intruza na dziesięć minut. Odcinając zarówno drzwi, jak i windę.

Lampka w suficie zamrugła na czerwono. A wpakowała w nią wszystkie naboje. Widywała podobną codziennie w swojej celi w rządowym ośrodku na południu i nie miała wątpliwości, że przez to światełko ktoś na nią patrzył. Potrzebowała tych dziesięciu minut, gdy nikt nie będzie mógł się do niej dostać ani jej obserwować.

Ściągnęła spodnie i szybko powycierała się z krwi, żeby nie zostawiać śladów. Otworzyła drzwi do szybu. Zaledwie dzień wcześniej odkryła, że

blokada się zepsuła i żaden mechanizm nie sprawdza, czy kabina znajduje się za drzwiami. Być może nigdy tego nie robił. Wtedy podjęła decyzję o ucieczce i musiała ją zrealizować, nim któryś z szamanów wyczyta to w jej umyśle.

A weszła do środka i zaczęła schodzić po drabince, bo tego, że będzie poruszać się w dół, mniej się spodziewali. Niewątpliwie przeszukają każdy centymetr szybu biegnący do wyjścia na powierzchnię. Kiedy uznała, że kończy jej się czas, wślizgnęła się do wlotu kanału wentylacyjnego i poczołgała przed siebie. Na dźwięk alarmu znieruchomiała. Taka odległość od otworu musiała wystarczyć.

Nawet gdyby zaryzykowała ruch, nie była już dłużej w stanie blokować ośrodka bólu w mózgu. Rana na brzuchu eksplodowała, jakby ktoś włożył w nią rozpalony pręt. Dziewczyna nie mogła krzyczeć, nie mogła nawet o tym myśleć, musiała całkowicie stopić się z budynkiem.

Wiedziała, że sprawdzą każde piętro, że szamani jak psy będą szukać śladu życia, że nawet jeśli nic nie znajdą, wzmocnią ochronę. Dlatego miała przed sobą długie miesiące, jeśli nie lata, spędzone w tym samym miejscu i w tej samej pozycji.

Aby zablokować ośrodek bólu, użyła zasobów, które zabrała z innego miejsca. Ceną była znacznie dłuższa regeneracja. Chociaż A nie wiedziała, kiedy skończyło się cierpienie ani kiedy jej umysł sobie to uświadomił, przez cały czas doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że zimno w szybie nie będzie miało końca.

Nie mogła się poruszyć. Musiała być przedmiotem, pudełkiem.

## ROZDZIAŁ 2

Nie przypuszczałam, że budynek, w którym mieszkała wspólnota szamana, jest aż tak duży. Miał trzy kondygnacje połączone czterema parami ruchomych schodów, przy czym tylko jedna wciąż działała. Wiele okien zamurowano – sądząc po plamach cegieł, odróżniających się od poszarzałych ścian, okazały się za duże jak na dzisiejsze czasy. Dobudowana ściana również znajdowała się na parterze i biegła przez całą szerokość budynku. Zgadywałam, że powstała, aby podzielić dużą przestrzeń, trudną do ogrzania w zimie. Ktoś nawet namalował na niej jesienny las, łącząc barwę cegły z nasyconymi brązami i przytłumioną żółcią.

Nie zastanawiałam się, dokąd prowadzi mnie Samuel, ale starałam się zapamiętać drogę, by w razie czego móc stamtąd wrócić. Wjechaliśmy na najwyższe piętro. Oświetlenie już prawie tu nie działało i odruchowo rozłożyłam ręce, by nie wejść na ścianę. Szaman bez trudu odnalazł panel, zielonkawe diody ożyły pod jego palcami. Uniosły się niewidoczne w ciemności drzwi.

Oślepiło mnie światło. Pokój różnił się od innych tutejszych pomieszczeń. Był stosunkowo niewielki, świeżo pomalowany na biało, a jego podłogę stanowiło jedno wielkie lustro. W dodatku tylko tutaj działały wszystkie LED-y.

– Nie mam pojęcia, do czego to pomieszczenie służyło wcześniej, ale wiem, do czego wykorzystują je moi ludzie. – Szaman mrugnął.

Coraz bardziej denerwowała mnie ta mimika, przywodząca na myśl aktora z trupy teatralnej.

Samuel postawił w kącie butelkę – prawdopodobnie antyk, bo była wykonana z cienkiego, trwałego szkła, jakiego nikt już nie potrafił produkować. Potem rozłożył koc, który przyniósł ze sobą.

– Podobno jest bardzo wytrzymała, ale niestety cholernie zimna – powiedział, wskazując na podłogę.

Skinęłam głową. Koc, butelka i to miejsce były dla mnie logicznymi elementami gry, którą prowadził ze swoimi ludźmi. Zaczął się rozbierać, więc ja również ściągnęłam płaszcz i sweter.

– Wystarczy – rzucił. – Zaczniemy małymi krokami.

Kontakt był tym głębszy, im większa powierzchnia styku ciał. Zostałam w koszulce na ramiączkach i podejrzewałam, że jak na początek było to i tak spore ryzyko dla szamana. Oni jedak nie lubili mądrzejszych od siebie, więc milczałam.

Samuel rozebrał się do pasa, a potem starannie złożył ubrania w kostkę, jakby to miało jakiś cel. Tym razem byłam na tyle spokojna, by zmierzyć go wzrokiem. Jak większość szamanów wyglądał na kogoś, kto nigdy nie cierpiał głodu ani nie został uderzony. Nie dostrzegłam innej blizny niż ślad po rozgrzanym cukrze. Nie był też tak mocno umięśniony jak ludzie, którzy ciężko pracowali albo żyli walką, co sprawiało, że jego sylwetka wyglądała chłopięco.

– Mam wciągnąć brzuch i napiąć mięśnie? – spytał, pochwyciwszy mój wzrok.

– Oceniałam, czy nadajesz się na niewolnika seksualnego – powiedziałam cichutko, niezbyt pewna, czy mogę sobie pozwolić na taką śmiałość.

Wybuchnął śmiechem.

– Nie wiedziałem, że masz poczucie humoru.

– Potrafię żartować – uściśliłam. – Ludzie to lubią.

– Ty się nie śmiejesz?

– Ależ oczywiście, że się śmieję – zaprzeczyłam natychmiast.

– Bo musisz czy dlatego, że chcesz?

– Bo muszę pamiętać, że chcę – odparłam.

Objęłam się ramionami. Pokój nie miał ogrzewania, a Samuel wyglądał, jakby nie zamierzał się ruszyć. Czyżby się bał? Nie potrafiłam go rozgryźć, a to oznaczało, że nie mogłam ocenić, jak zareaguje na porażkę w moim wnętrzu.

Zaczął wyłamywać palce.

– Jakies rady przed pierwszym razem? – rzucił wesoło.

To odpowiedź na mój żart? Chyba szaman nie pytał o zdanie kukielki? Zerknęłam na niego niepewnie. Wyglądał na całkiem poważnego.

– Nie wchodź za głęboko – powiedziałam cichutko. – Zrób to bardzo powoli i postaraj się niczego nie dotykać.

– Kurczę, to zupełnie odwrotnie, niż mówili mi koledzy!

Znowu do mnie mrugnął, ale wciąż widziałam w jego mięśniach napięcie, którego nie potrafił ukryć za figlarnym uśmiechem. Usiadł na kocu, więc ściągnęłam buty i podeszłam do niego. Samuel objął mnie ostrożnie.

Robiłam to znacznie więcej razy, niż bym chciała. Na pierwszym poziomie zanurzenia potrafiłam oddzielić swoje myśli od jego. Szaman radził sobie z tym znacznie gorzej. Czułam jego niepewność, strach, determinację.

Dłuższą chwilę pozostawał w pobliżu krawędzi. Potem zaczął się przesuwać po łuku, trzymając się jak najdalej od mocy. Nie było tak źle, jak się obawiałam. Coś umiał. Kiedy jednak wydawało mi się, że zaraz ze mnie wyjdzie i na tym zakończymy pierwszą próbę, on uparcie pozostawał w środku.

Czy naprawdę był w stanie koncentrować się przez tak długi czas?

Drętwiały mi nogi. Gdybym wiedziała, że to tyle potrwa, usiadłabym wygodniej. Umysł szamana stopniowo się oczyszczał. Myśli zaczęły

rozpływać się w narastającym spokoju lub raczej w pewności siebie.

Nagle, kiedy się tego najmniej spodziewałam, wyciągnął rękę w kierunku mocy i spróbował oddzielić fragment. Niewielki rozbłysk wybuchł na powierzchni i przeszył go na wylot. Przez jedno uderzenie serca czułam jego ból. Potem puścił mnie gwałtownie i odczołgał się na bok.

Był blady. Drżał, lecz najwyraźniej nie z zimna, bo odepchnął koc i położył się na chłodnej podłodze. Miał zamknięte oczy i twarz jakby zaciśniętą na wspomnieniu bólu.

Poczułam, że również się trzęsę, z zimna albo ze strachu. W jakim będzie stanie, kiedy odzyska siły? Cierpienie, jakie mogła zadać tylko moc, często spychało szamanów za granicę szaleństwa. Nie zawsze wracali, bo już na co dzień balansowali niebezpiecznie blisko jej przekroczenia.

Nie odzywałam się ani nie próbowałam go dotknąć. Na dobrą sprawę nie miałam odwagi się poruszyć, choć ścierpnięta noga coraz bardziej dawała o sobie znać. Uparty głosik, który starałam się wypchnąć ze świadomości, powtarzał, że tak naprawdę nic się nie stało. To był tylko niewielki rozbłysk, z którym poradziłby sobie każdy szaman w jego wieku. Samuel jednak nie wiedział, co robi. Niby skąd? Tutaj, z dala od rządowych ośrodków, gdzie uczyli się panować nad mocą... Dlaczego wcześniej o tym nie myślałam?!

Mężczyzna nadal nie otwierał oczu. Oddychał coraz wolniej, jego mięśnie rozluźniały się stopniowo. Trwaliśmy tak w bezruchu kolejne długie minuty. Ponieważ mało kto w dzisiejszych czasach posiadał działający zegarek, powinnam powiedzieć: długie uderzenia serca. Tyle tylko, że moje tłuło się jak oszalały sekundnik.

– Myślałem, że się umówiliśmy i mogę ci zaufać,

Podskoczyłam, kiedy zachrypnięty głos rozdarł gęstniejącą ciszę.

– Ja... ja nie chciałam – wymamrotałam. – Zamyśliłam się. Nie kontroluję tego... tak bardzo.

Kolejne długie minuty bezruchu, gdy sekundnik we mnie pulsował tak mocno, że echo chciało mi połamać żebra.

– Podaj butelkę.

Zerwałam się posłusznie, choć ścierpnięta noga odmawiała posłuszeństwa. Utykając, poszłam po butelkę i dopiero kiedy wracałam, zauważyłam, że mężczyzna obserwuje mnie spod wpróżymkniętych powiek.

– Co z twoją nogą?

– Ja... nie... nic... to tylko skurcz – wydukałam.

Nagle Samuel uśmiechnął się, jakby nie mógł już dłużej nad tym zapanować. Z początku wyglądało to na karykaturalny grymas. Potem podciągnął się na rękach i sycząc z bólu, oparł się o ścianę. Jednym łykiem opróżnił połowę butelki. Jego oddech wyrównał się nieco, ramiona opadły, żyły na szyi skryły się z powrotem pod skórą. Dopiero teraz otworzył oczy, iskrzące wesoło jak zwykle.

– Powinienem był uprzedzić, że mogę długo – powiedział.

Miałam wrażenie, że mój sekundnik zatrzymał się jak zepsuty mechanizm. Bałam się, że nawet mięśnie twarzy mi znieruchomiały. Pochyliłam więc głowę i podciągnęłam kolana pod brodę, próbując zamknąć się w pozycji ochronnej, jaką przybierają ludzkie dzieci.

Pod palcami poczułam zimną powierzchnię szkła.

– Wyglądasz, jakbyś potrzebowała tego bardziej niż ja.

Samuel zaśmiał się, wkładając mi w dłoń butelkę. Nie był to jeszcze naturalny śmiech, ale pojedyncze fałszywe nuty nie odbierały mu wesołości, w którą trudno było uwierzyć. Mój wzrok spoczął na bliźnie po



gorącym karmelu. Jeśli do czegoś mogłabym porównać uderzenie mocy, to do paskudnego oparzenia. Ból, który przeszywał człowieka na początku, wcale się nie kończył, tylko narastał. Czułam to cierpienie razem z szamanami. Czułam, kiedy ich zabijało... a on potrafił się śmiać.

Przyjęłam butelkę, bo bałam się sprzeciwić. Ostrożnie przyłożyłam wargi do szyjki. Rozpoznałam ten smak – spokój, który przyniosła mi wczoraj Marie. Wzięłam niewielki łyk i oddałam mu napój. Nie chciałam, by coś zaburzyło moją zdolność oceny sytuacji.

– Zatańczymy? – usłyszałam nagle.

Poruszając bezgłośnie wargami, powtórzyłam pytanie, które zabrzmiało, jakby zadano je w obcym języku. Znałam to słowo, ale nie mogło przecież paść tu i teraz.

– N... nie – wyjąkałam.

Mężczyzna spróbował się uśmiechnąć, lecz napięte z bólu mięśnie znów odmówiły mu posłuszeństwa. Wypił jednym haustem resztę zawartości butelki i spojrzał na mnie rozbawiony, jakby udał mu się świetny żart.

– Musisz rozchodzić skurcz, a ja przyspieszyć krążenie, żeby zioła dotarły do całego ciała. – Wstał, przytrzymując się ściany.

Różne rzeczy przerażały mnie w ludziach: bezwzględność, chciwość, ale najbardziej nieprzewidywalność. Taki człowiek wydawał mi się zdolny do wszystkiego.

Skoncentrowałam się na swojej twarzy. Ta mina słabo mi wychodziła, więc czułam się jak karykatura samej siebie, gdy wyginałam usta w podkówkę i wprawiałam brodę w drżenie. Miało to wyglądać, jakbym ze wszystkich sił starała się nie rozpłakać. W rzeczywistości było dokładnie odwrotnie.

– No już dobrze. – Samuel uniósł dłonie w żartobliwym geście poddania. – To może chociaż się przejdziemy?

Skinęłam głową. Ubraliśmy się oboje powoli, jakby mnie też krępował ból. Mężczyzna wyciągnął rękę w moją stronę. Cofnęłam się mimowolnie.

– Mogę? – spytałam cichutko, sięgając po jego nóż.

– Hej, powiedziałem już, że nie musimy tańczyć – powtórzył, starając się udawać rozbawienie. W rzeczywistości jego rysy wciąż były ściągnięte cierpieniem.

Powoli, unikając gwałtownych ruchów, wyciągnęłam nóż z pochwy na udzie szamana. Wycięłam dziury w rękawach swetra i oddałam mu broń. Teraz mogłam wsunąć środkowe palce w otwory, tak by materiał przysłaniał nadgarstki.

Wzruszył ramionami, ale nie zastanawiałam się, jak mam to interpretować. Zostawiliśmy koc i pustą butelkę, i wyszliśmy z pokoju, trzymając się za ręce.

– Zapamiętam, że nie lubisz tańczyć – powiedział, a ja nie widziałam jego oczu w ciemności, która panowała na korytarzu.

Słyszałam jednak nierówny rytm kroków i oddechu. Mój skurcz chyba już minął, bo zapomniałam o nim zupełnie.

Kiedy Samuel się zatrzymał, nie wiedziałam nawet, czy gdzieś doszliśmy, czy on nie jest już w stanie iść dalej. Zdaje się jednak, że to pierwsze, bo usłyszałam przytłumione klikanie przycisków. Zastanawiałam się, jakim cudem je odnalazł. Dopiero kiedy u góry odsunął się właz, ciemność zrobiła się mniej nieprzenikniona i odkryłam, że stoimy obok metalowej drabinki.

Wskazał na nią i zrozumiałam, że mam wejść pierwsza. To była stara i przerdzewiała konstrukcja, która trzęsła się pod moim ciężarem. Typowa

pamiątka dawnej cywilizacji.

Na górze najpierw zorientowałam się, że jestem na dachu, potem dopiero, że stoję oko w oko z uzbrojonym nastolatkiem. Chłopak wyglądał na trzynaście lat, ale mógł być starszy. Przedstawiciele rasy azjatyckiej zwykle wydawali się młodszy. Miał na udzie taki sam wielki nóż jak Samuel, a przez plecy przewieszony długi drąg.

Nie sięgnął po broń, nie zapytał, kim jestem, mierzył mnie tylko wzrokiem. Nie mogłam sobie przypomnieć, czy widzieliśmy się przy obiedzie. Chyba nie zapamiętałam twarzy większości osób. Szamanowi wejście po drabinie zajęło znacznie więcej czasu. Stłumił syk bólu, schodząc z ostatniego szczebla. Zaraz jednak jego twarz rozciągnęła się w szerokim uśmiechu, którym powitał chłopaka.

– Li, poznaj naszą nową przyjaciółkę, A – powiedział.

Młodzieniec nadal mi się przyglądał. Nie podał mi ręki, nie skinął głową. Nagle splunął przez ramię, odwrócił się i odszedł w przeciwnym kierunku. Poczułam, że Samuel ciągnie mnie za rękaw. Może nie powinnam dłużej patrzeć na chłopaka.

Rozejrzałam się dookoła. Znajdowaliśmy się na dachu, otoczonym przezroczystą kopułą. Dawni ludzie często tworzyli takie konstrukcje, ale bardzo niewiele zachowało się w dobrym stanie. Ta też miała kilka dziur, choć niewielkich. Zaklejono je postrzępionymi płachtami folii – jedną z niewielu rzeczy, które przeszłość zostawiła nam w nadmiarze.

Mężczyzna znów pociągnął mnie za sobą. Ruszyliśmy alejką wytyczoną pomiędzy setkami zasadzonych tu roślin. Zioła.

– Moja matka założyła ten ogród – powiedział z dumą.

Niezwykłe, zupełnie różni i oddaleni od siebie ludzie mieli ten sam ton głosu, kiedy wypowiadali podobne zdania. „Mój ojciec zbudował ten

dom”. „Mój dziadek założył tę osadę”. „Mój brat wymyślił te kanały do irygacji”. „Moja matka stworzyła tę uprawę odurzających ziół...”.

Przyjrzałam się roślinom. Niektórzy potrafili nimi leczyć, inni używali ich jako przypraw. Jednak umiejętność łączenia ziół w taki sposób, aby zmieniały nastrój, wprowadzały w trans lub pozbawiały przytomności, pozostawała w rękach jednej grupy, z którą nie wolno było rywalizować. Rządy bardzo tego pilnowały.

– Twoja matka była...

– Była szamanką – dokończył, wciąż z tą samą dumą w głosie.

Lawina myśli przetoczyła się przez mój umysł tak szybko, że ledwie zdążyłam pochwycić niektóre z nich. Współcześnie tylko trzydzieści procent kobiet mogło mieć dzieci. Tak twierdziły Rządy, ale nie wierzyłam, że potrafią to policzyć. Ludzie bardzo nie lubili rejestrowania noworodków. Czuli się bezpieczniej, kiedy wiedziało o nich jak najmniej osób. Tym bardziej że płodne kobiety stały się najcenniejszym towarem naszych czasów.

Szamani stanowili bardzo niewielki odsetek populacji. Kobiety dotknięte tym darem jeszcze mniejszy. To akurat dało się zaobserwować gołym okiem, jeśli ktoś miał nieprzyjemność zwiedzania rządowych ośrodków.

Reasumując, płodna kobieta-szaman to szansa jedna na milion, a jednocześnie to ten rodzaj zbiegu okoliczności, który musiał się kiedyś zdarzyć. Oczywiście przy założeniu, że szamani mogli mieć dzieci tak samo jak normalni ludzie. Według oficjalnej wersji Rządów – nie mogli.

Nagle zdałam sobie sprawę z konsekwencji. Samuel musiał mieć rodzeństwo. Nikt nie zmarnowałby przecież takiego potencjału. Prawdopodobnie dar, który odziedziczył, był też nieco większy niż w

przypadku innych szamanów. Najważniejsze jednak wydawało mi się to, że dla Rządów był równie cenny jak ja...

Mężczyzna zatrzymał się nagle, stanął przede mną i objął mnie delikatnie. Drgnęłam, gdy jego policzek musnął moją twarz, a usta zbliżyły się do ucha.

– Wyglądasz nieludzko – szepnął.

– Przepraszam, zamyśliłam się – wymamrotałam, ukrywając twarz na jego ramieniu.

Dawno mi się to nie przydarzyło w miejscu, w którym ludzie mogliby mnie zobaczyć. Drobiazg, owszem, jeden z tych, które mogą kosztować istnienie. Odzyskałam panowanie nad sobą. Podniosłam głowę, uśmiechnęłam się z roztargnieniem. Pewnie nie był to najlepszy dobór miny do sytuacji, ale zawsze jakiś.

Skinęłam głową na znak, że już dobrze. Pozwoliłam lawinie myśli spocząć gdzieś na dole umysłu. Teraz musiałam wrócić między ludzi i skoncentrować się na byciu jedną z nich.

Odwróciliśmy się i poszliśmy w kierunku wjazdu. Li wyglądał, jakby na nas czekał albo chciał się upewnić, że zaraz stąd pójdziemy. Samuel nagle zwolnił i zadarł głowę.

– Ładną noc dzisiaj mamy – powiedział, wybuchając śmiechem.

Był rozluźniony, oddychał równo, szedł sprężystym krokiem. Zaczęłam śmiać się razem z nim. Obiektywnie nie uważałam tej sytuacji za zabawną, ale w takich chwilach potrzebowałam zsynchronizować swoje zachowanie z kimś, kto reagował naturalnie.

Wróciliśmy do drabiny. Zeszłam pierwsza, ostrożnie opuszczając stopy w gęstniejącą ciemność korytarza.

– Mamy coraz mniej czasu – usłyszałam nagle.

Głos nade mną był bardzo niski. Nie pasował do młodego chłopaka, ale na pewno też nie należał do Samuela. Wiedziałam tylko, że mężczyzna nic nie odpowiedział. Kiedy zszedł, właz zasunął się i nie zdążyłam zobaczyć wyrazu jego twarzy.

\*

Samuel wyszedł wcześniej rano ze swoimi ludźmi. Nietrudno było zgadnąć, że wybrali się na targ. Butelki podzwaniały wesoło w drewnianych skrzyniach, a płócienne worki skrywały sypką zawartość.

Cieszyłam się, że nie muszę iść z nimi. Po śniadaniu nikt się mną nie interesował i mogłam pokręcić się trochę po budynku. Sprawdzić, gdzie są wyjścia albo ubytki w murach. Znalazłam sporo pomieszczeń rozdzielonych tylko bocznymi ścianami. Prawdopodobnie nigdy nie miały frontów. W kilku miejscach ktoś namalował okna i błękitno-zielony świat za nimi. Prawdziwych wyjść – poza dwiema parami głównych drzwi – nie udało mi się jednak odnaleźć.

Nie mogłam zajmować się tym zbyt długo. Po pierwsze, nie chciałam wzbudzić podejrzeń. Po drugie, jako osoba od zawsze zdana na łaskę innych wiedziałam, że muszę pomóc gospodarzom w codziennych obowiązkach.

Kobiety w kuchni zauważyły mnie, gdy tylko weszłam do wielkiej jadalni. Od razu poczułam pulsowanie z tyłu głowy. Rozejrzałam się, ale szamana tutaj nie było, a przed emanacjami uczucie było intensywniejsze.

Rozpoznałam jedynie Marie. Młoda kobieta, która stała obok niej, wyglądała na starszą, chociaż równie dobrze mogły być w tym samym wieku. Miała szerokie biodra, duże piersi i burzę kręconych rudych włosów. Widziałam ją już wczoraj. Podejrzewałam, że według ludzkich standardów jest piękna, a przynajmniej ona sama się za taką uważa. Nauczyłam się rozpoznawać takie rzeczy po wyrazie oczu i pewności

ruchów. Ostatnia dziewczyna musiała być młodsza od nich obu. Przeciętą nastolatka o mysich włosach i wciąż kanciastych kształtach.

Pochyliłam głowę i zarumieniłam się, widząc, że mi się przyglądają. Podeszłam do nich szybko, żeby nie przedłużyć tej chwili zawieszenia, gdy jeszcze nie byłam członkiem grupy, ale już naruszyłam jej przestrzeń.

– Czy mogłabym wam pomóc? – spytałam pokornie.

Marie z jakiegoś powodu się zawahała, ale druga kobieta od razu podała mi nóż i podsunęła garnek ziemniaków.

– Pewnie, szybciej skończymy – powiedziała wesoło. – Jestem Kim.

Wycierała dłoń i podała mi ją energicznie. Uśmiechnęłam się.

– Mika – powiedziała cichutko nastolatka, pokazując mi, że ma zajęte ręce.

Z bliska łatwiej było zauważyć sztywność jej ruchów. Tak naprawdę nie chciała mnie dotknąć ani nawet przebywać w moim towarzystwie. Czyżby ona również była kukiełką? To jej obecność wyczułam? Skinęłam głową na znak, że zrozumiałam. Lubiłam takie sytuacje. Kiedy obie strony unikały się nawzajem, zawiązywał się między nimi rodzaj porozumienia.

Osobiście od pomagania w kuchni wolałam prace rolnicze, jak pielienie czy grabienie siana. Niestety, zaczynała się zima i obieranie ziemniaków było kwintesencją nadchodzących miesięcy.

Nagle coś uderzyło w okno. Ciszę przeszył wysoki krzyk. Mika, to ona krzyczała. Stała teraz z dłońmi przyciśniętymi do uszu. Stawała się coraz mniejsza, jakby z każdym kolejnym ułamkiem sekundy zamykała się bardziej w sobie. Kim podbiegła i objęła ją matczynym gestem, jakiego bym się po niej nie spodziewała.

Dopiero teraz zrozumiałam, że sama cofnęłam się o kilka kroków i zacisnęłam palce na trzonku niewielkiego noża.

– Już dobrze – powiedziała łagodnie Marie, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Chłopcy grają w piłkę. Chcesz zobaczyć?

Pytając, pociągnęła mnie lekko za ramię. Pomyślałam, że powinnam wyjść ze względu na Mikę. Odłożyłam szybko nóż i poszłam za Marie, starając się zapanować nad odruchem wytarcia dłoni w czyste spodnie.

Kiedy wyszłam z ogrzanej kuchni, przebiegł mnie dreszcz. Na korytarzu było chłodno, a na zewnątrz całkiem zimno. Płaszcz zostawiłam w sypialni, tak jak większość osób, które rano nie poszły na targ. Marie też się trochę trzęsła i pewnie szliśmy szybko, żeby się rozgrzać.

Za budynkiem znajdował się duży plac, po którym biegali chłopcy, jak ich nazwała Marie. Doliczyłam się dwóch czterdziestolatków, wielu mężczyzn było w wieku Samuela, a większość jeszcze młodsza. Zauważyłam kilka starszych osób na murku. Obserwowały grę, owinięte w kolorowe pledy.

Dopiero teraz zwróciłam uwagę na dziwne proporcje w tej wspólnotce. Wielu nastolatków i młodych mężczyzn, nieliczne kobiety i starsi. Widziałam już coś podobnego. W plemieniu Sępów, ale tam członków dobierano według kryterium siły. Tutaj nic na to nie wskazywało.

Pomimo chłodnego wiatru większość graczy miała na sobie tylko spodnie. Nie wyglądali na szczególnie postawnych. Jedynie Tom wyróżniał się spośród nich. Był znacznie szerszy w barach i bardziej umięśniony, niż sądziłam, patrząc na chłopięcą twarz. Miał też więcej blizn niż jego towarzysze. Gdybym musiała na oko wskazać przywódcę stada, nie wahałabym się nawet przez chwilę.

Mężczyzna dostrzegł nas, dopiero gdy piłka wypadła poza wytyczone pole. Uniósł dłoń, przerywając tym samym grę.

Marie stała obok mnie z założonymi rękami. Miała pochmurną minę i brakowało jej tylko rytmicznego tupania.



– Chyba nie zbiliśmy szyby? – zawołał Tom.

– Wystraszyliście Mikę! – odkrzyknęła dziewczyna.

Ku mojemu zdziwieniu wszyscy jak jeden mąż pochylili głowy, jakby doskonale rozumieli powagę tego oskarżenia.

– Będziemy uważać – powiedział ciszej i bardziej pokornie, niż bym się spodziewała.

Jeżeli nie wiedzieli, że Mika jest kukiełką, to musieli uznać nastolatkę za jedną z tych dziewcząt, które przeszły znacznie więcej, niż ich młodziutki umysły mogły znieść. Pewnie tak im się zaprezentowała.

Z zamyślenia wyrwało mnie klaskanie. Tom uderzył kilka razy w dłonie.

– Ruchy, ruchy, panowie! Mamy publiczność... I uwaga na okna.

– Popatrzmy przez chwilę. Niech podbudują swoje ego – powiedziała mi na ucho Marie.

Skinęłam głową, choć wcale nie uśmiechało mi się marznięcie tutaj z powodu ludzkich rytuałów godowych. Miałam jednak wrażenie, że dziewczyna została tylko dlatego, że uważała to za miły gest.

Nie wiem, jak długo tak stałyśmy. Nie na tyle, bym zdążyła się zorientować w zasadach gry. Piłki, które ludzie znaleźli na gruzach dawnej cywilizacji, były zwykle zniszczone, ale z niezrozumiałych dla mnie powodów wszyscy próbowali je odtworzyć. Niemal każde miasto miało też własny pomysł na ich wykorzystanie.

– A, ty się cała trzęsiesz! – krzyknęła Marie. – Chodź, zrobię ci coś ciepłego do picia.

Uśmiechnęłam się z zakłopotaniem. Zgadywałam, że powinno mi być głupio, bo odrywam ją od zabawy, ale też nie marzyłam o niczym innym, jak tylko o powrocie do trzaskającego ognia.

W ostatniej chwili, kiedy się obracałam, dostrzegłam na ręce Toma dosyć dużą bliznę po oparzeniu. Dokładnie taką samą, jaką miał Samuel.

\*

Spodziewałam się szamana nieco wcześniej, ale wrócił dopiero późnym popołudniem, tak jak pozostali sprzedawcy. Dzisiaj przy stole panowała już swobodna atmosfera. Wszyscy żartowali i przekrzykiwali się. Większość członków wspólnoty spędziła cały dzień na zewnątrz, więc policzki mieli zaczerwienione od jesiennego chłodu.

Marie nakładała jedzenie w kuchni. Kim roznosiła talerze. Zrezygnowała ze skromnego fartuszka, który miała na sobie, kiedy rozmawialiśmy przed południem. Teraz dopiero zwróciłam uwagę na głęboki dekolt w jej swetrze. Wydawało mi się to mało praktycznym pomysłem na zimowy strój. Oczywiście mieszkałam z ludźmi dostatecznie długo, by nie przeceniać znaczenia logiki w ich życiu.

Rozejrzałam się uważnie, ale nigdzie wśród młodych ludzi nie dostrzegłam Miki ani Li. Po chwili wypatrzyłam Toma, który wyłonił się właśnie zza błękitnej kotary. Miał mokre włosy, a jego koszulka kleiła się do wilgotnego ciała. Sweter zawiązał w pasie, jakby w pomieszczeniu było zbyt gorąco.

Przechodząc obok Marie, klepnął ją w tyłek. Dziewczyna pisnęła i podskoczyła zgodnie z ludzkim rytuałem, a potem posłała mu mordercze spojrzenie. Tom jednak nie obejrzał się, idąc do stołu.

Odwróciłam od nich wzrok i udawałam, że tak jak wszyscy przyglądam się mężczyźnie o różnokolorowych włosach, który relacjonował perypetie związane z odbudową uszkodzonej ściany w jednym z sąsiednich domów.

Ludzie byli gatunkiem opowiadaczy. Nawet najmniej znaczące wydarzenia ze swojego życia potrafili ubrać w formę historyjki z puentą.

Spojrzałam znów na Toma, a właściwie na odcinającą się od usianej piegami skóry bliznę po oparzeniu.

– Co ci się stało? – spytałam cicho, mając nadzieję, że nie zwrócę na siebie uwagi innych.

Uśmiechnął się znacznie mniej chłopięco niż dotychczas. Podniósł się, przechylił nad stołem i pokazał mi dłonią, że mam zrobić to samo. Dopiero wstając poczułam, że moje serce przyśpieszyło jak u małego zwierzątka, które nieopatrznie podeszło zbyt blisko drapieżnika.

– Chcieliśmy sprawdzić, który z nas dłużej wytrzyma – szepnął mi na ucho. – Oczywiście wygrałem.

Powinam się roześmiać? Zrobić wielkie oczy, a może mądrą minę dorosłego i popukać się w czoło? Uśmiechnęłam się pobłaźliwie, jakby rzeczywiście chodziło o głupią zabawę. Kompletnie nie rozumiałam dzieci, które w moim odczuciu były zdolne do wszystkiego. Blizny jednak zdawały się zbyt duże, a spojrzenia obu mężczyzn – bo Samuel tylko udawał, że rozmawia z Kim – zbyt poważne.

Chciałam pomóc posprzątać po obiedzie, ale szaman złapał mnie za rękę i pociągnął za sobą. Wraz z barwnym tłumem przepłynęliśmy przez wąskie gardło drzwi od jadalni. Mężczyzna wprowadził mnie w jeden z nieoświetlonych korytarzy i nagle przycisnął ciałem do ściany. Zupełnie jakbyśmy odgrywali scenę gwałtownej namiętności.

– Postaraj się na razie trzymać z daleka od Toma – wyszeptał.

To nie było polecenie. Niepewność i obawa w jego głosie sprawiły, że słowa zabrzmiały jak rada. Jedna z tych, które można wziąć pod uwagę lub zbagatelizować. Wiedziałam jednak, że traktuje sprawę bardzo poważnie, skoro nie mógł z tym poczekać, aż dojdziemy do lustrzanego pokoju.

Nie odezwałam się na schodach ani na korytarzu. Odważyłam się zwrócić mu uwagę dopiero na widok porzuconego na podłodze koca i pustej butelki.

– Nie powinniśmy tego dzisiaj robić – wyszeptałam. – Nie doszedłeś jeszcze do siebie po wczorajszym...

Wybuchnął śmiechem, jakbym opowiedziała wyjątkowo dobry żart.

– Przyznaję, że masz bogate wnętrze, ale chyba nie sądzisz, że zrobiłaś na mnie aż takie wrażenie? – odparł, odpinając nóż.

Nie podobała mi się ta jego wesołość ani lśniące oczy, ani ruchy znacznie szybsze niż wczoraj. Miałam ochotę tupnąć i krzyknąć, że znam się na tym lepiej od niego, więc niech wróci do mnie, jak dorośnie, co w przypadku szamana mogło oznaczać: nigdy.

Zamiast tego pochyliłam głowę, przygryzłam wargę i zaczęłam się posłusznie rozbierać. Wiedziałam, że według norm ludzkiej moralności jestem zła. Nie potrafiłam się otwarcie sprzeciwić i wolałam postąpić wbrew sobie, jeśli tylko pozwalało mi to uniknąć konfrontacji. Nie odważyłabym się uderzyć człowieka w twarz, co nie znaczyło, że nie wbiłabym mu noża w plecy. Jakaś częśćka mojego umysłu – wychowana wśród ludzi – mówiła, że powinnam się tego wstydzić, ale cała reszta – wychowana wśród tych samych ludzi – wiedziała, że dzięki temu wciąż istnieję.

Usiadłam na kocu, uniosłam ramiona i podciągnęłam kolana pod brodę. Bierny opór – przynajmniej na tyle było mnie stać.

Samuel nie wahał się tym razem. Uklęknął za mną i objął mnie mocno. Wszedł gwałtownie do mojego wnętrza, ale zaraz zatrzymał się, zdając sobie sprawę z błędu, który popełnił. Jakaś mieszanka ziół zwiększyła mu koncentrację, ale przerwała też naturalne bariery, które chroniły jego umysł. Zalała mnie fala emocji. Strach – nie uzasadniona obawa przed

mocą, ale zakorzenione głęboko przekonanie, że wkrótce już nie będzie odwrotu, a szaman zmieni się w potwora i zapomni o człowieku, którym starał się być przez te wszystkie lata.

Wycofał się ze mnie ostrożnie. Najpierw mentalnie, potem zaczął oddalać się fizycznie i chyba zatrzymała go dopiero ściana.

– Ile widziałaś? – spytał szeptem.

Milczałam.

– Znaczy za dużo – odpowiedział na swoje pytanie po dłuższej chwili.

Potem zaczął opowiadać, chociaż nie spodziewałam się ani nie oczekiwałam żadnego wyjaśnienia. Poznałam po brzmieniu jego głosu, że odwrócił się do mnie tak, że nie mogłabym spojrzeć mu w oczy. Oczywiście gdybym zamierzała to robić.

– Pewien mężczyzna chciał, żeby moja matka urodziła mu potomka. Mieszkał tu z nami we wspólnocie i nawet go lubiłem. Kiedy jednak odmówiła, próbował wziąć ją siłą. Uciekła, potknęła się na schodach, skrzyła kark – mówił powoli, jakby dobór słów sprawiał mu trudność. – To był wypadek, ale przecież nikt by tak tego nie nazwał. Miałem dwanaście lat. Ten człowiek płakał jak dziecko, w przeciwieństwie do mnie. Zaklinał się i przysięgał, że nigdy by tego nie uczynił, gdyby wiedział, co się stanie. Czułem, że mówi prawdę, a mimo to kazałem wszystkim wyjść. Zamknąłem drzwi i zostaliśmy sami w pustym pomieszczeniu, takim jak to.

Zamilkł na chwilę. Przywoływał wspomnienia? Zastanawiał się, ile chce mi powiedzieć? Nie był w stanie dalej mówić? Nie wiedziałam. Sięgnęłam po sweter i zarzuciłam go na plecy, bo było zimno.

– Wiem, że nie zrobi to na tobie wrażenia, jeśli powiem, że go zabiłem. Na nikim by nie zrobiło – podjął. – Otworzyłem go i dręczyłem jego duszę tak długo, aż skonał. Gdyby ktoś mnie zapytał, ile to trwało,

przysięgłbym, że godzinę, dwie. Kiedy wyszedłem, powiedzieli mi, że minęły trzy dni. Przez trzy dni i trzy noce słyszeli krzyki, a ja nie byłem tego świadomy.

– Twoi ludzie wiedzą? – spytałam, gdy znowu zamilkł.

– Tak. Kilku pamięta. Reszta słyszała opowieści. Oczywiście nikt nigdy nie wspomina o tym głośno, ale na początku strasznie się mnie bali. Nie wiesz, jak to jest...

Gdybyśmy nie siedzieli do siebie tyłem, pewnie spojrzalabym z politowaniem.

– Jak to jest, kiedy wszyscy widzą w tobie potwora? – dokończyłam z sarkazmem. – Rzeczywiście, trudno sobie to wyobrazić.

– Dla ciebie to jest mniej bolesne. Nie potrzebujesz wspólnoty, akceptacji, miłości, fizycznej bliskości drugiej osoby...

– Mogę zapytać, skąd to wiesz?

Naprawdę usłyszałam, jak wstrzymuje oddech? Raczej tak. W przeciwieństwie do ludzi rzadko ulegałyśmy sztuczkom wyobraźni. Przygryzłam wargę. Przez te wszystkie lata ich odruchy weszły mi w nawyk do tego stopnia, że używałam ich, nawet gdy nikt nie patrzył.

Wcale nie planowałam mu tego mówić. Pewnie on też nie zamierzał mi się zwierzać.

Pozbierałam swoje rzeczy z podłogi i zaczęłam się ubierać. Samuel zrobił to samo. Ponieważ skończyłam pierwsza, stanęłam przy terminalu, zagradzając mu drogę.

Podszedł do mnie, ale nie podniósł oczu. Wyglądał na zawstydzonego, choć mogły nim teraz targać zupełnie inne emocje. Nie powinnam go dręczyć, ale wiedziałam, że od uśmiechniętego mężczyzny, którego spotkam jutro, nie dowiem się już prawdy.

– Kiedy powiedziałeś mi, że chcesz wykorzystać moc do dobrych celów, kłamałeś?

– Pytasz, czy jestem dość głupi, żeby w to wierzyć? Nie, nie jestem.

Na krótką chwilę udało mi się pochwycić jego wzrok i odniosłam wrażenie, że rozmawiam z kimś innym niż zwykle. Potem otworzył drzwi, a ja wyszłam bez słowa, zostawiając go samego.

Wielu wierzyło, że moc, tak jak nóż, jest obojętna moralnie. Można używać jej w dobrych lub złych celach. Wszystko zależy od człowieka, który się nią posługuje. Nie zastanowiło ludzi tylko to, że moc zniszczyła ich cywilizację, a niczego jeszcze nie zbudowała.

Szłam ostrożnie ciemnym korytarzem, gdy usłyszałam szmer za plecami. W pierwszej chwili próbowałam go zignorować, ale dźwięk się powtórzył. Odwróciłam się powoli. Samuel zamknął za mną drzwi i wiedziałabym, gdyby otworzył je z powrotem. Ktoś więc czaił się w ciemności, jakby nas szpiegował. Mika? Czy szaman nadal znajdował się dostatecznie blisko, bym wyczuwała jego obecność?

Patrzyłam w gęstą ciemność przede mną i sama nie byłam pewna, czy chcę czekać, aż intruz się ujawni, czy wolę udać, że niczego nie słyszałam.

Nagle LED-y rozbłysły na całej długości korytarza. Przede mną rzeczywiście stała Mika, jedną dłonią dotykając ściany. Dziewczyna miała zaciśnięte powieki i wyraz skupienia na twarzy. Otworzyła oczy i spojrzała w moim kierunku. Jej źrenice lśniły intensywnym, zimnym światłem, zupełnie jak lampki. Opuściła rękę i korytarz znów utonął w ciemności.

Bardzo powoli cofnęłam się tyłem aż do schodów. Myliłam się. Mika z całą pewnością nie była kukielką.

Tik-tak. Tik-ta. Tik. Tik. Tik. Ti. Ti. Ti...

Moje serce nieudolnie odmierzało kolejne sekundy.

## MARIE – 10 LAT WCZEŚNIEJ

Marie odrzuciła na plecy gruby kasztanowy warkocz. W jej wspólnocie kobiety nie obcinały włosów, choć nikt nie pamiętał, skąd wzięła się ta tradycja i czemu miała służyć. Nastolatce bardzo się jednak podobała, ponieważ podobnie jak siostry miała wyjątkowo piękny warkocz, przy którym mysie ogonki dużo starszych dziewcząt wyglądały blado.

– Długo jeszcze? – spytała z jękiem Sara.

Oho, zaczynało się. Pielili grządki ziemniaków od niecałej godziny i Marie nie miała wątpliwości, że usłyszy to pytanie jeszcze wiele razy z ust młodszego rodzeństwa.

– No – mruknęła pod nosem. – Ale jeśli się bardzo postaramy, to powinniśmy zdążyć w trzy dni.

– To nie jest śmieszne! – krzyknęła Sara.

– Dlatego nie żartowałam – odparła Marie, symulując poważny głos dorosłego.

Miała czternaście lat i trójkę młodszych dzieciaków pod opieką. W zasadzie nie lubiła zajmować się rodzeństwem, ale była najstarszą córką swojej matki, więc odziedziczyła po jej śmierci ten obowiązek. Poza tym latem w rolniczej wspólnocie każdy miał pełne ręce roboty i nie wolno było wybrzydzać.

– O której będzie obiad? – zagadnęła znowu Sara. – Głodna już jestem.

Dziewczynka była wyjątkowo leniwa i zawsze znajdowała sposób na wykręcenie się od pracy. Na Marie nie działały jednak jęki, kokietowanie ani teatralne minki siostry. Już chciała uciąć dyskusję, gdy Sara odezwała się znowu.



– Patrz! To Kris!

Marie odwróciła się i rzeczywiście zobaczyła szybko zbliżającego się trzynastolatka. Kris od najmłodszych lat miał dar do irytowania wszystkich wokół i dar do biegania. Nikt nie wątpił, że w genialnym zamyśle natury te dwie cechy musiały się łączyć.

Pojawienie się chłopca nie zwiastowało niczego dobrego. Marie, która do tej pory siedziała w kucki pomiędzy krzaczkami ziemniaków, zerwała się na równe nogi i zaczęła wycierać w spodnie zapiaszczone ręce.

– Marie! – wrzasnął Kris z daleka. – Młody Jim złamał nogę!

Dziewczyna odetchnęła z ulgą, bo to przecież nie był najgorszy wypadek, jaki mógł się zdarzyć we wspólnocie.

– Leć. – Kris zatrzymał się metr od niej, oparł dłonie na kolanach i usiłował złapać oddech. – Już ja ich przypilnuję.

Marie doskonale wiedziała, jaki będzie efekt tej zamiany opiekunów. W najlepszym razie skończy się na zwykłej awanturze pomiędzy dziećmi i kilku siniakach. Pomyślała jednak o tym, kiedy już biegła w stronę domu.

Często wołano ją, zwłaszcza do złamań, bo nikt inny we wspólnocie nie miał takiej smykałki do gipsowania. Poza tym od zawsze lubiła leczyć, a stara Dona chwaliła ją za opanowanie i odwagę. Marie asystowała przy dwóch porodach swojej matki. Dona mówiła wszystkim, że dziewczynka do samego końca zachowywała zimną krew i wypełniała jej polecenia, nawet wtedy, gdy na świat przysła Sara, a matka Marie zmarła.

Kiedy dziewczyna dobiegła do domu, miała wrażenie, że całe jej ciało lepi się od potu i kurzu. Ktoś akurat wychodził, więc nie musiała wprowadzać kodu przy zewnętrznej wzmocnionej grodzi. Wewnątrz budynku były już tylko tradycyjne drewniane drzwi zamykane na klamki i

nikt nie pamiętał, czy kiedyś wymontowano panele, czy też nigdy ich tam nie było.

Marie od razu poszła do ostatniej sali na parterze, zapukała cicho i nie czekając na odpowiedź, weszła do środka. Ledwie zapanowała nad odruchem cofnięcia się, pochyliła głowę. Czuła, że twarz piecze ją, jakby stanęła przed wielkim ogniskiem. Na podłodze siedział nago młody Jim – osiemnastolatek, w którym podkochiwały się chyba wszystkie dorastające dziewczęta we wspólnocie.

– Mówiłam, żebyś się zasłonił, a nie siedział z fujarą na wierzchu – ofuknęła go stara Dona. – Dziecko mi gorszysz!

– Dziecko – prychnął stary Jim, ale grzecznie podał synowi spodnie. – Jakby była płodna, to już by na nią konkurs rozpisali.

Każda wspólnota miała swoją metodę dzielenia się płodnymi kobietami. Tutaj młodzi mężczyźni rywalizowali w uprawie i sprzedaży płonów, a ten, który pracował najciężej, wygrywał w tak zwanym konkursie płodną żonę. Oczywiście nie mógł jej posiadać, dopóki dziewczyna fizycznie nie dojrzała na tyle, by poród nie stanowił dla niej zagrożenia. Małżeństwa takie unieważniano też, jeśli sam mężczyzna okazywał się niepłodny, co na szczęście było dosyć rzadkim przypadkiem, przynajmniej w ich wspólnocie.

– A ty co tak stoisz i płoniesz jak pochodnia? – zawołała stara Dona. – Bierz się do mieszania gipsu.

\*

Marie obudziła się w nocy, choć miała wrażenie, że w ogóle nie spała. Młody Jim był silny, przystojny i dowcipny. Nawet pięcioletnia Sara chciała go poślubić i płakała w poduszkę, gdy ktoś próbował jej wytłumaczyć, że to niemożliwe.

Jeśli któraś z dziewcząt za nim nie szalała, to właśnie Marie – zbyt świadoma swoich licznych niedostatków. Oprócz pięknych włosów, które odziedziczyła po mamie, nie miała się czym pochwalić. Pomimo całkiem słusznego wieku czternastu lat pozostała prawie płaska, a ponieważ była bardzo szczupła, nie miała ładnie zaokrąglonych bioder, dużych pośladków ani szerokich ud. Dwa dni wcześniej poszła ze starszymi dziewczynami nad jezioro i kiedy zaczęły się rozbierać, Marie skłamała, że nie ma ochoty na kąpiel. Do tego stopnia wstydziła się swojego ciała.

Nastolatka pogodziła się z tym, że ktoś taki jak młody Jim i tak nigdy na nią nie spojrzy. Dzisiaj jednak patrzył, gdy zakładała mu gips.

Marie nieraz już doglądała chorych w nocy. Bez trudu przemknęła na palcach do pokoju, w którym wypoczywali, i nacisnęła klamkę tak, aby nie spowodować najmniejszego hałasu. Stara Dona kazała ustawić łóżko naprzeciwko drzwi, by jeden rzut oka pozwalał się upewnić, że wszystko jest w porządku.

W przytłumionym tkaninami świetle LED-ów Marie nie zobaczyła jednak młodego Jima, a przynajmniej nie tylko jego. Na sienniku siedziała tyłem do drzwi naga dziewczyna, której cienki jasny warkocz ledwie sięgał końca pleców – Lena. Młody Jim całował jej piersi, a nim Marie zdążyła się ruszyć, uniósł się lekko i zaczął pieścić ustami szyję kochanki.

Kiedy spostrzegł nastolatkę, uśmiechnął się do niej w taki sposób, w jaki jeszcze żaden chłopak się do Marie nie uśmiechał. Nie odezwał się. Choć jego oczy były utkwione w zastygłej w bezruchu dziewczynie, zaczął całować Lenę jeszcze namiętniej i ugniatać dłońmi jej pełne pośladki.

Marie wreszcie udało się wyrwać ze stuporu i zamknąć drzwi.

Do pokoju, w którym spała z innym dziewczynkami, wróciła powolutku, starając się robić jak najmniej hałasu. Mimo to było jej gorąco

i oddychała z trudem, jakby bardzo długo przed czymś uciekała.

\*

– Ron nie żyje! – Krzyk wdarł się w środek snu Marie, chociaż była pewna, że nie zasnęła.

Kris stał w otwartych drzwiach sypialni dziewcząt, zdyszany i blady.

– Co ty wygadujesz?! – oburzyła się najstarsza z nich, Nina. – Stary Ron zmarł pół roku temu.

– Młody Ron! – wrzasnął Kris znacznie głośniej, niż było potrzeba. – Ktoś go zabił w narzędziowni! Sam widziałem, jak mu nożyczki z piersi wystawały.

Chłopak narysował palcem w powietrzu dwa kółka na wysokości serca. Nina zmarszczyła brwi, a Sara zaczęła przeraźliwie płakać. Marie zerwała się i wybiegła z pokoju. Kiedy próbowała pokonać schody na piętro, wpadła na starą Donę.

– Nie ma tu nic do oglądania. – Kobieta pogroziła jej palcem. – Zwłaszcza dla dobrze wychowanej panny.

Marie wróciła do pokoju, ale już wiedziała, że to, co powiedział Kris, musi być prawdą.

Tego dnia nikt nie wyszedł w pole. Dorośli siedzieli jak na szpilkach, a dzieci zrobiły się rozdrażnione i nieznośne. Coraz to nowsze plotki przekazywano sobie pełnym napięcia szeptem. Oczywiście dzisiejszy świat pełen był morderców, samobójców, gwałcicieli i innych złych ludzi. Dzieci uczono, że nie wolno im wychodzić na miasto bez opieki ani rozmawiać z obcymi, nawet jeśli w pobliżu jest ktoś dorosły.

W ich tradycyjnej wspólnocie nic im jednak nie groziło, bo tutaj dbano o przestrzeganie zasad. Młody Ron, od śmierci ojca zwany po prostu Ronem, zginął w narzędziowni, która była jednym z pilnie strzeżonych pomieszczeń w budynku. Nie zabił go nikt z zewnątrz.

Marie pomagała tego dnia w kuchni, bo w ten sposób mogła się uwolnić od uciążliwego obowiązku opieki nad siostrami. Kiedy jednak Nina wcisnęła jej w ręce talerz i kazała zanieść go młodemu Jimowi, dziewczyna chciała zapaść się pod ziemię. Ostatnim, czego sobie życzyła, było patrzenie chłopakowi w oczy. Pewnie już w połowie drogi zrobiła się czerwona jak burak.

Otworzyła cichutko drzwi w nadziei, że jej się poszczęści i młody Jim będzie spał. Po raz kolejny jednak nie zastała go samego. Tym razem w pokoju stali stary Jim i przewodnik wspólnoty, stary Ben.

– Lena była tutaj całą noc – oświadczył Jim właśnie w chwili, gdy Marie weszła niepostrzeżenie.

– Zastanów się, chłopcze. Ron powiedział młodemu Benowi, że spotka się z nią w narzędziowni. Nie miał powodu, żeby kłamać. Ty masz go z całą pewnością – powiedział stary Ben.

Marie zauważyła, że stary Jim zaciska dłonie w pięści. Mężczyźni wciąż nie wiedzieli o jej obecności.

– Była tu całą noc – powtórzył młody Jim, czerwieniąc się ze wstydu.

– To prawda. – Marie raczej usłyszała swój głos, niż zdecydowała się odezwać.

Spojrzeli na nią zaskoczeni.

– Mam rozumieć, że byłaś tu w nocy i widziałaś Lenę? – spytał stary Ben.

Czuła, że zaraz się udusi, zemdleje albo jej piękne włosy zajmą się ogniem od płonących policzków. Co oni musieli sobie teraz wyobrażać i czy to mogło być jeszcze gorsze od prawdy?

– Tak, przyszedłam tu w nocy i zastałam ich razem – wymamrotała, nie patrząc nikomu w oczy.

Nie pamiętała, jak wróciła do kuchni, po prostu nie pamiętała. Możliwe, że przewodnik jeszcze ją o coś pytał, ale mogła to sobie równie dobrze wyobrazić.

Marie nie potrafiłaby żyć z myślą, że Lena została osądzona niesłusznie, a ona na to pozwoliła ze strachu przed karą. Przyznając się jednak do niegodnego zachowania, czuła, że rozczarowała wspólnotę. Po raz drugi, bo przecież każda niepłodna dziewczynka stanowiła porażkę.

Różne myśli roily się w jej głowie przez cały dzień. Nie odważyła się wyjść z kuchni, nawet kiedy zza luksferów przestało dochodzić światło, a w jadalni zapanowała idealna cisza. Czyściła z zapamiętaniem duże kotły, do czego zwykle żadna siła nie mogła jej zmusić.

Poskoczyła, gdy ktoś zapukał do drzwi. Może to tylko Nina, a może stara Dona dowiedziała się już o wszystkim i przyszła powiedzieć, jak bardzo dziewczyna ją zawiodła?

Do kuchni weszła Lena, płodna szesnastolatka o jasnych włosach i kobiecych kształtach, za którymi wodzili wzrokiem nawet starsi mężczyźni. Lena, która bezwstydnie oddawała się nieprzyzwoitym czynom w ramionach Jima.

Marie chciała udawać, że nic nie wie albo chociaż że nic sobie z tego nie robi, ale jej twarz powiedziała starszej dziewczynie wszystko.

– Czyli naprawdę nas widziałś – stwierdziła Lena, jakby odpowiadała na pytanie, którego nie zdążyła zadać.

– Przepraszam – wydukała Marie. – Zawsze doglądam pacjentów. Nie wiedziałam, że wy...

Urwała, bo nie mogła znaleźć słów, które przeszłyby jej przez gardło.

– Nie mogę się na ciebie złościć – powiedziała Lena ze smutnym uśmiechem. – W końcu stanęłaś w mojej obronie. Dziękuję.

Marie skinęła głową. Zastanawiała się później, czy całe jej życie potoczyłoby się inaczej, gdyby Lena wyszła w tym momencie. Ona jednak z tym samym smutnym uśmiechem mówiła dalej.

– Skąd mogłam wiedzieć, że ten idiota pochwali się synowi przewodnika? Mężczyźni tak nie robią, przecież grozi im poważna kara za dotknięcie płodnej przed czasem.

Marie zdała sobie sprawę, że nieświadomie odstawiła kocioł na ziemię i zastygła w bezruchu. Jeszcze nigdy nie siedziała tak późno w kuchni i cisza, która tu panowała, wydawała jej się upiorna.

– Konkurs niedługo się kończy, a Jim ze złamaną nogą nie miałby szans. Nie mogłam go stracić i wyjść za Rona – dodała Lena.

Marie chciała wybiec, rozpłakać się albo zatkać uszy i głośno śpiewać jak dziecko. Tylko że dzieciństwo skończyło się dla niej właśnie dziś, a nie – jak jej się zdawało – pięć lat temu, gdy pochowała matkę i przestała być „młodą Marie”.

– Nie boisz się, że odkryją prawdę? – wyszeptwała.

– Jestem płodna, Marie – odparła Lena, wciąż ze smutnym uśmiechem.

– Moje życie jest dla wspólnoty więcej warte niż życie Rona. Stary Ben wie, że to byłam ja, ale woli udawać, że mi wierzy.

\*

Miesiąc później życie we wspólnocie wróciło do normy, choć wszystkim wydawało się, że to niemożliwe, a już na pewno nie tak szybko. Tylko Marie czuła się coraz gorzej i żadne mieszanki ziół nie pomagały. Stara Dona powiedziała, że nie puści jej na żniwa, ale nastolatka się nie zgodziła. To był ważny czas dla wspólnoty, a ona musiała dać dobry przykład rodzeństwu i udowodnić swoją przydatność.

Niepłodna dziewczynka, w dodatku nosząca brzemień ciężkiej winy, nie była zbyt wartościowa dla grupy. Jeszcze tego brakowało, by nie

nadawała się do pracy. Marie zacisnęła więc zęby, chociaż słońce piekło niemiłosiernie, a ból brzucha nasilał się z każdym podrzuconym snopkiem.

Myślała, że to nie fizyczna dolegliwość, tylko coś w jej głowie, dopóki nie odeszła na stronę i nie zobaczyła krwi na żółtym piasku. Każda dziewczynka we wspólnocie wiedziała aż nadto dobrze, co oznacza taka krew.

Powinna teraz wrócić do wszystkich z radosnym piskiem. Zamiast tego Marie ściągnęła z głowy chustkę, wcisnęła ją w majtki i pobiegła do domu. Od dwóch lat nie wyobrażała już sobie, co zrobi, gdy okaże się płodna. Nic w budowie jej ciała nie wskazywało na prawidłowy rozwój w tym kierunku.

Biegając, przypominała sobie ostatni poród matki, gdy krew lała się po podłodze, a twarz kobiety wykrzywił okropny grymas bólu. Obraz, który pomimo upływu lat nie tracił szczegółów ani kolorów, jakby każdej bezsennej nocy haftowała go na wewnętrznej stronie powiek. Może dlatego krew stała się we wspomnieniach jednolicie czerwona, tak że przypominała odcieniem najtańszą włóczkę.

Marie pomyślała o błyszczących oczach młodego Jima, gdy ścisnął pośladki Leny, i smutnym uśmiechu dziewczyny, świadomej własnej bezkarności. Sama nie wiedziała, czemu wyobraziła sobie też roześmianą twarz Rona, którego wszędzie było pełno i którego wszyscy lubili.

Zgięta w pół, wybrała kod na panelu. Wyprostowała się na tyle, na ile mogła, i udając, że to tylko kolka po zbyt intensywnym wysiłku, pomachała staremu Jimowi, który sprawdzał, kto przyszedł. Mężczyzna nie zdziwił się, gdy ruszyła wprost do narzędziowni, bo po cóż innego mogła przyjść, jak nie po brakujący sprzęt.



Słyszała kiedyś o człowieku w mieście, oczywiście nie w ich wspólnocie, który podciął sobie nożem żyły. Długo zastanawiała się i karciała jednocześnie za rozmyślanie o tym, jak mógł tego dokonać. Jak można wziąć nóż do ręki, w której jest już głęboka rana, i przeciąć drugą?

Weszła do narzędziowni. Poprawiła ułożenie sierpa zawieszzonego na hakach. Wiedziała, że im dłużej będzie się zastanawiała, tym stanie się to trudniejsze, więc niewiele myśląc, przejechała oboma nadgarstkami po ostrzu. Tak mocno, jak tylko potrafiła.

Bolało znacznie bardziej, niż się spodziewała.

\*

Obudziła się w pomieszczeniu, którego nie знаła. Ktoś jeszcze tu był oprócz niej. Mężczyzna na podłodze robił pompki i choć nie widziała jego twarzy, czuła, że nie pochodził z jej wspólnoty.

Bolało, nie tylko ręce albo brzuch, ale wszystko, skóra piekła na całej powierzchni.

Mężczyzna podniósł głowę i spojrzał na nią uważnie. Miał miłą, piegowatą twarz wiecznego chłopca i Marie nie mogła oprzeć się wrażeniu, że widziała go już gdzieś na mieście.

– Jak tam? – spytał, wstając.

– Gdzie jestem? – wyszeptała zduszonym głosem. Łzy nabiegły jej do oczu.

– Nazywają nas wspólnotą szamana, ale nie wiem dlaczego – zadrwił.

Marie usłyszała własne kołaczące serce. Widziała ich kilka razy, gdy pomagała zanosić plony na targ. Kolorowo ubrani ludzie, na których dobrze wychowanym pannom nie wolno było nawet patrzeć, bo cieszyli się złą sławą.

– Umarłam?

Dorośli mówili, że szaman potrafi wskrzeszać zmarłych, ale ci wracali wtedy na ziemię jako posłuszne mu potwory.

– Nie, chociaż nieźle ci szło. Rzadko ktoś stara się tak bardzo.

Marie miała wrażenie, że obrócenie ręki wymaga od niej nadludzkiego wysiłku. Gdy wreszcie udało jej się spojrzeć na nadgarstki, nie znalazła nawet śladu po cięciu.

– Twoja wspólnota zapłaciła nam za leczenie, ale nie życzą sobie, byś wracała.

Dziewczyna zamknęła oczy i choć nie chciała płakać przy tym człowieku, łzy jedna za drugą zaczęły spływać po jej policzkach. Targnęła się na ludzkie życie. Co z tego, że na własne? W niczym nie była lepsza od Leny.

– Nie chcieli pomimo... – Głos uwiązał jej w gardle.

– Nie powiedzieliśmy im o „pomimo” – odparł mężczyzna. – Chociaż to na pewno skłoniłoby ich do zmiany zdania.

„Oczywiście” – pomyślała przerażona. Jaka wspólnota pogardziłaby płodną kobietą? Nawet jeśli sami jej nie potrzebowali, mogli dostać za nią fortunę.

– Potrafisz robić coś użytecznego? – spytał.

– Leczyć – wydusiła z siebie.

– Tak, ale o tym dopiero się przekonasz...

## **ROZDZIAŁ 3**

Mijały kolejne miesiące, a my ćwiczyliśmy codziennie. Nawet jeśli poprzedniego wieczora Samuel przyjął takie uderzenie mocy, że potem kazał mi wyjść i zostawić go dogorywającego na podłodze, następnego

dnia brał mnie za rękę i z butnym uśmiechem prowadził do lustrzanego pokoju.

Nie miałam pojęcia, jak mu się to udaje, ale na tym kończyły się jego niezwykle umiejętności. Robił oczywiście postępy jak przystało na kogoś, kto ma wrodzony dar, ale i tak znajdował się na samym początku drogi, którą inni szamani pokonywali znacznie wcześniej. To było jak porównywanie dziecka, które nauczyło się raczkować szybciej niż jego rówieśnicy do dorosłego.

Wzdrygnęłam się, idąc ciemnym korytarzem. Od kilku dni prószył gęsty śnieg, a na ostatnim piętrze była najniższa temperatura. Weszliśmy do lustrzanego pokoju i bez słowa zaczęliśmy się rozbierać. Zastanawiałam się, czy nie moglibyśmy przynieść tu kosza i chociaż w trakcie ćwiczeń rozpalać ogień.

– Myślę, że czas już skończyć z tym niewinnym przytulaniem – powiedział, wskazując moją koszulkę.

W obecności innych starałam się reagować na jego nieporadne żarty uśmiechem lub zawstydzeniem. Tutaj nie zadałam sobie trudu, by wzruszyć ramionami. Rozebrałam się do pasa i rzuciłam okiem na odbicie w podłodze. Zyskałam trochę ciała. Musiałam przyznać, że karmili całkiem nieźle jak na zimowe miesiące, tym bardziej że nie pracowałam fizycznie.

Szaman taktownie nie patrzył w moim kierunku. Objął mnie też bardzo ostrożnie. Jego ciało promieniało przyjemnym ciepłem. Przynajmniej tyle z tego miałam.

Gdy tylko ze mnie wyszedł, dzwonek przy drzwiach zabrzączał fałszywymi nutami korodującego mechanizmu. Zupełnie jakby ktoś na korytarzu czekał na chwilę, gdy już będzie można bezpiecznie nas zdekoncentrować.

Szaman wstał i podszedł do drzwi. Zatrzymał się przy nich, jakby próbował wyczuć, kto stoi po drugiej stronie. Potem otworzył.

Z ciemności wyłoniła się sylwetka Li. Nastolatek nie spojrzał nawet na Samuela, tylko przyglądał mi się tak uważnie, że poczułam się nieswojo.

– Przyjdą jeszcze tej nocy – oświadczył niskim, zupełnie niepasującym do drobnej budowy głosem.

Szaman skinął głową, jakby tej informacji się spodziewał.

– Obudź wszystkich – polecił spokojnie. – Dag i Kim przejmują dowodzenie tutaj. Nasza grupa idzie do Ala.

Li nawet nie odpowiedział, obrócił się na pięcie i pobiegł w stronę schodów. Samuel też nie zamknął drzwi, tylko od razu wrócił po swoje rzeczy.

– Ubierz się – rzucił przez ramię.

Posłusznie podniosłam się i założyłam ciuchy. Wydawało mi się, że się śpieszę, ale zanim zarzuciłam płaszcz, mężczyzna stał już obok mnie, zniecierpliwiony.

Nagle zgasły wszystkie LED-y. Pokój i korytarz wybuchły pulsującym czerwonym światłem. Chwilę później dołączył do niego narastający i cichnący dźwięk alarmu.

Samuel złapał mnie za rękę i pociągnął za sobą. Pobiegliśmy do schodów. Schodził pierwszy, trzymając się obu poręczy i przeskakując po dwa stopnie. Idąc nieco ostrożniej, starałam się nie zostawać z tyłu.

Kilka razy spotkaliśmy kogoś, kto przylgnął do poręczy i starał się za wszelką cenę zejść nam z drogi. Szeroko otwarte oczy przestraszonych ludzi wyglądały upiornie w czerwonym blasku ledowych lamp.

Na dole czekał Li. Stał z założonymi rękami, jakby już zdążył się znudzić. Zamiast płaszcza miał na sobie krótką skórzaną kurtkę, a przez pierś przewiesił pas z małymi nożami do rzucania. Drewniany drąg, który

widziałam na jego plecach poprzednim razem, został zastąpiony czarnym, zapewne wykonanym z mocniejszego tworzywa.

Samuel sięgnął po plecak spoczywający obok nóg nastolatka. Ktoś pracowicie wyhaftował na nim różnokolorowe szlaczki.

– Przytrzymasz mi pelerynę? – spytał, zmuszając się do uśmiechu.

Pomogłam mu założyć plecak, a lniany materiał okrycia zasłonił wzorek, który zapewne wyglądał jeszcze weselej w dziennym świetle niż przy pulsującej czerwieni.

Chciałam wreszcie zapytać, co się dzieje, ale usłyszałam łomot butów ludzi zbiegających po schodach.

Obróciłam się i cofnęłam, żeby zrobić im miejsce. Tom szedł jako pierwszy. Ku mojemu zdziwieniu nie nosił żadnej broni. Marie schodziła za nim w ciemnej kurtce, która zastąpiła żółty płaszcz. Kim wyglądała, jakby się jeszcze nie obudziła – rude loki sterczały na wszystkie strony, kontrastując z bladą twarzą. Choć utrudniało jej to schodzenie, trzymała za rękę Mikę. Dziewczyna, mimo że zdawała się starsza od Li, tuliła do siebie szmacianą maskotkę. Pochód zamykał Dag, bosy mężczyzna z potężną konstrukcją dredów, splecionych teraz ciasno w supeł na karku.

U góry widziałam coraz więcej osób, przestraszonych i na wpół rozebranych, które przyglądały nam się z mieszanką zaskoczenia i fascynacji.

Kim mocno uścisnęła Mikę, jakby nie chciała jej oddać.

– Nie rozumiem, dlaczego nie zostaniecie tutaj? – jęknęła.

– Tak będzie dla was bezpieczniej – powiedział Samuel.

Nawet na nią nie spojrzął. Już szliśmy w kierunku wyjścia.

– Prze... – chciała zaprotestować Kim.

– Bo jesteście słabym punktem, którego oni nie zawahają się użyć przeciw nam – warknął Tom.

Nikt więcej się nie odezwał. Śnieg zaskrzypiał pod stopami, gdy wyszliśmy na zewnątrz, a drzwi zatrzasnęły się, odcinając uciążliwy dźwięk alarmu. Cisza, która nagle zapadła, piszczała w uszach.

– Mika – rzucił Tom.

Nic więcej nie musiał mówić: nastolatka podeszła do panelu przy drzwiach i położyła na nim dłoń. Zielone diody rozbłysły wokół wszystkich guzików jednocześnie i zgasły równie niespodziewanie. Gdy tylko dziewczynka się cofnęła, Marie złapała ją za rękę, a Samuel chwycił mnie. Pobiegliśmy w głąb wąskich uliczek.

W większości domów LED-y paliły się całą dobę, ale luksfery nie przepuszczały za wiele światła. Z ciemności byłam więc w stanie wyłowić tylko zarysy budynków i duże kwadraty okien. Potknęłam się kilka razy, a w końcu poślizgnęłam, z trudem unikając upadku.

– Nie czas na udawanie – Zniecierpliwiony Samuel wskazał grupę, za którą zostaliśmy w tyle. – Możesz przecież biec szybciej od nich.

Nie odpowiedziałam, ale kiedy boleśnie ścisnął mój nadgarstek i przyśpieszył, dotrzymałam mu kroku. Dogoniliśmy pozostałych w samą porę, by zatrzymać się przy jednym z budynków.

Szaman wybrał kod na terminalu. Dopiero wtedy rozpoznałam to miejsce: podziemna kryjówka Ala. Tu samo uruchomienie dzwonka wymagało wprowadzenia określonej sekwencji znaków.

Mika podeszła i ledwie dotykając palcami panelu, otworzyła drzwi. Weszliśmy na rozświetlony korytarz, prowadzący wprost do znanej mi już platformy. Tutaj kończyła się nasza... ucieczka?

Pozostała czwórka oddychała ciężko. Tylko ja i Samuel wyglądaliśmy, jakby nocny bieg nie zrobił na nas wrażenia. Al zjeżdżał już ruchomymi schodami, walcząc z guzikami spodni. Zamarł w pół ruchu, widząc nas w środku. Dopiero na parterze zamknął usta i skończył się ubierać.

– Zbliżają się. – Szaman uśmiechnął się smutno.

– Wiedziałem! – krzyknął Al, wstukując coś szybko na panelu sterowania. – Wszyscy brali mnie za wariata. „Sępy tutaj?”, mówili.

Ledwie zdążyliśmy ustawić się na platformie, nim winda z głośnym zgrzytem ruszyła w dół. Podłoga zamknęła się nad nami.

– To nie Sępy – powiedział cicho Samuel – tylko Rząd Rodanu.

Właściwie wiedziałam o tym, od kiedy Li stanął w drzwiach lustrzanego pokoju. Samuel w ogóle się wtedy nie zdziwił. Dopóki jednak te słowa nie padły, mogłam się łudzić, że dzieje się coś zupełnie innego. Coś, czego finał nie jest jeszcze przesądzony.

– Ona ich tu ściągnęła – syknął Al, tym razem nie patrząc na mnie jak na przedmiot.

– Wiedzieliśmy, że kiedyś zwrócimy ich uwagę – odparł szaman, lekko zniecierpliwiony, jakby tłumaczył oczywistą rzecz.

– Ale przyszli po nią – powtórzył uparcie Al.

– Nawet jeśli, to – bez urazy, A – kukielka nie jest najcenniejszym trofeum, jakie mogą upolować – uciął ostro Tom.

Zapadła cisza. Nagle nikt nie chciał patrzeć innym w oczy. Najwyraźniej Tom wcale nie blefował. Skoro nie byłam jedynym pudełkiem na świecie, równie dobrze mogłam być mniej warta niż syn szamanki, zdolny technik, a już na pewno taka... osoba jak Mika.

Winda zatrzymała się na samym dole. Ruszyliśmy do małego pomieszczenia, w którym znajdowało się „gniazdo szcurów”. Tom i Marie rozglądali się ciekawie, jakby nigdy tu nie byli. Nie zastanawiałam się, dlaczego nam towarzyszą, bo czułam, że wcale nie chcę tego wiedzieć.

Al spojrzał na nas, dopiero gdy stanęliśmy obok stołu. Kilka razy nerwowo przygładził włosy.

– To czego mam szukać? – spytał cicho.

– Nieduża grupa – odpowiedział Li. – Pięciu szamanów, czterech pomagierów.

Wciągnęłam powietrze przez otwarte usta, choć wydawało się, że na nikim innym te słowa nie zrobiły wrażenia. Nie obchodziło mnie nawet, skąd nastolatek mógł to wiedzieć. Pięciu doświadczonych szamanów, którzy całe życie spędzili w rządowych ośrodkach. Nigdy nie słyszałam, żeby przeciwko komuś wysłano tak silny zespół.

Palce Ala zatańczyły na powierzchni stołu. Błat ożył, choć pogrążone w mroku uliczki niechętnie zdradzały swoje tajemnice. Szczury miały problem z wypatrzeniem czegoś w tym świetle.

– Są – powiedział Al zupełnie niepotrzebnie.

Chociaż czarne stroje pozwalały ukryć się w ciemności, to – przy spojrzeniu z góry – idealnie odcinały się od śniegu. Pięć osób w szerokich pelerynach z głębokimi kapturami obszytymi futrem i cztery w krótkich kamizelkach, które w razie walki wręcz nie będą krępowały ruchów.

– Przynajmniej łatwo jest odróżnić szamanów – mruknął Samuel.

Grupa przemieszczała się powoli. Może chcieli zachować ostrożność, a może uważali, że i tak nie muszą się spieszyć. Al śledził ich bez trudu, przeskakując z jednego szczura na drugiego. Podeszli prosto pod dom Samuela. Jeden z nich wyciągnął coś dziwnego z kieszeni kamizelki i przypiął kablem do terminala. W tym czasie dwóch szamanów przykucnęło przy naszych śladach na śniegu i wodziło nad nimi dłońmi.

– Idioci – syknął Al. – Mogliście je zamaskować. Teraz doskonale wiedzą, dokąd poszliście i ilu was było.

– I tak by nas znaleźli – mruknął Tom.

– Co on robi? – Al wskazał na mężczyznę przesuwanego szybko palcami po płaskim przedmiocie, podłączonym do panelu przy drzwiach.



– Próbuje złamać kod dostępu – odparł Tom. – Ale przewidzieliśmy to. Przypomniałam sobie terminal, gasnący pod dotykiem Miki.

– Mogą zburzyć drzwi albo całą ścianę – powiedziałam cicho.

– Mogą – przytaknął, marszcząc piegowaty nos. – Tylko że to by było straszne marnotrawstwo mocy, a oni, w przeciwieństwie do nas, nie mają przy sobie generatora.

Zamilkłam. Nie zapytałam, skąd pewność, że nie towarzyszy im kukiełka, ani po co ta szopka z udawaniem człowieka, skoro wszyscy wiedzieli, kim jestem. Ja za to – z czego zdałam sobie sprawę dopiero teraz – nie miałam pojęcia, kim oni są.

Widziane oczami szczura postacie zwróciły się jednocześnie w kierunku drzwi. Tylko dzięki temu mogłam zgadywać, że stojący tam mężczyzna coś mówi. Odpiął swoje urządzenie od terminalu. Dyskusja toczyła się jeszcze przez chwilę, bo ciemne sylwetki zastygły w bezruchu. Dopiero po kilku minutach odwróciły się i żywszym niż wcześniej krokiem ruszyły po naszych śladach.

Marie głośno odetchnęła z ulgą.

Patrzyliśmy, jak mężczyźni zbliżają się do budynku, w którym się schroniliśmy. Zwolnili, tylko jeden z nich podszedł do drzwi i ponownie wpiął się do terminalu.

– Te drzwi też zabezpieczyliście? – upewnił się Al, przełykając nerwowo ślinę.

– Przecież nie po to zastawiliśmy pułapkę, żeby teraz nie weszli. – Tom zdobył się na złośliwy uśmiech.

Czekaliśmy. Li poprawił pas z nożami, Mika przytuliła mocniej szmaciane zwierzątko, Marie przygryzła wargę, a Al zaczął przestępować z nogi na nogę.

Nie wiem, jak wiele długich minut upłynęło, nim drzwi się otworzyły. Jeden z szamanów stanął w progu i wyciągnął rękę, jakby zamierzał cisnąć strumieniem mocy w korytarz. Nie zrobił tego jednak, bo nie napotkał przeciwnika.

Weszli do środka, wszyscy oprócz tego, który im otworzył.

Al przeskoczył na szczura wewnątrz korytarza. Mężczyźni ostrożnie podeszli do panelu sterującego windą. Jeden zaczął przy nim manipulować, dwóch weszło po schodach na piętro. Pozostali chyba się kłócili, o ile można to było wywnioskować na podstawie gestów i chaotycznych ruchów.

– Wszyscy szamani wejdą na platformę – oświadczył nagle Li.

Al i być może ja spojrzeliśmy na niego szeroko otwartymi oczami. Tom tylko skinął głową z uznaniem. Klasnął w dłonie zupełnie jak wtedy, gdy grał w piłkę.

– Ruszcie dupy, to może zdążymy, nim nas zabiją! – krzyknął głośno, dopingującym tonem. – Li, Marie, idzicie po lewej. Al, Mika, na prawo. Mika, nie zawieź mnie.

Dziewczynka spojrzała na niego z powagą i skinęła głową. Cała czwórka pobiegła do dwóch par niewielkich drzwi, ukrytych po obu stronach oszklonego pomieszczenia. Gdybym miała wątpliwości, dokąd prowadzą, tupot stóp na schodach szybko by je rozwiął.

– A wy, dzieciaki, rozbierajcie się – rzucił Tom, idąc w stronę przejścia między betonowymi regałami na samochody.

Początkowo nie dotarło do mnie, że mówi do nas. Dopiero kiedy Samuel zdjął pelerynę i plecak, pozbierałam w zdanie tę dziwną zbitkę słów. Wyszliśmy z małego pokoju, w którym stał stół. Sufit znów oddalił się o kilkadziesiąt metrów. Najpierw ściągnęłam płaszcz, potem do mojego mózgu przebiły się wątpliwości.

– Nie zdążysz zaczerpnąć tyle mocy – powiedziałam, wyciągając ręce z rękawów swetra.

Roześmiał się szczerze i beztrosko, jakbyśmy siedzieli bezpiecznie w lustrzanym pokoju.

– Tyle, żeby pokonać pięciu doświadczonych szamanów? – zakpił. – Nie zdążyłbym w miesiąc.

Umilkłam, mechanicznie ściągając sweter, a ponaglona przez Samuela również koszulkę.

Gdybym była człowiekiem, pewnie bym zbladła i zadrżała ze strachu. Jako kukielka mogłam tego po prostu nie robić. „Pułapka”, „zdążymy”, „nasza grupa” – wszystko to dawało mi złudną nadzieję, że sprawa nie jest przesądzona. Zupełnie jakby dało się ułożyć plan, który pozwoli nam uciec. Teraz jednak patrzyłam w zielone oczy Samuela i dostrzegałam w nich tylko radosną beztroskę, której w tej chwili nie mogłam nazwać inaczej niż szaleństwem.

Coś szcęknęło i platforma pojechała do góry. Zasłoniła różniącą się odcieniem od reszty sufitu płytę, która najpewniej rozsunęła się wysoko nad naszymi głowami, aby przyjąć pasażerów.

– Przepuszczę moc bezpośrednio przez siebie – powiedział nagle szaman.

Nie otworzyłam ust, nie krzyknęłam, nie zaczęłam płakać. Nawet jeśli istniała widownia, dla której powinnam odgrywać emocje, to nie miała szans na przeżycie.

Kukielki nie mogły używać mocy. Nie potrafiły skierować jej przeciwko komuś czy też czemuś. Szamani natomiast nie byli w stanie zgromadzić zbyt wielkiego ładunku w swoim ciele. Teoretycznie dało się pobierać moc z kukielki i oddawać ją od razu do otoczenia, tak samo jak

kabel przewodził prąd. Praktycznie jednak nikt tego nie robił, bo wymagało to ogromnych umiejętności i było śmiertelnie niebezpieczne.

Tom wycofał się szybko i stanął pod ścianą.

– Dobra, młody, pokaż nam, co potrafisz - powiedział spokojnie, zupełnie jakby to wciąż był mecz. Samuel podszedł i objął mnie mocno.

Platforma była coraz niżej, a szamani musieli już dostrzegać nasze sylwetki. Z tej odległości nie potrafiłam ocenić, czy szykują się do ataku.

Samuel wszedł we mnie spokojnie i zdecydowanie. Wyciągnął rękę w kierunku sunącej jakby w zwolnionym tempie platformy. Skierował na nią strumień mocy.

Szamani nie dali się zaskoczyć. Kontruderzenie zatrzymało zielonkawe światło w połowie drogi. Tak duża grupa mogła bez trudu zablokować moc, a nawet odeprzeć ją dostatecznie mocno, by uderzyła w nas samych.

Nie myślałam o tym jednak, bo na tym poziomie zespolenia każde zakłócenie stawało się groźne. Zamknęłam oczy. Wyłączyłam myśli i emocje, tak jak można wyłączyć gorącą płytę: jednym pokrętelem. Byłam tylko pudełkiem – nieożywionym zbiornikiem na moc.

Umysł Samuela zagarnął mnie, bo w tej chwili żadne z nas tego nie kontrolowało. Nagle znalazłam się w niewielkim pomieszczeniu, które przypominało składzik. Na ścianie pokoju ktoś namalował okno z koronkowymi firankami. Połowa LED-ów nie działa. Przede mną stoi stół, lecz muszę uklęknąć na ławie, żeby oprzeć na nim łokcie. Widzę swoje ręce – lekko drżące dłonie dziecka.

Naprzeciw siedzi Tom. Wygląda niemal tak samo jak teraz. Ma jaśniejsze włosy i drobniejszą sylwetkę, ale bez wątpienia jest już dorosły.

Wszędzie pod ścianami stoją skrzynie – zakurzone i pogrążone w mroku, jakby skrywały przedmioty, których nawet w dzisiejszym świecie nikt nie potrzebuje.

– W porządku? – pyta Tom.

Kiwam z ociąganiem głową.

– Tylko pamiętaj, kiedy zapytają, masz powiedzieć, że to był rozgrzany karmel.

Przechodzi mi przez myśl, że uważne spojrzenie jego błękitnych oczu zwykle napawa mnie lękiem, lecz nie teraz. Drzę i czuję, że nie ma to nic wspólnego ani z Tomem, ani z butelkami, które stawia na stole.

Sięgamy po nie jednocześnie, choć czerwone wstążki wokół szyjek ostrzegają o niebezpiecznej zawartości. Próbuję otworzyć swoją, lecz ledwie widoczne pod skórą mięśnie napinają się bezskutecznie. W poczuciu bezsilności łzy napływają mi do oczu.

Tom pomaga mi wyciągnąć szklany korek. Wbrew temu, czego się spodziewam, nie posyła mi spojrzenia pełnego poczucia wyższości. Jest śmiertelnie poważny. Drażniący nozdrza zapach wypełnia pokój.

Z hardą miną kładę rękę na powierzchni stołu, naśladując ruchy starszego ode mnie chłopca, mężczyzny.

– Raz – zaczyna liczyć Tom.

– Dwa. – Przechylamy butelki.

– Trzy...

Kwas spływa na moje przedramię i chociaż tak bardzo chcę wytrzymać, zaczynam krzyczeć. Przez łzy widzę twarz Toma, na której każdy mięsień napina się do granic możliwości. On musi czuć dokładnie to samo, co ja, ale jest w stanie zacisnąć zęby. Pieczenie staje się nie do wytrzymania...

Ból przestał się koncentrować w samej tylko ręce, a ja zdałam sobie sprawę, że znów jestem w podziemiach budynku. Umysł szamana uwolnił mnie, eksplodując setką chaotycznych myśli. Znałam to uczucie, doświadczyłam go już nieraz. Mężczyzna obok mnie umierał.

Platforma znajdowała się zaledwie kilka metrów nad nami. Jakimś cudem Samuel dał radę tak długo mierzyć się z pięcioma szamanami. Strumień, który przepływał przez jego dłoń, stawał się jednak coraz krótszy i bledszy. Moc rządowych zbliżała się do nas niczym ogień, któremu nic już nie stoi na drodze. Mnie i tak nie mogła skrzywdzić, a mojemu towarzyszowi co najwyżej skróciłaby cierpienie. Nie bałam się więc uderzenia, tylko tego, co po nim nastąpi.

Platforma zatrzymała się nagle. Mężczyźni zachwiali się, próbując utrzymać równowagę. Po chwili winda ruszyła do góry. Nie tak jak zwykle. Unosiła się szybko i nim zgromadzeni na niej szamani zdążyli zrobić cokolwiek, podtrzymujący platformę statyw zwolnił metalowe zaczepy i betonowa płyta wraz z ludźmi spadła swobodnie.

Najpierw usłyszałam potężny huk, a potem chmura pyłu wypełniła przestrzeń dookoła nas. Samuel upadł. Patrzyłam to na stertę gruzu mieszającego się z ludzką krwią, to znów na mężczyznę, który trząsł się w konwulsyjnych drgawkach u moich stóp.

Emocje.

Nie było emocji, wyłączyłam je przecież.

A jednak ja też się trzęsłam i przerażało mnie to, że nie wiem, co robić. Instykt wrzeszczał do ucha, że powinnam się ruszyć. Tylko w którą stronę?

Tom podszedł do roztrzaskanej platformy i rozejrzał się uważnie. Najwyraźniej jeden z rządowych przeżył upadek, bo widziałam, jak piegowaty mężczyzna pewnym ruchem skrzył komuś kark. Potem odwrócił się i podszedł do nas. Nagle, kiedy najmniej się tego spodziewałam, uśmiechnął się chłopięco i mrugnął do mnie zupełnie jak Samuel.

Czas się zatrzymał, a my z nim. Pył opadł. Dopiero teraz! Jak szybko musiało się to wszystko dzieć do tej pory? Szaman na podłodze drżał, a z jego oczu płynęły krwawe łzy. Patrzyłam pytająco na Toma, lecz on tylko wzruszył ramionami.

Przygryzłam wargę, rozejrzałam się jeszcze raz. Co się właściwie wydarzyło? Co ja miałam zrobić?! Przyklękłam obok Samuela, bo tak zachowałby się człowiek. Nie byłam nim jednak i dlatego nie mogłam teraz dotknąć leżącego.

Sięgnęłam po koszulkę, by ostrożnie zetrzeć z jego twarzy pot i krew. Nie miało to najmniejszego sensu, ale człowiek tak właśnie by postąpił.

W absolutną ciszę zatrzymanego czasu wdarł się dźwięk kroków na schodach. Zza drzwi wyłonił się Li – cały i zdrowy, choć ubranie miał porozcinane w kilku miejscach. Na jego ramieniu wspierała się blada Marie. Jej oczy otworzyły się szeroko, a broda zaczęła drżeć na nasz widok.

Wreszcie ktoś reagował zgodnie z ludzką logiką.

– Sam! – krzyknęła.

Marie wyrwała się chłopakowi i chociaż sprawiała wrażenie wycieńczonej, podbiegła do dogorywającego mężczyzny. Tom złapał ją jednak i wykręcił jej rękę, gdy próbowała się szamotać.

– Tom, proszę... – załkała.

– Uzdrowiłaś już Li, starczy. – Młody Azjata skinął niechętnie głową, wskazując na dziurę w koszulce, którą przebiło ostrze. – Przecież widzę, jak wyglądasz.

– Proszę – powtórzyła. – Nie każ mu tak cierpieć.

Tom zmarszczył piegowaty nos.

– Należy mu się. Mówił, że sobie poradzi. Wszyscy mogliśmy za to zapłacić.

– Proszę – powtórzyła jeszcze raz Marie.

Upadła na kolana, co zmusiło Toma do pochylenia się nad nią. Jej ciałem raz po raz wstrząsał spazmatyczny szloch, a po twarzy nieprzerwanie płynęły łzy.

Kątem oka widziałam Li, który oparł się o ścianę i spokojnie przyglądał się całej scenie. Chociaż z nas wszystkich tylko dziewczyna zachowywała się normalnie, w błękitnych oczach Toma dostrzegłam wyraźne zaskoczenie. Zdziwienie płynnie przeszło w niechęć, a później w rezygnację.

Tom puścił rękę Marie i podszedł do Samuela. Położył jedną dłoń na czole mężczyzny, a drugą na jego piersi. Wydawało mi się, że jest już zdecydowanie za późno, lecz rozumiałam, co robi – odciągał moc, co oznaczało, że on sam również musi być szamanem. Tylko jakim cudem?! W niczym ich przecież nie przypominał.

Mężczyzna na podłodze znieruchomiał. Świst oddechu stopniowo się wyrównał i przycichł. Gdy Tom cofnął się, próbując ukryć drżenie rąk, Samuel otworzył oczy.

– Dzięki – wychrypiał.

– Wiesz, że to nie był mój pomysł – odpowiedział Tom zimno.

Podniósł się z klęczek i posłał pełne triumfu spojrzenie zapłakanej Marie. Potem wyciągnął z kieszeni zawiniątko ze skrętami. Odpalił jednego, a drugiego podał Li. Ciężkie od napięcia powietrze wypełnił gryzący zapach ziół.

– Mówiłeś, że nie ma w ogóle biustu – zauważył nagle Tom, patrząc na mnie oceniająco. – Nie jest taka zła.

– Mnie się podoba – dodał niespodziewanie Li.

– Jak się jest w twoim wieku, to każde cycki są fajne – stwierdził Tom z przekąsem.



– To było na początku – wychrypiał Samuel, jakby ta rozmowa toczyła się na poważnie i musiał się wytłumaczyć. – Trochę ostatnio przytyła.

– Idioci – syknęła Marie.

Podbiegła do mnie i zarzuciła mi na ramiona płaszcz, który zostawiłam na podłodze. Chociaż udawała złość, widziałam, że w oczach nadal ma łzy, a na jej twarzy powoli rysował się uśmiech.

Po chwili dołączyli do nas Mika i Al. Technik wydawał się najbledszy i najbardziej roztrzęsiony ze wszystkich. Popatrzył na nas szeroko otwartymi oczami, ale najwyraźniej nie miał nic do powiedzenia, bo wrócił do swojego małego królestwa z posłusznymi mu szczurami.

Dziewczynka przycisnęła do piersi szmaciankę, która przypominała chyba psa. Twarz Miki, wciąż na wpół dziecinna, rozpromieniła się, gdy Tom pokiwał głową z uznaniem.

– Kim jesteście? – usłyszałam nagle swoje własne pytanie.

– Doprawdy, A, nie odbieraj mi wiary w twoją inteligencję – odpowiedział Tom z uśmiechem i wypuścił przez otwarte usta kłęb dymu.

Powiodłam wzrokiem po ich twarzach. Li musiał być szamanem. Miał dar prekognicji, który każdy z nich posiadał w niewielkim stopniu. U chłopaka jednak ta zdolność rozwinęła się do poziomu, jakiego nigdy nie widziałam.

„Wyleczyłaś już Li” – czyli sympatyczna Marie również była szamanką. Najwidoczniej z ograniczonymi umiejętnościami, bo najbardziej przypominała człowieka. No i nie wyczuwałam mocy w jej obecności. Pierwszy raz zdarzyło mi się coś takiego.

Nie odważyłam się spojrzeć w oczy Miki, zresztą dziewczynka i tak pochylała głowę. Nie miałam wątpliwości, że to ona zrzuciła platformę, na której stali szamani, a my odwracaliśmy tylko ich uwagę, aby nie wyczuli zagrożenia. Bałam się zapytać, kim tak naprawdę jest.

Wreszcie mój wzrok zatrzymał się na piegowatej twarzy Toma. W tej chwili nieco bardziej przypominał szamanów z rządowych ośrodków – zarozumiałych i pozbawionych ludzkich uczuć. Wciąż jednak wydawał się zbyt inteligentny, zbyt opanowany.

– Kim ty jesteś? – spytałam.

– Jestem jego starszym bratem. – Rzucił skręta na ziemię i ruchem głowy wskazał na Samuela. – Mam na imię Tymoteusz i proszę, nie pytaj, dlaczego mówią na mnie Tom.

Rzeczywistość uciekła spod opartych na podłodze dłoni.

\*

Głośnie klaśnięcie wyrwało mnie ze stuporu.

– Gra się jeszcze nie skończyła! – zawołał Tymoteusz. – Marie, idź pozbierać Alę, bo potrzebuję go w jednym kawałku. Mika, wybierz sobie broń, tylko coś lekkiego, żebyś mogła to unieść.

Dziewczynka przeszła wzdłuż sterty karabinów, przyglądając im się uważnie. Nie sprawiała wrażenia osoby, która szuka czegoś konkretnego. W końcu sięgnęła po broń, która leżała osobno, jakby zsunęła się z usypanego niedbale stosu. Karabin ożył w jej dłoni. Nad lufą wyświetliła się duża siatka. Obserwowana pod odpowiednim kątem zyskiwała trzeci wymiar i nakładała się na przestrzeń pomieszczenia. Sylwetki poszczególnych osób otoczył zielony zarys.

– Li, jesteś w stanie iść z nami? – spytał Tymoteusz.

– Jestem – zapewnił chłopak, prostując się.

– Jeśli kłamiesz, żeby udowodnić, że masz jaja, to osobiście ci je urwę.

Gdyby to samo zdanie wypowiedział Samuel, uznałabym je za kiepski dowcip. W ustach jego brata brzmiało jak dźwięk otwieranego noża. Spojrzenie błękitnych oczu spoczęło na mnie.

– A, przyłączysz się?

– Dokąd idziecie? – odpowiedziałam pytaniem, choć wiedziałam, że tak naprawdę nie mogę odmówić.

– Pięciu szamanów. – Ruchem głowy wskazał ciała zmieszane z gruzem. – Znasz rządowych, nie przyszli tu na piechotę, żebrząc o wodę w okolicznych osadach. Musieli ciągnąć cały obóz z kobietami, kucharzami i podcieraczami tyłka. Pewnie mają sporo wartościowych rzeczy.

Najpierw zabiliśmy ich żołnierzy, teraz wybijemy ludzi i ukradniemy konie, które bez wątpienia stanowiły najcenniejszy majątek obozu. Rząd Rodanu znajdzie nas, choćby pod ziemią.

Po co ja im byłam potrzebna? Może Tymoteusz nie zamierzał dłużej ukrywać szamańskich zdolności?

– Lepiej, żebyś nabrał mocy tutaj. Później nie będzie warunków – powiedziałam cicho.

Uśmiechnął się ciepło. Nie wiedziałam, dlaczego przeraziło mnie to bardziej niż groźby.

– Spędziłaś tyle czasu z tym dzieciakiem, że nauczyłaś się mówić rzeczy oczywiste – stwierdził. – Nie zamierzam używać mocy, ale oddział, który udało mi się stworzyć, składa się w większości z niewinnych gówniarzy. Potrzebuję cię, bo wiem, że się nie zawahasz, gdy będzie trzeba zabić. Mogę na ciebie liczyć, A?

Dlaczego zapytał po raz drugi, jakbym rzeczywiście miała wybór? Skinęłam głową z powagą, skoro chciał, bym brała udział w jego grze. Na szczęście ten gest wystarczył, by Tymoteusz przestał mi się przyglądać i poszedł do pokoiku z „gniazdem szczurów”.

– Spokojnie, jeszcze nie widziałem, żeby mój brat kogoś zjadł – powiedział Samuel.

Gdyby jego głos nie był tak strasznie słaby i zachrypnięty, pewnie usłyszałabym w nim rozbawienie.

– Ostrzegałeś mnie przed nim – wyszeptałam.

– Bo nie wiedziałaś, z kim masz do czynienia, ale już wiesz – odparł, zmuszając się do uśmiechu. – Przynieś mi plecak, proszę.

Teraz dopiero zdałam sobie sprawę z tego, że ilekroć nie było w pobliżu Samuela, starszy z braci trzymał się ode mnie z daleka, jakby potrafił ocenić, z jakiej odległości wyczuje moc. Wtedy, w trakcie meczu, krzyczał do Marie zamiast podejść, ale nie zwróciłam na to uwagi.

Podniosłam się niechętnie, z trudem prostując nogi. Weszłam cichutko do przeszklonego pokoju. Marie, Al i Tymoteusz stali pochyleni nad stołem. Żadne z nich nie spojrzało w moją stronę, choć prześlizgnęłam się w odległości kilku centymetrów, by zabrać plecak haftowany w kolorowe szlaczki. Szukali obozu, który musiał znajdować się gdzieś na granicy lasu i miasta.

W każdym razie ja bym go rozbiła w takim miejscu.

\*

Przedzieranie się przez noc przypominało wolny marsz, bo co kilka kroków grzęzliśmy w głębokim śniegu. Tymoteusz chciał zdążyć przed świtem, ale nikt już nie wierzył, że nam się uda.

Z każdej strony otaczali mnie młodzi mężczyźni – oddział, który powstał pod przykrywką handlującej ziołami wspólnoty. Teraz zrozumiałam, dlaczego przypominali mi plemię Sępów. Przyglądając im się widziałam też, jak odległe było to skojarzenie. Większość miała lekką broń białą albo drewnianą, a kilku nosiło noże lub gwiazdki do rzucania, podczas gdy plemiona używały cięższego oręża, wymagającego dużej siły i fizycznej przewagi nad przeciwnikiem. Poza tym Sępy były oswajane z krwią i zabijaniem od dziecka, a młodzi mężczyźni wokół mnie

wystawiali dłonie na działanie siekącego mrozu w nadziei, że w ten sposób uzasadnią ich drzenie.

Tymoteusz przewodził grupie. Wciąż nie potrafiłam uwierzyć w szamana prowadzącego oddział do walki. Jako jedyny miał przypiętą do pasa maczetę, do złudzenia przypominającą taką, której używały Sępy. Skądinąd wiedziałam, że podobne rzeczy można kupić w miastach.

Obok niego szli Li i Mika. Dziewczyna była lekka, więc rzadziej niż dorośli mężczyźni zapadała się w śniegu, lecz trudniej było jej wydostawać się z zasp. Mimo to nie odstępowała oddziału na krok, a strach, którego się po niej spodziewałam, ustąpił miejsca zaciętości. Co właściwie łączyło ją z Tymoteuszem tak mocno, że dla niego była gotowa pójść w ogień? Chyba nie chciałam tego wiedzieć.

Niebo zaczynało już szarzeć, gdy zatrzymaliśmy się nagle. Musieliśmy być blisko. Li wyciągnął rękę do szamana o piegowatej twarzy i pozwolił, by tamten spojrzał mu w oczy, dotykając miejsca poniżej nadgarstka, w którym dwie żyły zdają się łączyć w jedną. Pierwszy raz widziałam, jak ktoś dobrowolnie porozumiewa się w ten sposób. Musiałam jednak przyznać, że to miało sens, bo prekognita mógł pokazać Tomowi swoje wizje.

Tymoteusz ściągnął plecak i wyjął z niego broń – czarny metalowy przedmiot z czasów dawnych ludzi, który podał Mice. Dopiero teraz zauważyłam, że nosi rękawiczki z naszytymi metalowymi płytkami, które najpewniej chroniły wierzchy dłoni w walce. Wyciągnął maczetę i spojrzał na mnie znacząco. Sięgnęłam po zawieszony na udzie duży nóż, który dostałam od Samuela. Podejrzywałam, że to kiepska broń do takiego starcia, ale nie potrafiłam się posługiwać żadną inną.

– Wiedzą już, że stracili swoich ludzi – powiedział Tymoteusz na tyle głośno, byśmy wszyscy go słyszeli. – Spodziewają się ataku. Możemy być

pewni, że nie śpią.

Ruszyliśmy wolniej i ciszej niż dotychczas. Zauważyłam, że stopniowo się od siebie oddalamy, tworząc raczej rząd niż zwartą grupę. Dag, który szedł obok mnie, pokazał na migi, że mamy się zatrzymać i przypaść do ziemi. Potem wskazał trzy miejsca, które z tej odległości nie odróżniały się od ściany lasu na horyzoncie.

Nic nie widziałam, lecz we wskazanych kierunkach pofrunęły metalowe gwiazdki. Nie potrafiłabym nawet powiedzieć, czy sięgnęły celu, gdyby nie to, że jeden z rannych zaczął drzeć się jak opętany. Słyszeliśmy go z daleka, więc ludzie, których miał ostrzec, również wiedzieli, że się zbliżamy.

Kolejna gwiazdka ucięła krzyk, ale my już biegliśmy, nie zważając na hałas ani na spłoszone stado ptaków.

– Na ziemię! – krzyknął nagle Dag.

Przypadliśmy do śniegu. Kule przecięły powietrze nad naszymi plecami. W przeciwieństwie do przeciętnych ludzi, rządowi poświęcali dużo czasu na przywrócenie sprawności choćby nielicznym modelom broni.

Huk strzałów umilkł, bo ukryty za drzewem strzelec najwyraźniej zrozumiał, że w ten sposób nikogo nie trafi, a jedynie zmarnuje cenne naboje. Współcześni potrafili je produkować, ale nie w takich ilościach jak ich przodkowie.

Leżeliśmy w bezruchu. Każda minuta to czas, dzięki któremu obóz mógł lepiej przygotować się na nasze przyjście.

– A. – Szept przeciął powietrze jak kula.

Kiedy odwróciłam głowę, Tymoteusz pokazał na migi, że mam wstać i biec w kierunku lasu. Na krótką chwilę zamknęłam oczy. Rozumiałam oczywiście tę decyzję. Ktoś musiał wywabić strzelca zza drzewa, a

kukiełka nie zginie od jednej kuli. Nie oznaczało to jednak, że postrzał zabolili ją mniej niż człowieka.

Podniosłam się i pobiegłam przed siebie. W absolutnej ciszy, która zdawała się mnie otaczać, słyszałam głucho skrzypienie śniegu i wtórujące mu uderzenia serca. Nieuchronność ciosu nie czyniła go mniej przerażającym.

Nie jestem pewna, co było pierwsze: palący ból skroni, huk wystrzału, ciemność czy upadek. Wszystko rozegrało się tak szybko, że w moim umyśle zlało się w jedno. Biegłam, a potem leżałam już na śniegu.

Coś ciepłego ogrzewało policzek przyciśnięty do ziemi – krew. Dostałam, ale nie byłam pewna, czy to koniec i czy strzelec nie zechce dokończyć dzieła. Jedna kula nie może zabić kukiełki, dwie raczej też nie, a trzy?

Próbowałam otworzyć oczy, lecz powieki nie chciały mnie słuchać, jakbym nigdy nie miała nad nimi władzy. Staralam się wyrównać oddech, bo jedynie na to pozwalało mi ciało. Czy dookoła naprawdę było tak cicho, czy tylko ja nic nie słyszałam?

Jak długo mogłam tak leżeć? Jak długo ludzie po obu stronach pustej przestrzeni mogli czekać? Nagle wstrząsnął mną dreszcz, który zdawał się budzić wszystkie mięśnie do życia. Udało mi się otworzyć jedno oko. Świat dookoła zszarzał, odarty z barw przez pierwsze oznaki świtu, i tylko krew na śniegu miała intensywny kolor. Widziałam zaledwie część kałuży przede mną, ale czułam, że otacza moją głowę jak aureola.

Usłyszałam kroki, jednak nie potrafiłam ocenić, z której strony się zbliżają. Zamknęłam oko i zatrzymałam oddech, aby pomyśleli, że nie żyję. Ci w lesie nie wiedzieli przecież, że mają do czynienia z kukiełką, która nie potrzebuje tyle tlenu co ludzie. Tylko serce mogło mnie zdradzić, bo jego rytmu nie potrafiłam do końca kontrolować.

Ktoś podszedł bardzo blisko. Musiał się pochylić albo przykucnąć. Syknęłam z bólu, gdy delikatnie uniósł moją głowę. Strzelec by tego nie zrobił. Otworzyłam oko, by napotkać uważne spojrzenie Tymoteusza.

– Ładne przyjęcie – powiedział z dziwną mieszanką uznania i czegoś, co przypominało troskę. – Kula przeszła bokiem. Na razie wygląda paskudnie, ale będzie się dobrze goiło.

Nie odpowiedziałam. Chciałam tylko, żeby mnie puścił i pozwolił leżeć w bezruchu. Kątem oka dostrzegłam Li, który podszedł do nas i odchrząknął.

– Przez chwilę damy ci spokój – powiedział Tymoteusz.

Położył moją głowę delikatnie na śniegu, wstał z klęczek i ściągnął kurtkę. Okrył mnie, mimo że miałam płaszcz. Potem machnął ręką i pobiegli, wkrótce zniknęli mi z pola widzenia.

Dopiero po kilku uderzeniach serca uświadomiłam sobie, że plan musiał zadziałać, a strzelca udało się zdjąć – najpewniej w tej samej chwili, gdy upadałam. Nie byłam w stanie podnieść głowy, by sprawdzić, gdzie leży jego ciało.

Starłam się uspokoić, wyrównać oddech, może nawet zasnąć. Wiedziałam, że ktoś po mnie przyjdzie bez względu na to, która strona zwycięży. Na razie czas działał na moją korzyść. Choć cierpiałymy tak samo jak ludzie, nasze rany goiły się dużo szybciej. Czasami podejrzewałam, że właśnie tego nie potrafili nam wybaczyć.

Usłyszałam krzyki, przytłumione, jakby nie mogły się przedrzeć przez ścianę lasu i gęste, mroźne powietrze.

Gdy następnym razem otworzyłam sprawne oko, było już jasno. Śnieg skrzył się wesoło we wciąż bladym świetle świtu. Chociaż logika temu przeczyła, zrobiło się jeszcze zimniej i ciszej niż w nocy.



Moim ciałem wstrząsały kolejne dreszcze i wcale nie czułam, żeby ból zelżał. Mimo to nie mogłam już dłużej czekać. Tymoteusz nie zabrał mnie ze sobą ani nie wyznaczył człowieka do pilnowania. Musiał założyć, że i tak nie dam rady uciec, bo wątpiłam, by sądził, że nie będę chciała.

Zagryzłam mocno zęby, podnosząc się. Bok głowy palił żywym ogniem, a reszta ciała zdawała się zamrznięta jak krajobraz dookoła. Wciąż nie widziałam na lewe oko, prawdopodobnie nie słyszałam też na to ucho.

Zrobiłam kilka kroków, zmuszając zeszywniałe mięśnie do ruchu. Obróciłam się. Nie krwawiłam już, a moje stopy zostawiały płytkie ślady na śniegu. Mimo to łatwo było mnie wytropić.

Zarzuciłam kurtkę Tymoteusza na ramiona i poszłam do lasu dokładnie po śladach jednego z ludzi szamana. Nie było to proste, bo robił duże kroki, za którymi z trudem próbowałam podążać. Miałam wrażenie, że brnę godzinami od jednego odcisku stopy do drugiego.

Po przekroczeniu granicy lasu porzuciłam ślady i skręciłam na zachód. Złapałam skórzaną kurtkę za rękawy i ciągnęłam ją za sobą po ziemi w taki sposób, aby maskowała odciski stóp. Była dosyć ciężka, lecz nie sprawdzała się idealnie. Nie miałam jednak innego wyboru niż przyjąć założenie, że to wystarczy.

Starłam się przyśpieszyć kroku, nawet jeśli wciąż nie byłam w stanie biec. Ból lewej strony głowy okazał się mniej paraliżujący, niż się spodziewałam, w przeciwieństwie do zimna. Myślałam, że kiedy się podniosę, kiedy zmuszę ciało do ruchu, zrobi mi się cieplej. Tymczasem mróz wpełzał pod rękawy i zatrzymywał się dopiero powyżej łokci. Chłód przenikał do kości.

Szłam mimo to – donikąd, bo przecież nie wiedziałam, co znajduje się na zachodzie. Jednak wschód już znałam i nie chciałam tam wracać.

Nagle dotarło do mnie, że las ożył. Ptaki śpiewały, gałązki szumiały, chwilami szurał osypujący się z nich śnieg. Może nerwy w lewym uchu właśnie się zregenerowały, może odeszłam już dostatecznie daleko od pogrążonej w ciszy polany.

Spróbowałam biec, mimo że z bólu pociemniało mi w tym oku, na które widziałam. Mróz wbił się w moje gardło, jakbym wypła wodę pełną odłamków szkła. Musiałam zacisnąć zęby i udawać, że nic nie czuję, że mogę uciec przed szamanami, Rządami i przed własną słabością.

Usłyszałam świst tuż przed tym, jak coś oplotło się wokół mojej szyi i szarpnęło mnie do tyłu. Upadłam na plecy. Znieruchomiałam. Dotknęłam pętli. To było coś metalowego i dosyć cienkiego. Mężczyzna, który do mnie podszedł, wyglądał bardziej na smutnego niż usatysfakcjonowanego.

Miał na sobie czarny strój, ale nie byłam pewna, czy pochodzi ze wspólnoty szamanów, czy raczej z obozu rządowych. Kiedy się zbliżył, pomyślałam, że albo zdejmie mi łańcuch z szyi, albo zaciśnie go mocniej. On tymczasem pogłaskał mnie po włosach. Delikatnie, spokojnie, tak jak głaszczce się przestraszone zwierzę i nim zdołałam otrząsnąć się z zaskoczenia, zapadłam w ciemność.

Gdy odzyskałam przytomność, siedziałam oparta o drzewo, a moja głowa zwisała bezwładnie na piersi. Podniosłam ją z trudem. Zdałam sobie sprawę, że mogę otworzyć lewe oko, a proces regeneracji najwyraźniej dobiegał końca. Zesztywniały kark bolał teraz bardziej niż rana po kuli.

Kiedy chciałam się poruszyć, odkryłam też, że jestem przywiązana konopną liną do pnia. Rozejrzałam się, lecz w zasięgu wzroku nikogo nie było. Myślałam, że to chwilowe, że ktoś się ukrył za moimi plecami albo poszedł po towarzyszy. Czas mijał jednak, a ja wciąż byłam sama.

Marzłam potwornie. Wydawało mi się, że to trwa godzinami, i miałam ochotę krzyczeć. Skoro nie czekało mnie nic dobrego, po co to odwlekać?

A może to była kara? Uwierzyłam przecież, że mogę im uciec – szamanom i Rządowi.

Czekałam.

Przyszli po mnie, zanim zapadł zmierzch. Niemal odetchnęłam z ulgą, bo myślałam, że w ramach tortury zostanę tu na noc.

Tymoteusz miał na sobie swoją kurtkę. Jego ręce były czerwone, choć nie wątpiłam, że gdyby chciał, zdążyłby je do tej pory umyć. Towarzyszył mu Li – blady i z niezdrowym błyskiem w oczach. Gdyby nie to, że nam wyobraźnia nigdy nie płatała figli, zastanawiałabym się, czy naprawdę czuję zapach krwi zakrzepłej na ich ubraniach.

– Chciałbym powiedzieć, że mnie rozczarowałaś – głos Tymoteusza zdawał się zimniejszy niż powietrze – ale nie liczyłem na ciebie. Zastanawiasz się, skąd wiedziałem, co zrobisz?

Podszedł bliżej. Czy naprawdę tej chwili nie mogłam się doczekać? Zaciśnęłam zęby, jakbym spodziewała się uderzenia, lecz szaman ujął mój podbródek i obejrzał lewą stronę głowy. Potem wziął w garść trochę śniegu i poczułam na policzku przeszywające zimno. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że zmywa krew z mojej twarzy.

– Nie słyszałem odpowiedzi – ponaglił.

– Li – szepnęłam.

Szaman uśmiechnął się z satysfakcją, jakby właśnie tego się spodziewał.

– Wiedziałem, co zrobisz, bo to było logiczne, a ty zawsze kierujesz się logiką.

Wzdrygnęłam się, gdy krople zimnej wody spływały za kołnierz płaszcza. Dotychczas myślałam, że jestem zbyt przemarznięta, by mogło

być jeszcze gorzej.

Tymoteusz przez chwilę starał się doprowadzić do porządku moje włosy, które najpewniej posklejała krew.

– Jesteś bardzo przewidywalna, A – powiedział, gdy już myślałam, że się nie odezwie. – Musisz się zmienić, jeśli chcesz wygrać tę wojnę.

Nie odpowiedziałam, nie zrobiłam zdziwionej ani pokornej miny. Było mi tak potwornie zimno, że kiedy lodowata grudka spłynęła między piersiami, wolałam już, żeby mnie uderzył. Tymoteusz jeszcze raz przyjrzał się krytycznie lewej stronie głowy, a potem otrzepał dłonie ze śniegu.

Najwyraźniej uznał, że przedstawienie skończone, bo podszedł do Li.

– Odwiąż ją i doprowadź do domu – polecił. – Ja mam tu jeszcze parę spraw do załatwienia.

Nigdy nie dowiedziałam się, ilu członków wspólnoty zginęło ani ilu mieszkańców obozu przeżyło.

## LI – 16 LAT WCZEŚNIEJ

O kobiecie szamance krążyło w mieście wiele legend. Jedni mówili, że zjawiła się ze wschodem słońca, inni, że z zachodem, a jeszcze inni, że przyjechała w środku dnia.

Nie było też zgodności co do tego, czy przybyła pieszo, wierzchem, czy małym powozem albo zwyczajnym wozem transportowym. Przetrwiała za to opowieść o towarzyszących jej dwóch ogierach, bo kilka osób podjęło się wtedy sprowadzenia klaczy z innego miasta. Koni jednak nie udało się rozmnożyć.

Szamanka była ciężarna, co do tego nikt nie miał wątpliwości. Urodziła syna, który wyglądał jak skóra zdjęta z matki, więc podejrzewano, że

odziedziczył po niej cudowne zdolności. Więcej dzieci nie miała i część osób szeptała, że nie mogła, a część, że nie chciała sprowadzać na świat drugiego potwora.

Szamanki bano się bowiem strasznie. Nawet jeśli żadna z legend nie wspominała o tym, by kogoś skrzywdziła, ludzie wiedzieli, że nikt, kto panuje nad mocą, nie może zachować czystego serca. Czuli też, że kogoś takiego nie powinno być pośród nich. Obecność szamana w zwykłym mieście wydawała im się gwałtem na naturze albo darem, za który srogo przyjdzie zapłacić.

Kobieta zresztą zachowywała się jak ktoś nawykły do przyjmowania hołdów i spania w jedwabiach. Nawet tego dnia, gdy letni upał osiągnął apogeum, a ludzie mieli wrażenie, że powietrze zatrzymuje się i przylepia grubymi warstwami do skóry, szamanka zdawała się płynąć przez miasto.

Nosiła długą suknię, która mieniła się w słońcu wieloma odcieniami zieleni. Nieznany w tych stronach materiał był tak zwiewny, że unosił się lekko, choć powietrze nawet nie drgnęło.

Ciała mieszkańców miasta dawno już zarumieniły się i zbrązowiały, lecz twarz szamanki pozostała alabastrowo biała. Oczy miała jeszcze bardziej zielone niż strój.

Kobieta stąpała tak delikatnie, że kurz nie odważył się wzbić w powietrze i oblepić jej sukni. Towarzyszył jej syn, chłopiec niespełna dziesięcioletni, o jasnych włosach powiązanych kolorowymi wstążkami w drobne warkoczyki. Razem z nimi szedł młodzieniec, który trafił do miasta z karawaną kupiecką jakiś rok po przybyciu szamanki.

Nikt nie wiedział, skąd pochodził, ale ponieważ nie chciał mówić o swojej przeszłości, dobrzy ludzie nie pytali. Nie zdziwili się też, gdy zamieszkał w domu szamanki jak wszyscy odmieńcy, dla których nie znalazło się miejsce w tradycyjnych wspólnotach.

Szli teraz w trójkę pustą ulicą, gdyż ze względu na żar lejący się z nieba miejscowi nie wychodzili z cienia. Coś złego wisiało w powietrzu, gęstym jak brudna woda. Ktokolwiek zobaczył ich przypadkiem tego dnia, musiał pomyśleć, że szamankę wezwano do chorego i że nic dobrego nie może z tego wyniknąć.

Rebeka zatrzymała się przed drzwiami. Nie była pewna, czy to właściwy budynek. Wszystko w tym mieście było jednakowo nijakie i pozbawione koloru. Piasek na ulicach, ściany domów, stroje miejscowych, a nawet ich twarze dla niej różniły się tylko odcieniem szarości.

Już chciała dotknąć panelu, gdy skłębione w budynku emocje uderzyły ją nagle jak kula śniegu, boleśnie rozpryskując się na mniejsze fragmenty i spływając po jej ciele: ból, cierpienie, śmierć. Nic, czego Rebeka miałaby ochotę doświadczyć.

Tom skrzywił się lekko, a Samuel nie wyglądał nawet na zaniepokojonego. W przeciwieństwie do starszego z chłopców nie posiadał daru empatii.

Zanim szamanka zastanowiła się, czy zamierza nacisnąć dzwonek, drzwi otworzyła pięćdziesięcioletnia kobieta o azjatyckich rysach. Ukłoniła się nisko, lecz nie odezwała ani słowem. Obróciła się na pięcie i ruszyła w głąb domu, zostawiając ich na progu. Rebeka złapała Samuela za rękę, bardziej by dodać odwagi sobie niż jemu, i podążyła za gospodynią.

Weszli do skromnie urządzonego, lecz schludnego pokoju. Na położonym na ziemi sienniku w świeżo wykrochmalonej pościeli leżała młoda kobieta z dużym ciężowym brzuchem. Obok niej klęczał mężczyzna, który kołysał się do przodu i do tyłu jak dziecko.

W pokoju panowało straszne gorąco. Pomimo zaduchu ciężarna była przykryta kocem, a na jej czoło nie występował pot. Tylko spierzchnięte usta świadczyły o niedawnej gorączce.

Rebeka przełknęła ślinę. Niechętnie przesunęła dłonią nad materacem, chociaż ten gest nie był potrzebny. Z daleka czuła, że ani w kobiecie, ani w jej brzuchu nie tli się już żadne życie.

– Uratuj ich – wymamrotał mężczyzna.

Twarz miał napiętą do granic możliwości, jakby mięśnie stanowiły kraty dla rozpaczki, która miotła się w jego oczach.

– Jest za późno – powiedziała ostrożnie szamanka.

Gdzieś w głębi duszy rzucała przekleństwa na tych ludzi o żółtawej cerze i dziwnych oczach, którzy narazili ją na cierpienie, zalali falą swojej rozpaczki zupełnie bez celu.

– Wiem, że to możliwe – odparł z naciskiem mężczyzna. – Uratuj chociaż dziecko. Otoczmy je opieką, będziemy kochali bez względu na to, jakie się urodzi.

„Ależ ono już się nie urodziło!”, chciała krzyknąć Rebeka.

– Proszę, przecież masz syna. Czy wyobrażasz sobie, że mogłabyś go stracić?

Utkwił lśniące oczy w Samuelu.

– Wyjdźcie! – rozkazała Rebeka.

Pośród pełnej napięcia ciszy starsza kobieta i Azjata opuścili pokój.

– Sądzisz, że zapłacą ci więcej za fatygę, jeśli zrobisz im złudną nadzieję? – spytał Tom, gdy tylko drzwi się zamknęły.

– To niewinne dziecko, możemy jeszcze przywrócić je światu – odparła szamanka, nieudolnie próbując nadać głosowi stanowcze brzmienie.

– Możemy coś przywrócić światu – poprawił ją nastolatek. – Zapewne będzie miało kształt dziecka.

– Podjęłam już decyzję, Tymoteuszu – oświadczyła Rebeka.

Nigdy wcześniej nie nazywała go tym imieniem, nawet jeśli nikt ich nie słyszał. Miała łzy w oczach. Przyklękła przy ciele i bez słowa wyciągnęła rękę. Tom zdjął kolorowy plecak i wyłuskał z białego płótna cienki nożyk, którego używała do operacji.

Kiedy kobieta pewnym ruchem rozcięła brzuch Azjatki, nieruchome powietrze w pokoju wypełniło się smrodem. Alabastrowe ręce szamanki zniknęły we wnętrzu martwego ciała. Samuel zrobił krok do tyłu, nagle zgiął się wóół i zaczął wymiotować na podłogę. Nie miał odwagi się wyprostować ani spojrzeć na całą scenę. Wstydził się, bo Tom nie zareagowałby tak jak on, nawet wtedy, gdy był w jego wieku.

– Umyj to, zanim młody znowu zacznie rzygać – usłyszał głos starszego brata.

Potem do jego uszu dobiegł odgłos wody nalewanej do metalowego naczynia i monotony, pozbawiony radosnego wydźwięku plusk. Sam zmusił się do podniesienia wzroku. Matka stała odwrócona tyłem i myła coś w ręcznie malowanej miednicy. Tom naciągał koc na ciało Azjatki. Nieruchoma twarz zniknęła pod tkaniną, lecz krew – i nie tylko ona – przesączała się rosnącą plamą przez materiał.

Samuel pomyślał, że boi się chwili, gdy matka się odwróci, obawia się dotknięcia martwego dziecka, kolejnych mdłości. Bez trudu ukrył drżenie, lecz starszy brat i tak musiał je poczuć. On zawsze wiedział, co czują inni, nawet jeśli bardzo rzadko zamierzał się tym przejmować.

Tym razem jednak Tom podszedł do Samuela i podał mu rękę. Młodszy chłopiec pewnym chwytem złapał ją w łokciu, przyciskając żyły swojego przedramienia do żył rysujących się pod skórą brata. Starał się uspokoić tak bardzo, jak to tylko możliwe, aby nastolatek mógł bezpiecznie wyciągnąć moc zmagazynowaną w jego ciele.



Samuel poczuł, jak wypływa z niego strumień jeszcze cieplejszy od powietrza. Przez krótką chwilę odczuł też złość Tymoteusza. Kiedy się rozdzielili, zapach wrócił ze zdwojoną siłą i chłopiec ledwie zapanował nad kolejnymi torsjami.

– Już niedługo, młody – zapewnił go starszy brat. – Twoja matka chce tylko stworzyć potwora.

Tom rzadko używał słowa „matka”, a jeśli już, to wypływał je jak najgorszą obelgę, jaką można obrzucić kobietę. Mówiąc tak o Rebecce, nigdy nie zapominał też dodać, że była matką tylko dla Samuela.

Kobieta podeszła do nich bez słowa, wyciągając przed siebie niemowlę. Sam cofnął się na widok istoty, która w niczym nie przypominała różowych roześmianych dzieci, z jakimi obnosiły się płodne kobiety.

Tom splunął pod nogi szamanki. Potem położył dłoń na piersi chłopczyka i zamknął oczy.

Czas zatrzymał się, a krople potu wystąpiły na czoło nastolatka.

Kap, kap, kap – coś wypływało spod koca, a potem spadało kroplami z niskiego materaca na lśniąca podłogę. Samuel nawet nie wiedział, kiedy zaczął się cofać i natrafił plecami na ścianę.

Wtedy usłyszał krzyk – rozdzierający płacz dziecka.

\*

Jedna z Azjatek przyprowadziła pięcioletniego chłopca do wspólnoty zielarzy i zapłaciła za jego wychowanie. Szamanka już wtedy nie żyła, a jej syn zdążył obciąć warkoczyki dużym nożem, jakiego używało się do walki z ludźmi.

W świecie, w którym każde dziecko było na wagę miedzi, wiele się mówiło na ten temat. Żadna plotka nie okazała się jednak dostatecznie wiarygodna, by uznano ją za prawdziwą. Wiadomo było jedynie, że kilka tygodni później Tom wypatrzył ojca chłopca na targowisku i pobił do

nieprzytomności, a gdyby ludzie z jego własnej wspólnoty go nie odciągnęli, być może zatłukłby mężczyznę na śmierć.

Ponieważ młodzieniec od wielu lat nie dał się wciągnąć w bójkę – nawet wtedy, gdy ktoś go prowokował – uznano, że tym razem musiał mieć poważny powód. To tylko nasiliło niechęć wobec wspólnoty azjatyckiej, która już wcześniej izolowała się od sąsiadów.

## ROZDZIAŁ 4

Nie wiedziałam, od jak dawna siedziałam w ciemności, nim cichy szum otwierających się drzwi zabrzmiał w uszach jak wystrzał. Staralam się wyglądać na przerażoną i pokorną, co oczywiście nie oznaczało, że nie bałam się naprawdę.

Kiedy w pokoju zapaliły się LED-y i Samuel wszedł do środka, w żaden sposób nie dałam po sobie poznać, że odetchnęłam z ulgą.

– Przyniosłem ci koc, cieplejsze ubranie i coś do jedzenia – odezwał się, stawiając na podłodze wiklinowy kosz z kolorowymi wstążkami oplecionymi wokół pałaka.

– Dziękuję – wyjąkałam.

– Jutro rano wyruszamy, pójdiesz z nami? – spytał, siadając przede mną po turecku.

– Dokąd?

– A jak uważasz? Raz już nas znaleźli i pewnie nie ucieszą się, gdy odkryją, co zrobiliśmy z ich oddziałem.

– Uciekniecie?

Roześmiał się beztrosko, jak z dziecięcego żartu.

– Zabiliśmy pięciu szamanów. Dla nas nie ma ucieczki.

Kąciki jego ust wciąż były uniesione, a w oczach lśniły iskiereki. Czy naprawdę powinnam się go bać mniej niż Tymoteusza? Objęłam kolana rękami, ale Samuel chyba źle mnie zrozumiał, bo wstał, wyciągnął z koszyka kolorowy koc i zarzucił mi na ramiona. Tak, poczułam chłód, lecz głęboko w środku – tam, gdzie żadne ciepło nie docierało.

– Wyruszymy przeciwko nim – oświadczył nagle. – Przeciwno Rządowi Rodanu.

Niech to moc pochłonie, więc do tego byłam im potrzebna! Przecież już kiedy szaman poprosił mnie, żebym została na zimę, wiedziałam, że ma plan. Wtedy zgodziłam się, bo wzięłam go za naiwnego głupka! Im głośniejsze wszystko we mnie krzychało, tym spokojniejsze stawały się rysy mojej twarzy. Skinęłam z powagą głową.

– Jak długo już uciekasz, A? – spytał z udawaną troską. – Ile jest jeszcze miejsc, w których nie byłaś?

Jeśli spotkałabym kogoś, kto zapamiętał moją twarz sprzed dziesięciu albo dwudziestu lat, ludzie by mnie zabili. Na początku mogłam o tym nie myśleć, ale ostatnio świat się kurczył, a mieszkańcy miast i osad zaczęli się przemieszczać. Pamiętałam czasy, kiedy każda podróż była śmiertelnie niebezpieczna i nikt nie podejmował takiego ryzyka.

Spojrzałam na Samuela z uwagą, chyba tego oczekiwał.

– Wyjeżdżamy jutro o świcie. Pójdiesz z nami? – powtórzył pytanie.

Czy powinnam się zgodzić po chwili wahania, zachowywać się, jakbym mu wierzyła? I co niby mogłam na tym zyskać?

– Dlaczego udajesz, że mam wybór?

– Nie udaję i nie twierdzę, że masz. – Uśmiechnął się smutno. – W koszu znajdziesz ubranie na podróż. Oczywiście zabierzemy cię bez względu na twoją decyzję, ale chciałbym, żebyś ją podjęła.

– Po co?

– Bo możesz być kimś więcej niż pudełkiem.

To zdanie było zbyt niejednoznaczne i zbyt absurdalne, bym uwierzyła w sens przypisywania mu znaczenia.

Milczałam. Zaczęłam się kołysać do przodu i do tyłu, bo zauważyłam, że ludzie w takich sytuacjach wycofują się cichutko.

Samuel zaśmiał się, pokręcił głową, ale ruszył w stronę wyjścia. Zatrzymał się w drzwiach.

– Przebierz się. Bo inaczej będę musiał ci pomóc – powiedział z wymuszoną powagą.

Gdybym reagowała naturalnie, pewnie opadłaby mi szczeka. Miałam wyruszyć z grupą silnych szaleńców przeciwko jeszcze potężniejszym mordercom, a on mi groził... sama nie wiem, czym właściwie.

Posłusznie otworzyłam kosz. Albo to ubranie było kolejnym nieśmiesznym żartem, albo nadal bagatelizowałam ich plan. Obracając w palcach skórzaną obrozę, nabierałam przekonania, że nigdy nie wpakowałam się w poważniejsze kłopoty.

\*

Zdziwiłam się, kiedy po kilku godzinach obudziła mnie Marie. Nie sądziłam, że zasnę, ani że przyślą właśnie ją, a już na pewno nie w takim stroju. Miała na sobie skórzane spodnie – tak opięte, że ledwie mogła chodzić – gorset sznurowany z przodu i zgrabny kaftanik podszyty futrem. Najwyraźniej w nadchodzącym spektaklu przypadła nam podobna rola.

– Uczeszę cię i troszkę pomaluję – powiedziała łagodnie.

Podniosłam się z podłogi, zarzuciłam barwny koc na ramiona i pozwoliłam, by młoda kobieta poddała mnie ludzkiemu rytuałowi.

– O czym myślisz? – spytała po dłuższej chwili, żeby odpędzić ciszę otulającą nas coraz szczelniejszym kokonem.

Charakterystyczne zdanie, które równie dobrze mogłoby brzmieć: „O czymkolwiek teraz myślisz, przestań”. Przy próbie odpowiedzi wątek uciekał, a umysł niespodziewanie wypełniał się pustką. O ile coś mogło wypełnić się brakiem czegoś.

– Nie wyobrażałam sobie ciebie w takiej roli, prędzej Kim – rzuciłam banalną uwagę.

Marie roześmiała się.

– Miałam trzy młodsze siostry – odparła. – Poza tym Kim jeszcze się szykuje.

Czyli ona również jechała z nami. Rzeczywiście, najlepiej spośród kobiet we wspólnocie nadawała się do roli nałożnicy. W przeciwieństwie do naszej dwójki na pewno nie potrzebowała pasa z doszytymi piersiami z waty ani długich skarpet, dzięki którym udało mi się dopasować sięgające do połowy uda buty.

– Chcesz się przejrzeć? – spytała Marie.

– Nie.

– Tak mi przykro, A – powiedziała nagle, dotykając obroży na mojej szyi. – Tom się uparł, on czasami jest nie do wytrzymania.

Uśmiechnęłam się z roztargnieniem i to nawet odzwierciedlało moją prawdziwą reakcję. Po pierwsze, miałam dużo poważniejsze problemy niż niestosowna ozdoba, a po drugie, określenie „nie do wytrzymania” zakrawało na czarny humor, o który Marie nie podejrzewałam.

Podniosłam się, z trudem rozprostowując nogi. Mój płaszcz był dłuższy od sukienki, co wciąż oznaczało: bardzo krótki. Szamani lub raczej ich zleceniodawcy dbali jednak o kobiety i okrycie okazało się cieplejsze, niż się spodziewałam.

Zeszliśmy na dół, mijając kilka osób, które znosiły pakunki. Na zewnątrz mężczyźni kończyli ładować wozy. Konie parskwały nerwowo,

jakby wyczuwały nieporadność przyszłych kierowców. Podobno to słowo pochodziło z czasów, gdy ludzie jeździli samochodami, ale najwyraźniej nie potrafili z niego zrezygnować, skoro przypisywali mu coraz to nowe znaczenia.

Rozejrzałam się uważnie i nie miałam już wątpliwości, że jedzie z nami cała wspólnota. Zamiast kolorowych strojów członkowie nosili czarne lub brązowe ubrania. Młodzi mężczyźni przeobrazili się w żołnierzy, mimo że ich fantazyjne fryzury stanowiły czasem absurdalny kontrast dla jednakowych ciuchów i poważnych twarzy.

Dziwny dźwięk dotarł do moich uszu, gdy próbowałam wypatrzeć Samuela. Wszyscy znieruchomieli, nawet ja potrzebowałam dłuższej chwili, aby rozpoznać ten odgłos, a pewnie jako jedyna z tej grupy słyszałam kiedyś samochód.

Czas zamarzył na styczniowym mrozie. Dopóki auto nie podjechało pod dom, nikt się nie poruszył, nie odezwał, nie wypuścił powietrza przez otwarte usta. Wiedziałam, dlaczego samochody robią na ludziach wrażenie. Korzystali z gorących płyt, ruchomych schodów i paneli otwierających drzwi, ale o pojazdach słyszeli, że już nigdy nie będą jeździły. A skoro to nie była prawda, co jeszcze mogło powrócić z przeszłości?

Auto zatrzymało się wreszcie i ucichło. Miało ciemne okna, więc nie wiedziałam, kto siedzi w środku, ale nie zdziwiłam się, kiedy wysiadł z niego Al. Z trudem go rozpoznałam, bo nagle odmłodniał. Jego oczy skrzyły się wesoło, a uśmiech rozświetlał dotychczas poszarzałą twarz. Dopiero gdy zrozumiał, że znalazł się w centrum uwagi, odchrząknął z zakłopotaniem.

– Jest na prąd – powiedział, jakby uznał, że wszyscy się nad tym zastanawiali.

Samochody na paliwo nie jeździły od początku mojego istnienia. Inne miały ograniczony zasięg. Nawet gdyby osady nie były tak oddalone od siebie, ładowanie stanowiłoby problem, bo część z nich nie posiadała dostępu do elektryczności. Z drugiej strony auta wysiadła Mika i nie musiałam się już dłużej zastanawiać, w jaki sposób zamierzali ładować ten pojazd.

Nagle uderzyła mnie setka niepowiązanych szczegółów: samochód wyglądał jak posklejany z kilku innych, Al nosił czarną pelerynę rządowego szamana, zaś towarzysząca mu nastolatka wyglądała wulgarniej niż ja lub Marie. Mysie włosy dziewczyny były splecione w dwa cienkie warkoczyki. Miała śmieszne za duże buty, dziecienną krótką spódniczkę i za mały sweterek, który mocno opinał się na drobnych piersiach. W dłoni wciąż trzymała swoją maskotkę, ale dzielnie unosiła nieporadnie umalowaną twarz, jak dziecko odgrywające dorosłego.

Nim jeszcze otworzyły się kolejne drzwi, wiedziałam, kto był dostatecznie bezwzględny, by dać Mice kostium nimfetki. Z samochodu wysiedli Tymoteusz i Samuel, obaj w czarnych pelerynach kontrastujących z jasnymi twarzami.

Marie podbiegła w kilku krokach do starszego z braci i spróbowała go spoliczkować. Najwyraźniej nie wiedziała nic o tym w jakiej roli obsadził dziewczynkę. Złapał jej rękę, a kiedy kobieta zaczęła się szamotać, pochwycił też drugą i demonstracyjnie trzymał oba nadgarstki w jednej dłoni. Zrozumiałam, że nie tylko ja przyglądam się tej scenie – wszyscy na nich patrzyliśmy, jakby czas nadal stał w miejscu.

– Dag! – zawołał Tymoteusz. – Pilnuj swojej kobiety.

Kiedy mężczyzna z węzłem dredów ukrytych pod czarną chustą zbliżył się nieśmiało, starszy szaman pchnął Marie prosto w jego rękę. Dag złapał ją i objął mocno, aby mogła się wypłakać na jego ramieniu.

Tymoteusz klasnął kilka razy.

– Dobra, ludzie, starczy dramatów rodzinnych! – krzyknął. – Zwijamy się.

Wszyscy wrócili do swoich zajęć. Tylko ja nie miałam żadnego i dlatego stałam na środku placu, gdy podszedł do mnie Samuel.

– Ładnie wyglądasz, jak się uczeszesz – powiedział.

– Ej, ej, nie podrywaj mojej kobiety – przerwał mu brat, a kiepski żart zabrzmiał w jego ustach śmiertelnie poważnie.

Uśmiechnął się ciepło i po raz kolejny pomyślałam, że właśnie w takich momentach jego chłopięca twarz w zestawieniu z zimnym spojrzeniem staje się przerażająca. Uniósł lekko mój podbródek, jakby oceniał efekt starań Marie. W rzeczywistości wyjął spod peleryny długi łańcuch i przypiął go do obroży.

– Wybacz mu, miał nieszczęśliwe dzieciństwo – zażartował Samuel.

Absurd tej sceny uderzył mnie ze zdwojoną siłą. Wszyscy wokół właśnie kończyli się pakować, a niektórzy już tylko udawali, że coś robią, jakby bali się zatrzymać. Mieli na zawsze opuścić swój dom w imię jakiegoś szaleństwa, podczas gdy szamani, którzy ich do tego nakłonili, stali obok mnie, wymieniając nic nieznaczące uwagi. Musiałam zgodzić się z Tymoteuszem: byłam zbyt logiczna, by chociaż próbować to zrozumieć.

Al i Mika wrócili do samochodu, a my poszliśmy w ich ślady.

W pojeździe mieściło się sześć osób. Nie wydawał mi się ani szczególnie duży, ani mały w porównaniu do tych, które widziałam do tej pory. Oglądałam kiedyś bardzo niski, jakby spłaszczony samochód, do którego wstawiono zaledwie dwa fotele. Przechowywano go w stodole w jednej z osad. Za dnia stanowił atrakcję dla dzieci, a w nocy dla par, które



z niezrozumiałych dla mnie względów, mając do dyspozycji całe hektary pustej przestrzeni, wołały się cisnąć w tej metalowej puszcze.

W zupełnie innym miejscu i czasie pozwolono mi wejść do samolotu przerobionego na kościół. Tam, gdzie nie przetrwały żadne świątynie, ludzie prześcigali się w pomysłach na nowe ośrodki kultu. W każdym razie samolot był ogromny i mogło do niego wejść kilkaset osób jednocześnie. Aż trudno było uwierzyć, że kiedyś potrafił latać, tym bardziej że chociaż wszyscy powtarzali tę plotkę, nie spotkałam nikogo, kto widziałby maszynę w powietrzu.

Al prowadził i wyglądał przy tym, jakby spełniły się wszystkie jego marzenia. Mika na początku obserwowała świat za oknem, ale gdy las przeszedł w niekończącą się ośnieżoną równinę, nastolatce znudził się ten widok. Zwinęła się na siedzeniu jak kot i zasnęła.

Samuel również spał. Wciąż był blady i najwyraźniej nie doszedł jeszcze do siebie po starciu z szamanami. Fakt, że w ogóle przeżył, budził mój niepokój i chociaż starałam się zepchnąć tę myśl na granicę świadomości, czułam, że umyka mi coś istotnego.

Kim – od dzisiaj jego kobieta – wyglądała imponująco w czerwonej sukni z głębokim dekoltem i rozcięciem do połowy uda. Jednak nawet ona sprawiała wrażenie osoby wciśniętej w niedopasowany kostium, która nie potrafi robić dobrej miny do złej gry.

Tymoteusz siedział obok mnie, ale myślami zdawał się przebywać gdzieś daleko. Jego wzrok błędził nad białą linią horyzontu. Mój łańcuch leżał porzucony na siedzeniu jak niepotrzebna błyskotka. Dopiero teraz zauważyłam, że składa się z krótkich rurek, połączonych okrągłymi ogniwami.

Za nami ciągnęła się karawana wozów zaprzęzonych w konie. Samochód nie poruszał się szybko, bo droga, choć zachowana w

wyjatkowo dobrym stanie, była przysypana śniegiem.

– Dokąd jedziemy? – spytałam po kilku godzinach ciszy, zupełnie jakbym tylko ja w tym gronie przejawiała ludzkie odruchy.

– Próbujesz mnie rozczarować, A? – odparł Tymoteusz. – Mam uwierzyć, że nie jesteś w stanie sama odpowiedzieć na to pytanie?

Wziął do ręki końcówkę łańcucha i zaczął się nią bawić. Błękitne oczy zerkały na mnie ciekawie, jakbym była dzieckiem albo zwierzątkiem, które ma sobie poradzić z prostą do pokonania przeszkodą. Właściwie nie wiedziałam, co mnie podkusiło, żeby zwracać na siebie uwagę.

Rozumiałam oczywiście podpowiedź: nasze stroje. Płaszcz szamanów mężczyźni mogli zabrać, bo były bardzo ciepłe. Rządowych wozów i koni wspólnota potrzebowała do transportu, poza tym kosztowały fortunę. Nie widziałam jednak powodu, aby wciskać kobiety w kostiumy nałożnic z obozu.

Z drugiej strony mogliśmy dla bezpieczeństwa udawać wysłanników Rządu. Wiadomo, że ich ludzi nikt nie odważyłby się tknąć bez względu na, to jak łatwym celem by nie byli i jak cennego dobytku by nie wieźli. Tak chyba od samego początku tłumaczyłam sobie tę maskaradę. Najwyraźniej jednak moja obroza i zjawiskowe kształty Kim były oznaką prestiżu, a szamani chcieli komuś zaimponować.

Niepłodne kobiety rzadko traktowano jak towar, płodnych natomiast nie prowadzano na łańcuchach. Nawet w grupach, w których ludzie nie otaczali ich czcią, wszyscy troszczyli się o ich dobre samopoczucie.

Los dziewcząt, które nie mogły mieć dzieci, zależał w dużej mierze od miejsca urodzenia. W miastach były najczęściej równe mężczyznom. Tak samo jak oni mogły przewodzić wspólnotom, prowadzić interesy albo kupczyć swoim ciałem. W nowych osadach – zwłaszcza jeśli powstawały z dala od cywilizacji – dziewczynki budziły sprzeczne uczucia. Z jednej

strony zasługiwały na najwyższy szacunek, bo mogły okazać się płodne. Z drugiej dopatrywano się w nich kukiełek. Kilka razy spotkałam się z wiarą, że jesteśmy zdolne do zabijania ludzkich dzieci i zajmowania ich miejsca w taki sposób, by rodzice się nie zorientowali. Skoro umiałyśmy się regenerować, dlaczego nie miałybyśmy zmieniać rysów twarzy i kształtów ciała?

Była to oczywiście bzdura, ale karmiona zmyślonymi historiami plotka rosła i rozprzestrzeniała się z zadziwiającą prędkością.

Kobiety uważano za towar tylko w kilku bardzo szczególnych środowiskach. W ośrodkach rządowych, gdzie szamanów traktowano jak rozkapryszone dzieci, którym ktoś podsuwa najlepsze zabawki, pod warunkiem że były grzeczne.

Wśród bogatych kupców podróżujących z obstawą od miasta do miasta i handlujących użytecznymi pozostałościami dawnych cywilizacji. Niektórzy twierdzili, że nawet Rządy musiały się z nimi liczyć, ale częściej słyszałam wersję, w której sprzedawcy ukrywali się przed władzą lub sowiecie płacili za ciche przyzwolenie na swoją działalność.

Ostatnią grupą, która przychodziła mi na myśl, były Sępy. Wprawdzie napadały na nowe osady w poszukiwaniu płodnych kobiet, ale tylko po to, by sprzedać je miastom albo wspomnianym kupcom. Wspólnota, w której jedynymi wartościami były siła fizyczna i umiejętność walki, traktowała kobiety jak trofeum i oznakę statusu właśnie...

– Chyba się domyślam – wyjąkałam.

Kiedy spojrzałam niepewnie w stronę naszego kierowcy, Tymoteusz roześmiał się.

– Al wie – powiedział, potwierdzając tym samym moje przypuszczenia.

Sępy – brutalne grupy mężczyzn napadające na nowe osady i małe miasta, by kraść wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Ludzie

szkolący siebie i porwanych chłopców w sztuce zabijania.

Jak bardzo trzeba być szalonym, by prosić ich o pomoc w walce z Rządem? Nie, nie prosić. Sępy można do czegoś zmusić tylko jeśli się im rozkazuje, czyli Tymoteusz chciał wyzwać ich na pojedynek o przywództwo.

A myślałam, że nie ma niczego głupszego niż rzucenie wyzwania władzy. Tymczasem oni zamierzali wjechać w środku zimy z końmi, zapasami i kobietami do obozu Sępów, a potem dać się zabić. Nawet najsilniejszy mężczyzna w mieście nie mógł się równać ze szkolonym od najmłodszych lat zabójcą.

Tego dnia nic już się nie wydarzyło, tylko raz zgasł nam silnik. Al spojrzał wtedy z lękiem na Tymoteusza – odnosiłam niejasne wrażenie, że technik w ogóle boi się starszego z braci – a ten skinął głową. Al bardzo ostrożnie obudził Mikę. Dziewczynka mrugała przez dłuższą chwilę, jakby zapadła w sen tak głęboki, że teraz nie mogła oprzytomnieć. Potem poprawiła ubranie i rozejrzała się niepewnie. Nim ktokolwiek powiedział, o co chodzi, położyła dłoń na desce rozdzielczej. Po kilku minutach silnik zamruczał.

Mika nie przerywała, a obładowane wozy zaczęły zatrzymywać się za nami, wypluwając zdziwionych ludzi. Tymoteusz wysiadł i poszedł rozmawiać z kierowcami. Samuel nawet się nie obudził. W końcu dziewczynka cofnęła rękę, zamknęła oczy, a jej ciałem wstrząsnęły dreszcze. Przyłożyła czoło do szyby i zasnęła z powrotem.

Gdy starszy szaman wrócił, ruszyliśmy przed siebie. Równinę za oknami urozmaicały pokryte śniegiem ruiny. W tej okolicy pełno było dawnych wieżowców, hangarów, a także budynków przypominających wielkością drewniane domy w nowych osadach. Niektóre nadawały się do

zamieszkania, gdyby ktoś postanowił sam zmierzyć się z niebezpieczeństwami otaczającego świata.

Nie wiedziałam, czy zmierzch nas zaskoczył, czy też nikt wcześniej nie rozejrzał się za najlepszym miejscem na nocleg. W każdym razie z całym dobytkiem zatrzymaliśmy się na otwartej przestrzeni. Na wypadek gdyby tak duża grupa ludzi i wozów nie była widoczna z oddali, rozpaliliśmy ognisko, a Dag wyciągnął gitarę. W miarę jak w kręgu krążyły rozgrzewające nalewki, pijackie pieśni wspólnoty stawały się coraz głośniejsze.

Nie śpiewałam, ale siedziałam ze wszystkimi, ciesząc się tą odrobiną ciepła, jaką dawały ogień i alkohol. Samuel odżył wieczorem. To on puszczał w krąg kolejne butelki i intonował coraz to nowe piosenki, aby nawet na chwilę nie otoczyła nas cisza.

Gdy rozejrzałam się po twarzach ludzi zebranych wokół ogniska, odniosłam wrażenie, że ta absurdalna zabawa rzeczywiście uwalnia z nich napięcie ostatnich dni. Czasami podchodził do nas Tymoteusz, przy wtórze radosnych okrzyków wznosił toast na cześć „swoich żołnierzy” i znowu wychodził poza granice światła. Nie widziałam nigdzie Li ani Miki, a Al nawet nie szukał specjalnej wymówki, by zostać przy samochodzie.

Kiedy członkowie wspólnoty mieli już dobrze w czubie, siwowłosa Pat z dużym tatuażem na szyi podszedł do ogniska i zaczął zaklinać płomień. Niektórzy szamani to potrafili, chociaż dar uchodził częściej za kuglarską sztuczkę niż realnie użyteczną umiejętność.

W powietrze wystrzelił snop iskier, a ogień zaczął się wić i zmieniać kształty. Nikt nie wyglądał na zdziwionego. Płomień zmienił się w konia, w samochód, w odlatującego ptaka, potem w wysoki na kilka metrów słup, sypiący dookoła iskrami. Każdemu pokazowi towarzyszył wybuch

radości. Spojrzałam pytająco na Samuela, ale on obserwował spektakl razem ze wszystkimi i nie zwrócił na mnie uwagi.

Tylko szamani potrafili zaklinać ogień, podobnie jak uzdrawiać albo przewidywać przyszłość. Ilu jednak mogło ich być w jednej wspólnocie i dlaczego nie czułam ich obecności?

To był rzadki dar, a plotka głosiła, że Rządy mają sposoby, by odnaleźć i odebrać matce każde dziecko, które przejawiało choćby najmniejszy potencjał do panowania nad mocą. Oczywiście nie wszystko, co mówiły plotki, było prawdą. Widziałam jednak wiele miast i wiele osad, a nigdzie poza rządowymi ośrodkami nie żyli szamani.

Przedstawienie skończyło się, a wokół mnie rozbrzmiała kolejna pieśń, jakby ludzie szamana chcieli mieć pewność, że zobaczą nas i usłyszą wszyscy w promieniu kilku kilometrów.

Poczułam się nagle bardzo słaba, jakby fałszywe ciepło alkoholu żywiło się moimi siłami. Niechętnie podniosłam się i poszłam do przydzielonego mi namiotu – przydzielonego nam, byłam przecież kobietą Tymoteusza. Czyżby Tom bał się, że Samuel nie dałby rady powstrzymać mnie przed ucieczką? A może uważał, że potrafi lepiej wykorzystać moją moc; tylko czemu tego nie robił?

Zatrzymałam się w pół kroku. Słowa kolejnej piosenki rozmyły się i przy wtórze śmiechu przekształciły w radosne „na, na, na”. To jednak zostało za mną, razem z blaskiem ognia, ciepłem i ludzkimi emocjami. W namiocie przede mną natomiast znajdowały się dwie osoby.

– Jak wyglądam? – Rozpoznałam głos Miki, choć dziewczyna przybrała ton nieśmiałej kokieterii, którą nastolatki w jej wieku testują na rówieśnikach.

– Zabójszczo – odparł Tom. Najwyraźniej trunek krążył również w jego żyłach.

– Może zamienisz się z Alem? Wolałabym być w parze z tobą. – Mika wyrzuciła z siebie oba zdania na jednym oddechu.

– Al chyba nie jest taki zły? – odparł drwiąco. – Macie dużo wspólnych zaintre zainet... pasji.

– Nie podobam ci się? – Może w innej sytuacji i w przypadku innej dziewczynki ta urażona duma w głosie zabrzmiałaby pociesznie.

– Nie wolno mi o tym myśleć – powiedział Tymoteusz kpiąco. – Kim ucięłaby mi część ciała, do której jestem bardzo przywiązany.

– Mówiłeś, że jak będę starsza...

– Mówiłem: dorosła, jeszcze nie jesteś – przerwał jej zniecierpliwiony.

– A jeśli zginę, zanim dorosnę?

– Wtedy ominie cię wiele rzeczy cenniejszych niż chwila bólu, który bym ci zadał – oświadczył zupełnie wyraźnie.

Przypadłam do ziemi. Mika wyszła z namiotu i zniknęła w ciemności. Sama nie wiem, dlaczego bałam się, że mnie zauważy.

– Wejdz, zanim zamarzniesz – powiedział spokojnie Tymoteusz.

No tak, wyczuwał moją obecność, więc wiedział, że słyszałam całą ich rozmowę. Otrzeptałam płaszcz ze śniegu i wślizgnęłam się ostrożnie do namiotu.

Był dosyć duży i ciepły, pomimo mrozu panującego na zewnątrz. Czasami zastanawiałam się, dlaczego tak wiele osób wierzy, że technologia przodków zaginęła bezpowrotnie. Wprawdzie ludzie zgodzili się o niej zapomnieć, a Rządy ścigały każdego, kto próbował odzyskać zdobycze dawnej cywilizacji, nie oznaczało to jednak, że same z nich nie korzystały.

Na podłodze z materiału, którego nie znałam, leżały wyprawione skóry zwierząt. Technika z przeszłości w zestawieniu z prymitywnymi próbami

ujarzmiania świata.

– Mika jest niezwykłą osobą. – Słowa Tymoteusza przerwały moje rozmyślenia. – Dlatego łatwiej jej nawiązać kontakt ze mną niż z... normalnymi członkami wspólnoty.

Skinęłam głową. Nie sądziłam, że będzie mi się tłumaczył, i na dobrą sprawę nie pojmowałam, dlaczego to robi. Milczałam tak długo, aż znowu się odezwał.

– Rozbierz się – rozkazał.

Sytuacja zaskoczyła mnie tak bardzo, że przez chwilę nie wiedziałam, co robić. Setki razy słyszałam to polecenie od szamanów. Teraz jednak zostało wypowiedziane innym głosem i oczy Tymoteusza lśniły inaczej. W przeciwieństwie do Samuela nie odwrócił dyskretnie wzroku, tylko przyglądał mi się uważnie.

– Powiedziałem: rozbierz się – powtórzył stanowczo.

Zdjęłam płaszcz i sukienkę. Gdy dotknęłam dłonią obroży na szyi, mężczyzna pokręcił głową. Starał się panować nad mimiką i napięciem mięśni tak, abym nie mogła odgadnąć jego reakcji, lecz zdradziły go oczy – zamglone.

Poluzowałam wiązania w długich butach i zsunęłam je razem z grubymi skarpetami. Zdjęłam też szeroki pas materiału z bioder i wypchany biust, dzięki którym strój nałożnicy opinał się na moim ciele zamiast smętnie wisieć. Stałam przed szamanem naga i niepewna, czy powinnam zachowywać się jak zawsze, czy też udać zawstydzenie.

Wypowiedział słowo, którego nie zrozumiałam, bo jego głos stał się zbyt zachrypnięty i niewyraźny. Ku mojemu zdziwieniu ten fakt go speszył. Tymoteusz odwrócił wzrok i wyszedł. Nie wrócił, zanim nie zasnęłam, a kiedy się zbudziłam, już go nie było. Na podstawie kilku



szczegółów wnioskowałam, że przez chwilę spał obok mnie, ale mogłam się mylić.

Następny dzień podróży nie różnił się znacząco od poprzedniego. Mika budziła się co jakiś czas i obserwowała monotony krajobraz za oknem, a potem znudzona zapadała w kolejną drzemkę. Samuel spał niemal nieprzerwanie. Kim chwilami zamykały się oczy, lecz gdy tylko jej głowa opadała bezwładnie na pierś, kobieta otrząsała się przestraszona, jakby pełniła jakąś wartę. Tymoteusz opierał czoło o szybę i miałam wrażenie, że trwa w półśnie, który pozwala mu rejestrować wszystko, co dzieje się wokół.

Nie wiem, czy samochód kołysał się miarowo, czy tylko mi się wydawało, ale postanowiłam przestać walczyć z sennością. Krótkie drzemki nie miały nic wspólnego z prawdziwym odpoczynkiem, ale pozwalały zatłuc wlekący się czas.

Otworzyłam oczy, kiedy się zatrzymaliśmy. Było jeszcze jasno, więc pewnie chodziło tylko o podładowanie baterii, czekanie na wozy albo załatwienie potrzeb fizjologicznych. Zapadłam z powrotem w dziwny stan, który nie był snem, a jedynie połączeniem ciemności i odrętwienia. Nie wiem, ile czasu minęło, nim ciszę przeszył przeciągły pisk.

Oprzytomniałam w jednej chwili, uniosłam się na łokciach i spróbowałam jak najszybciej ocenić sytuację. Byłam w samochodzie sama, a mogłam przysiąc, że usłyszałabym, gdyby wszyscy wysiedli. Z tyłu stały wozy, konie pochrapywały nerwowo i widziałam kilka osób, które próbowały je uspokoić. Ludzie ci jednak nie sprawiali wrażenia przerażonych, więc chyba nic strasznego się nie działo.

Wyszłam na zewnątrz ostrożna i czujna, starając się robić jak najmniej hałasu. Feeria dźwięków i szczypiący mróz rzuciły się na mnie, gdy tylko stanęłam na śniegu. Bez trudu odnalazłam źródło pisku, który mnie

przestraszył. Kilka metrów od traktu znajdował się spory pagórek, na który członkowie wspólnoty wbiegali, by potem zjeżdżać ze szczytu na dużych kawałkach folii lub w drewnianych skrzynkach. Śmiali się i krzyczeli.

Tymoteusz kręcił się pomiędzy wozami, kontrolując zaprzęgi i poprawiając źle ułożone pakunki. Samuel natomiast – cały oblepiony śniegiem – ścigał się właśnie z Dagiem, kto szybciej zjedzie ze zbocza na płachcie czarnej folii. Większość osób kibicowała jemu, bo wyraźnie wysuwał się na prowadzenie. Jakoś nie miałam wątpliwości, kto był prowodyrem zabawy.

Na samym dole Samuel stracił równowagę i ze śmiechem odturlał się na bok. Dopiero wtedy wyminął go Dag. Rozpoczęła się głośna dyskusja na temat tego, czy to się liczy i kto zwyciężył.

W tym czasie do drewnianej skrzynki weszły Kim i Mika. Obie z głośnym piskiem zjechały na dół. Po raz pierwszy widziałam Mikę roześmianą, jakby była zwyczajną nastolatką. Przyłapałam się na tym, że próbuję odnaleźć Li, lecz jego w tej grupie nie było.

Podskoczyłam, gdy ktoś nagle mnie dotknął. Obok stał Al. Założył mi na ramiona czarną pelerynę rządowego szamana.

– Myślę, że Sam nie będzie miał nic przeciwko – wymamrotał zawstydzony.

Uśmiechnęłam się nieśmiało. Rzeczywiście, trzęsłam się z zimna. Pewnie dlatego, że dopiero co się obudziłam. Moje ubranie, choć krótkie i pozornie niepraktyczne, było całkiem ciepłe, więc dotychczas w nim nie marzłam.

– Dziękuję – powiedziałam cicho.

Starałam się zachowywać jak człowiek, nawet jeśli wszyscy wiedzieli, że nim nie jestem. Wiedziałam, że jeśli wyjdę z tej historii cało, moje

szanse na przeżycie znów będą zależały od umiejętności naśladowania i samodyscypliny.

– Przepraszam – wyszeptał Al.

Nie rozumiałam, o co mu chodzi. Z jakiegoś powodu nie patrzył mi w oczy, a dwa niemal idealnie okrągłe rumieńce odcinały się od jego twarzy.

– Przepraszam za to, jak cię traktowałem – wyjaśnił.

Zdziwiłam się, lecz zamiast to pokazać, wzruszyłam ramionami i nawet rozważałam machnięcie ręką.

– Nie przejmuj się. Ludzie zwykle traktują nas znacznie gorzej – rzuciłam bez troski.

– Bo mówią nam, że nie czujecie tak jak my – powiedział Al, wciąż zawstydzony.

– Nie czujemy. Cały czas udaję, dlatego mogłeś odnieść wrażenie, że jest inaczej – ciągnęłam, sama nie wiem czemu.

– Nie – zaprzeczył stanowczo. – Wiem, co to strach, A. Patrzyłem, jak wyrzynają moją osadę. Błąkałem się potem od miasta do miasta, spałem na ulicach i robiłem pod siebie, dopóki Sam mnie nie odnalazł i nie zabrał tego strachu. Może udajesz, kiedy się uśmiechasz albo dziwisz, ale boisz się naprawdę.

Nie odpowiedziałam, bo nie potrafiłam wymyślić, co mam powiedzieć i w jaki sposób. Podejrzewałam, że przerosłoby mnie to, nawet gdybym była pełnowartościowym człowiekiem. Istniały takie sytuacje, dla których ludzie nie stworzyli odpowiednich słów.

Od początku swojego istnienia nie wierzyłam, że Rządy nie wiedzą, jak powstały kukiełki. Miałam kilkadziesiąt lat, gdy w ośrodku na południu dowiedziałam się od jednej z analityczek, że stworzyli nas dawni ludzie. W swoim doskonałym świecie, w którym wszyscy chcieli być szczęśliwi, potrzebowali istot, które się nie zbuntują i nie będą marzyć, ale pozostaną

dość inteligentne, by pracować. To, że nie rodziłyśmy się małymi dziećmi i nie stawałyśmy starymi ludźmi, że nie mogłyśmy zachorować ani zostać trwale okaleczone, zyskiwało sens, jeśli ktoś chciał stworzyć idealnie wydajnego pracownika.

Zastanawiałam się długo, dlaczego pojawiałyśmy się akurat jako nastoletnie dziewczynki, i doszłam do wniosku, że taka istota była dostatecznie rozwinięta, by wykonywać lekkie prace, a jednocześnie dość słaba, by przeciętny człowiek przewyższał ją siłą. Choć mogłam przypisywać tej decyzji zbyt wiele logiki. Może nikt się nad tym nie zastanawiał.

Nie wiedziałam, czy zanim skończyła się dawna cywilizacja były nas setki, czy pierwsze prototypy powstawały dopiero w laboratoriach. Nie potrafiłam ocenić, czy brak mimiki był zaplanowany, czy stanowił konsekwencję ograniczenia emocjonalnego. Z pewnością jednak nikt nie przewidział, że będziemy się pojawiały w wyniku chaotycznego działania mocy. Rządy nie chciały też, by współcześni dowiedzieli się, że stworzyli nas ich przodkowie. Najwyraźniej ludzie mniej wstydzili się zagłady swojego świata niż wyprodukowania człowieka odartego z człowieczeństwa.

Znów spojrzałam na grupę dorosłych żołnierzy, którzy wygłupiali się na śniegu jak małe dzieci. Właściwie teraz bardziej przypominali szamanów niż na co dzień.

– Nie boisz się z nimi jechać? – spytałam tak cichutko, że nie byłam pewna, czy Al w ogóle mnie usłyszał.

– Wiedzą, co robią – odparł.

– Tymoteusz jest silny, ale nie dość, by pokonać przywódcę Sępów. – Nie sądziłam, że wypowiem te słowa.

– Przecież to nie on będzie walczył.

W głosie technika usłyszałam tylko zdziwienie, jakby mówił do dziecka, które nie wie czegoś zupełnie oczywistego. Zanim podniosłam wzrok, mężczyzna odszedł i otworzył maskę samochodu, jakby nagle przypomniał sobie, że musi się czymś zająć.

Prawda uderzyła mnie jak rzucony kamień. Zamiana kobiet. W ciągu ostatnich miesięcy nie odstępowałam na krok Samuela, lecz to Kim odgrywała jego nałożnicę, podczas gdy ja stałam się towarzyszką Tymoteusza. Kim była najładniejsza i najbardziej seksowna z nas wszystkich, dlatego najlepiej nadawała się na kobietę przywódcy.

W tym momencie podbiegł Samuel – uśmiechnięty i zdyszany, otrzepywał ubranie ze śniegu.

– A, musisz się przyłączyć! Nawet jeśli powiesz, że robiłaś to już setki razy, nie uwierzę, że było tak fajnie jak dzisiaj! – wykrzyknął, z trudem łapiąc oddech.

– Nie będziesz mógł użyć mocy – wyrzuciłam z siebie.

– OK. – Uniósł ręce w geście kapitulacji. – Do tej pory tego nie robiłem, więc z tobą też wygram własnymi siłami.

– Mówię o walce z wodzem Sępów – wyjaśniłam.

– Aaaaa, wiesz, przyszło mi to już wcześniej do głowy. Ludzie, którzy napadają bezbronnych, zwykle twierdzą, że przestrzegają jakichś zasad.

– Przecież ty nie masz szans!

Samuel naprężył mięśnie pod czarnym swetrem.

– I jak? Nadal we mnie nie wierzysz? – Ledwie panował nad śmiechem.

– Jeśli cię zabiją, to my wszyscy staniemy się ich własnością – syknęłam przez zęby.

– Naprawdę uważasz, że jestem tak głupi, żeby jechać tam bez żadnego planu i dać się zabić? – Potrząsnął głową w teatralnym geście. – Nie!

Czekaj, nie odpowiadaj! Chyba nie chcę wiedzieć, ale czy wierzysz, że Tymoteusz, Li i ci wszyscy ludzie są tak głupi, żeby mi zaufać?

Przygryzłam wargę. Miał rację, może.

– Idziesz? – spytał, jakby ta rozmowa w ogóle się nie odbyła.

– Nie lubię śniegu – wymamrotałam pod nosem.

Kiedy wrócił do zabawy, ja wsiadłam z powrotem do samochodu. Położyłam pelerynę na siedzeniu Samuela, a sama próbowałam zasnąć, lecz błoga nieświadomość nie nadchodziła. Nawet wtedy, gdy ruszyliśmy, a wszystkie te słowa zostały daleko za nami jak rozkopany śnieg u podnóża pagórka.

Tym razem nie tylko nie zaczęliśmy szukać miejsca na nocleg przed zmrokiem, ale w ogóle nie zatrzymaliśmy się po zachodzie słońca. Noc była wyjątkowo jasna i może w lecie uznałabym to za wystarczający powód, by kontynuować podróż. W zimie drogi stawały się jednak bardziej zdradliwe.

– To tutaj – powiedział w pewnym momencie Tymoteusz.

Zahamowaliśmy przed odznaczającą się na tle nieba ciemniejszą bryłą, która przypominała dom – nieco większy niż te w nowych osadach i znacznie mniejszy od pustostanów w miastach.

Kiedy wysiedliśmy z samochodu i podeszliśmy bliżej, zauważyłam, że budynek ma trzy kondygnacje, małe okna ukryte za pancernym metalowym rolet i zwyczajne drewniane drzwi. Spadzisty dach pokryty panelami słonecznymi dziwnie kontrastował z białym płotkiem. Ktoś oszlifował starannie każdą sztachetę, jakby obawiał się, że nieproszeni goście skaleczą się, przeskakując na drugą stronę. Oczywiście gdyby z jakiegoś powodu nie mogli skorzystać z otwartej na oścież furtki.

Weszliśmy do ciepłego wnętrza i uświadomiłam sobie, że już takie miejsca widziałam. Nazywano je „lepami”, „wnykami” albo po prostu

pułapkami – niezniszczone domy z działającym ogrzewaniem z wnętrza ziemi, filtrami wody, zapasami drewna i świec. Stały zwykle z dala od jakichkolwiek osad. Jedni twierdzili, że należały do Rządów, których ludzie mogli się tam zatrzymać na postój w czasie długich podróży. Inni, że były przeklęte, a każdy, kto przekroczył próg, ściągał na siebie nieszczęście.

Nie wiedziałam, skąd Tymoteusz znał to miejsce. Wkrótce dogoniły nas wozy i na widok budynku zapanowała radosna wrzawa. Najwyraźniej członkowie wspólnoty nie słyszeli nigdy o pułapkach.

W ścisku i potwornym zgiełku zjedliśmy kolację, a potem Tymoteusz pociągnął mnie do pokoju na górze. Jakimś cudem nikogo tu nie było, mimo że dom pękał w szwach, i odrobinę ciszy przywitałam z wdzięcznością. To znaczy przywitałabym w innych okolicznościach.

Drewniane deski trzeszczały lekko, gdy po nich stąpaliśmy. Pod ścianami stały duże rzeźbione skrzynie, a pod oknem wąskie łóżko – pozbawione materaca wyglądało trochę jak niski stół. Na podłodze leżał wieloramienny mosiężny świecznik. Wyglądał, jakby ktoś go tu przyniósł z innego miejsca albo czasu.

Tymoteusz nie rzucał głupich żartów ani nie przestępował z nogi na nogę. Kazał mi się rozebrać, zupełnie jak wtedy w namiocie. Choć jego oczy nie wyrażały żadnych emocji, w głosie usłyszałam niepewność. Dysonans, którego się nie spodziewałam i z którego mężczyzna chyba nie zdawał sobie sprawy. Wskazał mi miejsce na podłodze i usiadł za mną.

Poczułam, jak starszy z braci przesuwając dłoń po moim kręgosłupie. Ledwie udało mi się zachować spokój i pozostać w bezruchu. Napięłam mięśnie pleców, by okazać zdenerwowanie. Szaman nie musiał dotykać nadgarstka, by odczytać czyjeś myśli. Potrzebował do tego jedynie nerwów pod skórą. Im więcej ich było, tym lepiej.

Gdzieś daleko w tle słyszałam radosny harmider wypełnionego ludźmi domu. Staralam się to wyłączyć: dźwięk, dotyk, bodźce, emocje. Stałam się białą kartką. Nie, nie kartką – pudełkiem o ustalonym kształcie, lecz pustym w środku. Potrafiłam zniżyć się do poziomu neuronów i zablokować impulsy, które Tymoteusz próbował wyciągnąć z mojego umysłu.

Pełna napięcia cisza czyniła nierealnymi głosy dochodzące zza ściany. Szaman cofnął rękę i przez długie minuty żadne z nas się nie poruszyło. Chciałam wstać, lecz Tymoteusz przytrzymał mnie delikatnie i stanowczo. Jego dłoń wsunęła się prosto pomiędzy moje uda. Powoli, jakby w zamyśleniu zaczął wodzić palcami po kępce ciemnych włosów.

Poczułam, jak przysunął twarz bliżej mojej, a jego ciepły oddech łaskotał szyję.

– W każdej chwili możesz kazać mi przestać – wyszeptał. – Tylko błagam, nie kalkuluj. Skoncentruj się na tym, czego chcesz w tej chwili.

Świat zawirował mi przed oczami. Nie spodziewałam się takiego rozwoju wydarzeń i nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Na dobrą sprawę nie wiedziałam też, co powinnam ani co chcę w tej chwili czuć.

Tymoteusz wstał i cofnął się. Czyżby dawał mi czas na zastanowienie? Miał zamglone oczy i oddychał w ten charakterystyczny sposób, jakby powietrze stało się gęstsze. Wyciągnął spośród moich rzeczy szalik i z głośnym trzaskiem przedarł go wzdłuż. Przyklęknął przy mnie i zawiązał przepaskę wokół swoich oczu.

– Żeby nikt już nie musiał udawać – usłyszałam, gdy również mnie kawałek tkaniny pogrążył w ciemności.

Dłoń Tymoteusza odszukała moją pierś i ścisnęła ją zbyt mocno. Nie przeszkadzało mi to jednak i pieszczota stała się jeszcze silniejsza. Mogłam zaprotestować, ale jęknęłam cicho – sama nie wiem, z bólu czy z



rozkoszy. Na szczęście nie musiałam tego nazywać ani szukać odpowiedniej miny.

Moje ciało eksplodowało setką nowych doznań i byłam pewna, że nie tylko ja mogłam tej nocy przestać na chwilę udawać.

O świcie obudziłam się sama, przykryta kolorowym pledem. Przyjrzałam się skórze, ale znalazłam tylko ślady po sznurze, które nie zniknęły jeszcze z nadgarstków. Dwie czerwone pręgi oznaczały, że zostałam związana mocniej, niż mi się wydawało.

Ubrałam się, przeczesalam palcami włosy i zbiegłam na dół. Bez trudu odszukałam kuchnię, w której kręciło się kilka osób.

Dwóch obecnych tam mężczyzn rzuciło mi zaciekawione, a jednocześnie onieśmiałe spojrzenia. Kim udawała, że nic się nie stało, ale jej policzki przybrały barwę purpury. Ja zaś stanęłam w progu jak wryta i rozpaczliwie szukałam jakiejś miny albo słowa, którym mogłabym przełamać ciszę.

*To mały dom!* – zrozumiałam dopiero teraz. – *Cholerny mały dom w starym stylu, gdzie wszyscy wszystko słyszą. W każdym razie krzyk słyszą z całą pewnością.*

Ku mojemu zdziwieniu pierwsza odezwała się Mika, której wcześniej nie zauważyłam, bo stała za czymiś plecami.

– Zagrzaliśmy wodę do mycia – oświadczyła i nim ktokolwiek się ruszył, wyprowadziła mnie z kuchni.

Bezpośrednio obok znajdował się mały pokój, pewnie rodzaj magazynu na żywność, w którym ustawiono balię.

– Zostawię cię teraz samą – powiedziała z wymuszonym uśmiechem.

Nie byłam pewna, jak interpretować jej zachowanie, ale nadto dobrze pamiętałam rozmowę Miki z Tymoteuszem i nienaturalny blask jej oczu, gdy uruchomiła LED-y na korytarzu.

– Przepraszam – wyjąkałam. – Naprawdę nic mnie nie łączy z Tomem.

– Wiem, mnie również – odparła. – Jestem taka jak wy.

Nie spytałam, co ma na myśli, bo rozsądniejsze wydało mi się udawanie, że ją rozumiem.

– Sądziłam, że bardzo go lubisz – stwierdziłam ostrożnie, karcąc się w myślach za nieudolny dobór słów.

– Moja mama mówiła, że ludzie są słabi i omylni, ale jeśli będziemy cierpliwi, to dobro, które damy od siebie, kiedyś do nas powróci. – Potrząsnęła głową, jakby zdanie przyczepiło się do jej ust i chciała je zrzucić. – A Tymoteusz nauczył mnie nienawidzić ludzi tak mocno, jak tylko na to zasługują.

## MIKA – 8 LAT WCZEŚNIEJ

Ludzie podchodzili do luksferów, otwierali drzwi domów, a nawet wychodzili na dachy, aby lepiej przyjrzeć się przybyszom. Dwaj mężczyźni na koźle nie różnili się zbytnio od mieszkańców miasta. Tylko skórę mieli bardziej ogorzałą i nosili brody, co z bliżej nieokreślonego powodu często charakteryzowało mieszkańców nowych osad. Nie oni jednak przyciągali uwagę gapiów, lecz ich wóz zaprzęzony w gniade konie.

Miejscowi mieli stado żylastych wołów, rozrastające się nieprzerwanie już od kilku pokoleń, brakowało im jednak szczęścia do wierzchowców, których, pomimo kilku drogich prób, nie udało się sprowadzić na te tereny.

Podróżni zatrzymali się tylko raz obok pary staruszków, którzy bezskutecznie tłumaczyli dzieciom, że żadna ciekawość nie uzasadnia zbliżania się do obcych. Zapytali o drogę, a potem ponaglili konie. Nikt

się nie zdziwił, gdy ich celem okazał się dom młodego szamana i jego wyklętej wspólnoty.

Brodaci przybysze zeskoczyli z kozła. Jeden załomotał do drzwi budynku zamiast zadzwonić, drugi zacisnął dłoń na trzonku niewielkiego toporka. Zaraz jednak cofnął rękę, najpewniej nie chcąc spłoszyć gospodarzy.

Drzwi otworzył mężczyzna o rzadko spotykanych wśród białych ludzi ciemnych, kręconych włosach. Miał gładko wygoloną twarz i czarny malunek na całej szyi – tatuaż, który przybyszom skojarzył się z miejskimi gangami albo z Sępami. Wzór przedstawiał kwiaty i pewnie ze względu na kolor sprawiał wrażenie przygnębiającego.

– Jeśli szukacie kłopotów, to tutaj je znajdziecie – oświadczył brunet niskim, ciepłym głosem, zupełnie niepasującym do sytuacji.

Ten, który stał bliżej drzwi, odchrząknął. Dopiero z bliska można było zauważyć aureolę zmarszczek wokół jego oczu. Miał mocno przerzedzone włosy na głowie, choć wypłowiała broda pozostała gęsta.

– Szukamy pomocy – powiedział cicho. – Był u nas kupiec, który przysięgał, że w tym mieście mieszka szaman.

– Kupcy opowiadają różne bajki, żeby coś sprzedać.

Młodszy z przybyszów otworzył metalowy zamek i bok skrzyni wozu opadł z głośnym trzaskiem. Na kilku słomianych materacach leżała okryta kocami dziewczynka. Majaczyła coś w gorączce.

Gospodarz milczał przez chwilę. Przygryzł wargę, odwrócił się i krzyknął do kogoś w głębi domu:

– Marie! Leć po Sama, ale już!

Echo kroków rozbrzmiało w głębi budynku i zaraz znikło, tak że nie byli pewni, czy rzeczywiście je słyszeli.

– Możemy ją wnieść do środka? – spytał młodszy przybysz. – Rano skończyła nam się filtrowana woda.

– Jak daleko musieliście jechać? – odpowiedział pytaniem mężczyzna z tatuażem. Nie cofnął się jednak i nic nie wskazywało na to, że zamierza ich wpuścić.

– Sześć dni – odparł starszy. – Częściowo w nocy. Tak szybko, jak tylko pozwoliły konie.

– Nikt was nie napadł?

– Jechaliśmy przez pustkowie, nikogo nie spotkaliśmy.

– Wiedzieliście, że nic wam nie grozi?

– Nie, nie wiedzieliśmy.

Dźwięk kroków rozbrzmiał znowu w głębi ciemnego korytarza. Mężczyzna z tatuażem wypuścił na zewnątrz trzy osoby – zdawało się, że wszystkie ledwie wyszły z wieku dziecięcego.

Pierwsza wybiegła dziewczyna o krótko ściętych włosach i kanciastych kształtach. Gdyby nie sukienka, pomylili by ją z chłopcem. Towarzyszył jej podrostek trochę wyższy od niej, ale drobnej postury, z zielonymi dreadami sięgającymi ledwie ramion. Najstarszego z nich można było już nazwać mężczyzną, mimo że miał gładką, piegowatą twarz.

Dziewczyna na widok dziecka chciała podbiec do wozu, ale piegowaty złapał ją za ramię i przytrzymał mocno, aż syknęła z bólu.

– Jak to się stało? – spytał zielonowłosy młodzieniec.

– Błagam, pomóżcie jej – jęknął starszy z przybyszów. – Cudem przeżyła podróż, nie wiemy, ile jeszcze czasu...

– Słyszeliście pytanie – syknął piegowaty. Głos miał zimny, nienaturalnie poważny jak na swój wygląd.

– Jej rodzice naprawiali stare rzeczy... różne, takie, których nikt naprawiać nie powinien – powiedział młodszy. – Używali wiedzy

przodków, chociaż tłumaczyliśmy im... Szamani przyjechali w nocy, zniszczyli cały budynek, choć krzyczeliśmy, że w środku jest dziecko. Potem odjechali bez słowa.

– Wnieście ją – zawyrokował piegowaty.

Starszy przybysz wziął dziewczynkę na ręce i podążył za mężczyzną z tatuażem. Korytarze budynku stanowiły taki labirynt, że nie potrafiłyby powiedzieć, jak trafił do pomieszczenia, w którym kazano mu zostawić dziecko na stole i wyjść. Zdziwił się, widząc, że z chorą zostaje tylko trójka wyrostków.

\*

Marie chciała odgarnąć dziewczynce włosy z czoła, ale Tom złapał ją za rękę.

– Nie dotykaj jej! – syknął.

Otworzył szczelną plastikową beczkę, w której trzymali narzędzia i opatrunki, a potem wyjął z niej płócienny bandaż. Dziecko nie miało otwartych ran.

– Co chcesz zrobić? – spytała Marie, stając mu na drodze.

– Dość już się nacierpiała, czas z tym skończyć – odparł spokojnie.

– Tom, przestań! – Nastolatka zanosła się płaczem.

Sam nie wiedział, co powiedzieć. Z jednej strony nie potrafiłby podnieść ręki na dziecko, z drugiej widział – podobnie jak Tom – wielką kulę mocy, która otaczała dziewczynkę niczym kokon.

Tymoteusz bez trudu złapał drobną Marie za rękę, położył kciuk poniżej jej nadgarstka, a drugą dłoń dziewczyny przycisnął do sferycznego ładunku. Dopiero teraz nastolatka poczuła, z czym ma do czynienia. Pisnęła i odskoczyła jak oparzona.

– Ona i tak już spaliła się od środka – powiedział starszy z braci.

Nie docenił Marie. Gdy tylko ją puścił, przypadła do stołu i położyła dłonie na czole dziecka. Sam zaklął pod nosem, ale nim zdążył się zastanowić, stał obok niej. Dziewczyna nie mogła przeżyć takiego uderzenia mocy. Nie dało się wyciągnąć ze sfery kogoś niedoświadczonego, więc jedyne, co mógł zrobić, to pójść za nią prosto w ogień.

Samuel położył dłoń na dłoni Marie. Oboje próbowali odciągnąć moc, lecz pożar wybuchł dookoła nich ze zdwojoną siłą. Szaman chciał krzyknąć, cofnąć się, oderwać rękę od pulsującego mocą dziecka, ale było za późno. Wszystko potoczyło się zbyt szybko. Przez łyki widział wykrzywioną bólem twarz Marie. Nawet jeśli mógł wyjść z tego cało, to ona na pewno nie.

Rysy dziewczyny rozmazały się i zniknęły. Sam zamknął oczy. Czuł drżenie jej dłoni, ale nie wiedział, że ciałem nastolatki targają konwulsje, a jego własne ręce trzęsą się coraz bardziej. Powietrze płonęło i z każdą chwilą parzyło coraz mocniej.

Nie zauważył, kiedy brat się do niego zbliżył, ani nie poczuł, gdy go dotknął. Znacznie później do ośpionego cierpieniem umysłu dotarło, że moc została ujarzmiona i skanalizowana. Tymoteusz zawładnął nią, zlepił w niewielkie kule i ułożył je bezpiecznie w ich ciałach. Ból jednak jeszcze długo nie mijał ani się nie zmniejszał.

Pierwsza upadła Marie, dopiero potem na podłogę osunęli się Samuel i Tymoteusz. Oddaliby teraz królestwo za łyk wody lub czegoś mocniejszego, lecz wiedzieli, że ich ludzie nie odważą się tu zajrzeć. Szamanowi nie wolno przeszkadzać w pracy. Sami to wymyślili, by nikt się nie zorientował, że uzdrowień w cięższych przypadkach dokonuje Marie, a w cięższych Tymoteusz.

– Co z Marie? – wyszeptał Samuel po kilku godzinach.

– Gorączka, delirium, jak już będzie w stanie jeść, to zacznie rzygać krwią – odparł Tymoteusz lekko zachrypniętym głosem. – Niestety, to nie potrwa tak długo, jak powinno.

– Proszę, nie mów, że jesteś w stanie wezwać pomoc i leżymy tu tylko w ramach twojej chorej zemsty – jęknął młodszy z braci.

Przedłużająca się cisza stanowiła odpowiedź.

\*

Przybysze z nowej osady postanowili, że nie przyjmą gościny w tej dziwnej wspólnotce. Zresztą nikt im jej nie zaoferował.

Zasiedlili znajdujący się w pobliżu pustostan, gdzie spali na przemian, tak aby jeden zawsze pilnował koni. Kolejny raz mieli szczęście, bo miasto okazało się dosyć bezpieczne. Oczywiście niestrzeżonymi końmi mieszkańcy by nie pogardzili, ale żadna banda nie próbowała zdobyć ich za cenę krwi właścicieli, co mogło się zdarzyć w wielu innych miejscach.

Wodę brali od grupy mężczyzn, którzy trudnili się wyrębem i obróbką drewna. Drwale mieszkali blisko domu szamana i chętnie tam zaglądali po alkohol lub mocniejsze używki. Gdyby nie to zgubne sąsiedztwo, byłiby rzetelnymi i szanowanymi pracownikami.

Kiedy po kilku dniach przybysze zażądali widzenia dziecka, zaprowadzono ich do pokoju, w którym stał duży drewniany stół i świeżo zbite skrzynie. Niedokończone krzesło leżało do góry nogami. Miejsce przypominało warsztat stolarski, tylko bez okien.

Młodziak o zielonych włosach – szaman, jak się dowiedzieli – siedział po turecku na jednym z kufrów i zszywał coś z gałganków. Ten z piegowatą twarzą, ale o zimnych oczach – na które zwrócili im uwagę dopiero sąsiedzi – stał pod ścianą.

– Rządowi rzadko interesują się nowymi osadami – powiedział bez żadnego wstępu.

– Chcemy zobaczyć dziewczynkę – odparł młodszy przybysz.

– Skąd więc szamani mogli wiedzieć, że jej rodzice zajmują się wynalazkami przodków? – Piegowaty ciągnął tę samą myśl.

Starszy z brodaczy patrzył na niego przez dłuższą chwilę z zaciętą miną. Napięte mięśnie szczęki powoli zaczynały drgać, aż mężczyzna rozplakał się niespodziewanie.

– Nie chcieliśmy, żeby ucierpiało dziecko – załkał.

– Ale inni już tak? – rzucił lekko zielonowłosy nastolatek, wycinając kółka z czarnego filcu.

– Prosiliśmy, daliśmy im czas, wszyscy wiedzą, że nauka przodków może co najwyżej sprowadzić na nas zagładę, tak jak sprowadziła na nich! – wykrzyczał młodszy brodac.

– A więc przez sześć dni wieźliście do nas umierającą dziewczynkę, po tym, jak sami wezwaliście szamanów? – powiedział piegowaty spokojnie, jakby rozmawiali o pogodzie.

– To najmłodsze dziecko w osadzie. Bóg mi świadkiem, nie chcieliśmy, żeby coś jej się stało – zaczął cicho tłumaczyć starszy.

– Jesteście wierzący – ni to stwierdził, ni zapytał nastolatek, przyszywając kółka do szarego materiału. – W miastach rzadko ludzie odwołują się do Boga.

– Najmłodsze? – powtórzył piegowaty i zmierzył ich lodowatym spojrzeniem błękitnych oczu. – Czyli jej matka przestała rodzić jakieś sześć lat temu. Nie była wam już potrzebna.

Nie odpowiedzieli, nie musieli.

– Chcemy odzyskać dziewczynkę i mamy do niej prawo – powiedział stanowczo młodszy przybysz.

– Bo może być płodna? – kontynuował piegowaty. – Warto spróbować szczęścia. Nawet jeśli widziało się już człowieka, który postradał rozum



lub cierpiał do końca życia po uderzeniu mocy...

– Przedłużamy jej sen. Nie musi być świadoma bólu, który wciąż trawi jej ciało – odezwał się nastolatek.

Robótka w jego rękach nabierała kształtu. Gałganki zaczęły przypominać pluszowego zwierzaka, a czarne kółka oczy.

Starszy mężczyzna z osady zapatrzył się na maskotkę. Niepodziwianie podniósł się i chciał wyjść, ciągnąc za sobą zaskoczony towarzysz.

Zrozumiał już, że tu i teraz nic nie wskórają. Nie spodziewali się takiego obrotu sprawy i nie byli przygotowani na to, by odebrać dziecko siłą. Tym bardziej że nawet nie wiedzieli, w którym pomieszczeniu znajduje się dziewczynka ani jak wielu mężczyzn liczy ta wspólnota. Mieli jeszcze czas, co najmniej kilka lat, nim mała osiągnie dojrzałość płciową.

– Gdy tylko zechce do was wrócić, pomożemy jej – zapewnił młodzieniec o zimnych błękitnych oczach.

Trudno było nie usłyszeć drwiny w jego głosie.

– I, jak rozumiem, dopilnujecie, żeby nigdy nie chciała – warknął młodszy brodac.

– Obiecuję, że będzie o tym marzyła.

Słowa piegowatego zabrzmiały tak złowrogo, że żaden z przybyszy nie miał odwagi się odwrócić.

## ROZDZIAŁ 5

Tego poranka najbardziej obawiałam się spotkania z Samuelem. Choć może to złe słowo – tym razem nie towarzyszył mi strach, lecz dziwny rodzaj niepewności. Znalazłam się w sytuacji, która wymykała się logice,

więc nie wiedziałam, na jaką reakcję emocjonalną powinnam się przygotować.

Wyszłam z domu jako jedna z ostatnich osób i nie byłam pewna, czy świadomie podjęłam tę decyzję, czy po prostu najpóźniej się obudziłam. Samuel stał oparty o samochód z założonymi rękami i patrzył bykiem. Mięśnie szczęki drgały mu pod skórą, jak u kogoś, kto zaraz wybuchnie.

Dopiero w drugiej kolejności zwróciłam uwagę na gotowe do drogi wozy i kręcącego się pomiędzy nimi Tymoteusza, który zdawał się nie zauważać całej sceny. Niepewnie podeszłam do samochodu, na wszelki wypadek przyjmując skruszoną postawę. Nie sądziłam, by młodszy z braci zamierzał mnie uderzyć. Na jego miejscu nie zrobiłabym też awantury w obecności własnych ludzi. Oczywiście o ile był w stanie myśleć racjonalnie.

Gdy się do niego zbliżyłam, Samuel wybuchnął śmiechem.

– Ha, dałaś się nabrać! – krzyknął rozbawiony. – Czyli nie jesteś w tym taka dobra, jak sądziłem.

Zatrzymałam się w pół kroku i szybko podjęłam decyzję, że powinnam okazać zdziwienie. Nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy.

Wsiedliśmy do samochodu, a po chwili dołączył do nas Tymoteusz, który również uśmiechał się pod nosem. Zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy od chwili, gdy powiedział mi, kim jest, znów wyglądał jak mężczyzna o twarzy wiecznego chłopca.

Mieli rację – nie byłam w tym taka dobra, nie potrafiłam przewidzieć ich zachowania. Zupełnie jak w przypadku dzieci albo pijanych.

Gdy tylko znaleźliśmy się w aucie, oparłam się o szybę i udałam, że zasypiam. Sen zwalniał mnie z obowiązku bycia kimś określonym i dla kogoś.

Miałam wrażenie, że trwałam w tej kołyszącej ciemności bardzo długo, nim samochód się zatrzymał. Początkowo sądziłam, że się rozładował, ale Al zaklął pod nosem, a ktoś inny otworzył drzwi. Podniosłam się, zapominając o odegraniu sceny pobudki.

Krajobraz dookoła zmienił się w ciągu kilku godzin jazdy. Pagórki urosły do rozmiarów gór i chociaż jechaliśmy doliną, przybyło dużo śniegu. Zwłaszcza przed nami. Droga stała się praktycznie nieprzejezdna z powodu wielkiej zasy, wyższej ode mnie i na pewno znacznie szerszej od samochodu.

– A, chyba nie chcesz przegapić takiej zabawy – powiedział Samuel, a wesołe ogniki w jego oczach nie wróżyły niczego dobrego.

Wysiadłam, w duchu zazdroszcząc Kim, która została w ciepłym wnętrzu. Mika oddaliła się od nas i zniknęła gdzieś za krzakami. Al stał przed maską i patrzył to na pojazd, to na przeszkodę, jakby dziwił się, że tak cudowna maszyna nie jest w stanie poradzić sobie ze wszystkimi przeciwnościami.

Tymoteusz zatrzymał się obok mnie i założył ręce na piersi, a Samuel wyszedł do przodu i oparł dłonie o śnieżną ścianę.

– Zrobimy tunel – mruknął bardziej do siebie niż do nas.

Nim zrozumiałam, co miał na myśli, słup zielonego światła wypłynął z jego rąk, topiąc wszystko na swojej drodze. Nie zdążyłam zadać sobie pytania, kiedy zmagazynował tę moc ani jakie będą konsekwencje. Wtedy byłam pewna, że nikt z nas nie wiedział, co się stanie.

Strumień stopił śnieg, tworząc długi tunel przez całą zaspę. Stało się to zbyt szybko, bym pomyślała, dlaczego akurat w tym miejscu śniegu nagromadziło się tak dużo i co się stanie, jeśli jakaś jego część zniknie. Nie potrafiłabym wytłumaczyć, czemu zapamiętałam ten moment jako

idealną ciszę. Może dlatego, że huk, który nastąpił krótko po nim, był ogłuszający.

Lawina ruszyła na nas. Chciałam rzucić się do ucieczki, ale Tymoteusz przyciągnął mnie do siebie, a ja znalazłam się w zupełnie innym miejscu i czasie.

Patrzę na otoczenie z dołu jak ktoś bardzo mały. Muszę być jeszcze dzieckiem. Dorosłemu mężczyźnie, który stoi obok mnie, nie sięgam nawet do pasa. Zadzieram głowę i widzę szare oczy Ministra.

Stoję w dużym zimnym pomieszczeniu, w którym wszystko jest zrobione ze szkła albo stali. Daleko przede mną otwierają się drzwi i żołnierze wprowadzają nieznanego człowieka. Wygląda na ponad trzydzieści lat, nosi ślady pobicia, ale idzie wyprostowany, spokojny. Spogląda na nas wyzywająco, a kiedy dostrzega mnie, spluwa pod nogi. Wie doskonale, po co tu jesteśmy i co się zaraz stanie.

Zaczynam odbierać całe mnóstwo emocji, które nie należą do mnie. Wyczuwam w tym mężczyźnie strach, ale też dumę i miłość do kogoś, kogo tu nie ma.

– Każcie mu uklęknąć! – rozkazuje Minister.

Podnoszę wzrok. Najwyraźniej nie spodziewałem się takiego polecenia. Żołnierze podcinają nogi skazańcowi i w ten sposób zmuszają go, by opadł na kolana.

– Tymoteuszu – mówi Minister.

Wiem, że tak naprawdę jest to rozkaz, ale nie wypełniam go, tylko patrzę na mężczyznę przy ścianie. Tamten jest w stanie spojrzeć mi w twarz tylko dlatego, że klęczy, a jednak patrzy, mimo że moje oczy są zimniejsze niż otaczające nas stal i szkło. Nie odwraca wzroku, nie ugina się, nawet przed kimś takim jak ja.

– Tymoteuszu – powtarza Minister z naciskiem.

Niepokoi się i to również czuję. Wyciągam przed siebie drobną rączkę.  
– Tymoteuszu, zabij go – rozkazuje Minister.

Jakbym nie wiedział, po co tu jestem, jakbym nie robił tego wcześniej.  
Opuszczam malutką dłoń.

W tym momencie wszystko wróciło. Gdy uniosłam powieki, nie mogłam zrozumieć, co się wokół nas dzieje. Śnieg, tony śniegu, kamienie i drzewa spadały dookoła. Tymoteusz trzymał rękę wyciągniętą przed siebie i otaczał nas mocą jak parasolem. Samuel klęczał przy Alu, którego nogi tkwiły pod lawiną. Miki i Kim nie widziałam w ogóle. Chciałam wierzyć, że są bezpieczne, a śmierć przetacza się tylko nad nami, ale staliśmy zbyt blisko samochodu, nim to wszystko się zaczęło. Po kilku długich uderzeniach serca świat zatrzymał się.

Tymoteusz cofnął się i otarł strużkę krwi, która spłynęła mu z nosa. Patrzyliśmy na siebie i nikt nic nie mówił. Co właściwie mogliśmy w tej chwili powiedzieć? Staliśmy na dnie okrągłego jaru, z którego nienaturalnie gładkich ścian sterczały gdzieś tam fragmenty drzew. Śnieg wokół nas musiał stopnieć, bo mieliśmy pod stopami czarną, wypaloną ziemię. Odruchowo spojrzałam w górę. Błękitne niebo zdawało się bardziej odległe niż kiedykolwiek.

Do krawędzi śnieżnych ścian, które nas otoczyły, podeszli ludzie. Starszy z braci pokazał im na migi, że jesteśmy bezpieczni i mogą tu przyjść. Trwało dosyć długo, nim wymyślili sposób, jak się do nas dostać. W końcu mężczyźni zeszli po linach z powiązanymi w równych odstępach supłami.

– Mika i Kim? – spytał Samuel, gdy znaleźli się w zasięgu głosu.

– Mika tylko wystraszona – odpowiedział jeden z mężczyzn. – Dag szuka Kim, ale nie wyczuwa życia...

Nigdy nie dowiedziałam się, na czym polega szamańska zdolność wyczuwania życia. Podejrzywałam, że była skutkiem ubocznym posiadania zupełnie innych umiejętności, takich jak empatia. Sprawdziłam też, że da się ją oszukać, ale patrząc na otaczające nas zwały śniegu, jakoś nie wierzyłam w pomyłkę.

Samuel powierzył uwalnianie Ala swoim ludziom i w kilku zwinnych ruchach wspiął się po linie na górę. Mnie ktoś złapał pod rękę i zaczął obwiązywać jak pudełko do podniesienia na dźwigu. Nikt się nie odzywał, jakbyśmy się bali, że najmniejszy dźwięk może obudzić chwilowo uśpioną lawinę. Tymoteusz stał pośrodku śnieżnego jaru z dłońmi zaciśniętymi w pięści i ustami przypominającymi wąską kreskę na poblądłej twarzy.

Dołączyłam do członków wspólnoty na górze. Marie sprawdziła pośpiesznie, czy nie mam złamanych kości. Zupełnie jakby zapomniała, że w moim przypadku nie ma to aż takiego znaczenia.

Większość osób kręciła się przy czole lawiny. Szukali Kim i samochodu, który najwyraźniej też zniknął w odmętach czegoś zdawałoby się tak niewinnego jak biały puch. Konne wozy zatrzymano w bezpiecznej odległości.

Gdy już trochę oprzytomniałam, udało mi się wypatrzeć kołyszącą się jak dziecko Mikę i przenikliwe spojrzenie czarnych oczu Li. Nastolatek trzymał się z daleka, chociaż teraz był najbardziej potrzebny...

Prawda dotarła do mnie nagle. Przecież Li mógł to przewidzieć, powinien wiedzieć, czym się skończy dziecięcy wyskok Samuela. Pomyślałam jeszcze raz o wszystkim, co wydarzyło się od chwili, gdy wysiedliśmy z samochodu, i wcale nie byłam pewna, czy nie przewidział. Za dużo zbiegów okoliczności uratowało życie naszej piątce.

Moje rozmyślenia przerwało poruszenie wśród ludzi przeszukujących śnieg. Zaczęli kopać rękami i z daleka wyglądało to jak heroiczna walka, która nie mogła skończyć się zwycięstwem. Wielu do nich dołączyło. Na wszelki wypadek przybrałam zmartwioną minę, ale nie poszłam za nimi. Patrzyłam jak zahipnotyzowana, gdy ranili dłonie i zaciskali mocno szczęki, jakby bali się, że ktoś z nich powie głośno to, o czym wszyscy myśleli.

Bitwa była przegrana, jeszcze zanim rude włosy i czerwona suknia Kim wypłynęły na powierzchnię i rozlały się na śniegu niczym krew. Samuel klęczał tyłem do mnie, więc nie widziałam jego twarzy, w chwili gdy położył się na ziemi i zwinął w kłębek.

Rozejrzałam się i spostrzegłam Tymoteusza. Stał pomiędzy Li a Marie. Wydawało się, że kłóćą się szeptem. Kobieta płakała, nastolatek miał spokojną, lecz zaciętą minę, a szaman masował skronie opuszkami palców. Wyglądał, jakby mówienie sprawiało mu coraz większą trudność. W końcu zachwiał się, cofnął i odszedł, omijając swoich ludzi szerokim łukiem. Myślałam, że upadnie, ale on podszedł do wozu, wyprzągnął konia, dosiadł go i pojechał dookoła czoła lawiny.

Wspólnota straciła obu przywódców w chwili, gdy najbardziej ich potrzebowała. Chyba nie stało się to po raz pierwszy, bo Dag natychmiast zorientował się w sytuacji i zaczął wydawać krótkie polecenia. Niektóre z nich, jak znalezienie miejsca, w którym można wykopać grób, albo zabicie z desek noszy dla Ala, były istotne. Jednak przydzielono zadania wszystkim członkom wspólnoty, ważniejsze i mniej ważne, tak aby każdy miał przynajmniej złudzenie robienia czegoś potrzebnego.

Chociaż ja nie potrzebowałam zajęcia, pomogłam Patowi – mężczyźnie z dużym tatuażem na szyi – w przygotowaniu rozgrzewającego naparu z

imbiru. Dzień był wyjątkowo zimny, prawdopodobnie sąsiedztwo gór wpływało tak na temperaturę.

– Powinnaś iść do niego – powiedział nagle Pat, który wcześniej nie odezwał się do mnie ani słowem.

Zmieniłam się cała w znak zapytania, nim zrozumiałam, że ma na myśli Samuela. Szaman wciąż leżał na śniegu obok miejsca, gdzie znaleziono Kim.

– Nie jestem najlepszą osobą...

– Wiem, że jej śmierć cię nie obeszła – wszedł mi w zdanie. – I nie mam ci tego za złe. Sam potrzebuje teraz kogoś tak zdystansowanego jak ty.

Skinęłam głową. Nie chciałam rozmawiać z rozpaczającym szamanem, ale poczułam się zdemaskowana. Nie zareagowałam na śmierć Kim tak samo jak ludzie i oni to zauważyli. W innym miejscu i innym czasie taki błąd mógłby kosztować mnie życie.

Podeszłam więc do Samuela, czując na plecach wzrok bardzo wielu osób. Leżał na śniegu, owinięty w szamańską pelerynę jak w kokon. Przyklękłam obok jego twarzy i sama nie wiem dlaczego postanowiłam powiedzieć to, co myślałam naprawdę, a nie to, co powinnam.

– Nie wiedziałeś, co się stanie? – spytałam wprost.

– Trudno w to teraz uwierzyć, co? – odpowiedział od razu. – Rzeczywiście byłem tak głupi, że nawet nie przyszło mi to do głowy.

– Dlaczego w takim razie kazałeś mi wyjść z samochodu?

– Bo chciałem ci zaimponować, tylko tyle.

Szaman, który próbuje zaimponować kukielce. Nie znałam nikogo innego, kto byłby w stanie wymyślić równie absurdalną rzecz. Pewnie dlatego przyjąłem, że to może być prawda.



– W takim razie nie powinieneś się obwiniać. Nie chciałeś jej zabić – stwierdziłam łagodnie. Nie wiedziałam, czy mu wierzę, ale jakieś słowa pocieszenia powinny były paść w tym momencie.

– Gdybym chciał, to wszystko byłoby po coś. Musiałbym przecież mieć powód, a tak... Kim zginęła zupełnie bez sensu. To, że nie chciałem albo nie wiedziałem, nie jest wytłumaczeniem, tylko zarzutem.

Ostatnie słowa wypowiedział ze złością, której się po nim nie spodziewałam. Co zrobić w takiej sytuacji? Przecież nie mogłam przyznać mu racji. Uratował mnie powrót Tymoteusza.

– Stało się, dzieciaku – powiedział starszy z braci, nie schodząc z konia. – A teraz musimy ruszać, zanim wszyscy zamarzniemy. Trzeba nadłożyć drogi, żeby ominąć to miejsce, ale dalej trasa wygląda na przejezdną.

Pojechał do pozostałych członków wspólnoty, a Samuel rzeczywiście się podniósł. Wiedziałam, że nie powinnam o to pytać, ale tego dnia mniej nad sobą panowałam.

– Sądysz, że Tymoteusz też nie wiedział, co się stanie?

– Twoim zdaniem przewidział wszystko, ale mnie nie powstrzymał? Chciałbym móc powiedzieć, że nie byłby do tego zdolny – odparł Samuel tak spokojnie, jakbyśmy nagle zaczęli rozmawiać o pogodzie.

\*

Przesiedliśmy się na wozy i ruszyliśmy dalej mimo ponurej i pełnej napięcia ciszy, która niemal materializowała się wokół nas jak obłoczki pary wypuszczane przez usta.

Tymoteusz jechał wierzchem. Musiał posiąść tę umiejętność dawno temu i później jej nie używać. Wyprostowany jak struna, unosił się w rytm kroków zwierzęcia, jakby występował na paradzie. Ludzie, którzy na

co dzień jeździli konno, siedzieli rozparci niedbale, zgarbieni i nijak nie nadawali się do podziwiania.

Starszy szaman zresztą też nie próbował nikomu zaimponować. Ledwie trzymał się w zasięgu wzroku, a czasami znikał zupełnie w białej otchłani przed nami. Zbliżał się tylko, gdy musiał przekazać informację na temat kolejnego odcinka drogi i nawet wtedy wolał krzyczeć albo pokazać coś na migi niż podejść do kawalkady wozów.

Samuel również oddalił się od swoich ludzi, chociaż w zupełnie inny sposób. Zamknął się w głębi czarnej peleryny i miałam wrażenie, że na zasadzie niepisanej umowy wszyscy omijają go wzrokiem. Nikt nie odzywał się bezpośrednio do niego, a osoby siedzące w pobliżu ściszały głos, jakby bały się wybudzić go z letargu.

Bardzo podobny kokon otaczał Ala, który leżał nieruchomo na pakunkach, opatulony przesadną ilością futer. Nikt mu się nie przyglądał ani nie pytał o samopoczucie. Nawet opiekująca się rannym Marie wykonywała swoje czynności mechanicznie, jakby kontrolowała działanie cennego urządzenia, a nie stan żywej istoty.

Mimo tego wszystkiego posuwaliśmy się naprzód i odcinek, który pokonaliśmy, nie wydawał się dużo krótszy od naszych tras z poprzednich dni. Na godzinę przed zachodem słońca trafiliśmy na tunel. W środku było brudno i śmierdziało, bo okoliczna zwierzyna musiała sobie upodobać to miejsce, ale i tak trudno było o lepsze warunki. Tunel osłaniał obóz od wiatru, śniegu i wzroku potencjalnych przeciwników.

Sądząc po minach osób, które w zamyśleniu dotykały nadszarpniętych czasem ścian, większość członków wspólnoty nigdy nie widziała takiej konstrukcji. Czasami zastanawiałam się, czy dawni ludzie i ci obecni nie należeli do dwóch różnych gatunków. Tamci, którzy potrafili budować

długie korytarze biegnące przez sam środek gór, i ci latający dziury w murach krzywo zbitymi deskami.

Tego wieczora nie było ognisk, śpiewów, gwaru rozmów ani przechodzącej z rąk do rąk butelki. Wszyscy wykonywali swoje zadania w milczeniu. Nawet konie, które szczotkowano znacznie staranniej niż zwykle, przestały parskać nerwowo.

Pomogłam przygotować ciepły posiłek i zjadłam tylko kilka łyżek ze wspólnego kotła. Nikt dzisiaj nie miał apetytu, więc starałam się, by moje zachowanie nie odbiegało od innych. Z ulgą zauważyłam, że niemal wszyscy kładą się spać, jakby ten dzień nie mógł już przynieść niczego dobrego i należało go jak najszybciej zakończyć. Chciałam pójść w ich ślady, gdy Marie włożyła mi w ręce miskę zupy i kawałek chleba.

– Tymoteusz prosił, żebyś zaniósła mu jedzenie – powiedziała bezbarwnym głosem.

Człowiek pewnie skrzywiłby się w tym momencie, a nawet zaklął pod nosem. Ja skinęłam z powagą głową. Widząc jednak, że dziewczynie rozmowa ze mną przychodzi z trudem, przybrałam smutną minę.

– Marie, ja... – zaczęłam cicho i niepewnie.

– Nie dziś, A – ucięła. – Nikt z nas nie powinien się do niego dzisiaj zbliżać, a ty możesz.

Nie rozumiałam niczego poza tym, że nie mam wyboru. Mogłabym przysiąc, że kukielka jest ostatnią osobą, której powinno się powierzać zadanie pocieszania szamanów. Może wspólnota obwiniła braci o utratę towarzyszkę albo nie chciała im dokładać swojego bólu? Może coś mi w tym wszystkim umykało?

Zamyślona wzięłam jedzenie i nawet nie miałam nadziei, że to nie potrwa długo. Tymoteusz rozbił się daleko przed tunelem. Emocjonalna

reakcja Samuela wydawała mi się logiczna, po starszym z braci spodziewałam się jednak jakiegokolwiek próby opanowania sytuacji.

Gdy zjrzałam do namiotu, mężczyzna leżał tyłem do wejścia. Kiedy się zbliżyłam, spostrzegłam, że jest blady, a mięśnie pod jego skórą tańczą, napięte z bólu. Przy Samuelu niemal zapomniałam, jak bardzo szamani cierpią, gdy przez ich ciało przejdzie duży strumień mocy.

– Marie powiedziała, że kazałeś mi przyjść – stwierdziłam, nie siląc się na dobór odpowiedniej intonacji.

– Pewnie powiedziała, że „prosiłem” – poprawił mnie z wymuszonym uśmiechem. – Potrzebuję twojej pomocy, A. Chcę, żebyś porozmawiała z Samuelem.

Nie zdziwiłam się, bo przestałam już zakładać, że mogę przewidzieć jego następny ruch. Postawiłam przed nim miskę z parującą zupą i położyłam obok chleb z serem. Nie skomentowałam ani złego stanu, w jakim się znajdował, ani dziwnego życzenia.

– Jesteśmy już blisko obozu Sępów – powiedział, gdy zrozumiał, że nie spytam. – Domyśliłaś się pewnie, że mój brat musi wyzwąć ich przywódcę na pojedynek i zwyciężyć.

– Nie mam pojęcia, co zrobić, żeby Samuel nie przegrał – odparłam.

– On nie przegra – oznajmił Tymoteusz, jakby ten fakt był oczywisty i nie wymagał tłumaczenia. – Ale boję się, że nie będzie potrafił wygrać.

– Dlaczego ty z nim nie porozmawiasz? – spytałam, czyniąc ton głosu tak obojętnym, jak to tylko możliwe. – Najlepiej przecież wiesz, jaki efekt chcesz uzyskać.

Zmrużył oczy i zaczął masować skronie. Przeszło mi przez myśl, że mógłby przecież zastosować któryś z magicznych środków do uśmierzenia bólu. Samuel nigdy nie czekał zbyt długo z ugaszeniem trawiącego go ognia podejrzaną zawartością butelki. Nie powiedziałam

jednak nic, bo nie miałam wątpliwości, że Tymoteusz o tym wszystkim wie.

– Nawet ktoś tak beztroski jak mój brat zauważył już, że jest częścią planu. Zna mnie też dostatecznie długo, by spodziewać się manipulacji. Ta rozmowa nie przyniosłaby niczego dobrego.

Przekrzywiłam głowę, odruchowo udając, że się zastanawiam. Czy mogłabym teraz uciec? Obaj szamani sprawiali wrażenie mocno osłabionych, a pozostali członkowie wspólnoty pogrążyli się w marazmie. Tej nocy miałam największe szanse wymknąć się niezauważona. Jednak jeśli by mnie złapali, ich reakcja byłaby mniej logiczna, a przez to bardziej niebezpieczna.

– Nie mogę obiecać, że mnie posłucha ani że powiem to, co powinien usłyszeć – powiedziałam powoli.

– Nie ma takich słów, które powinien teraz usłyszeć. Jest przywódcą, ma nauczyć się odpowiadać za życie innych i nosić ciężar decyzji, które ktoś musi podjąć.

Nie odezwałam się. Nie miałam pojęcia ani o przewodzeniu ludziom, ani o wygłaszaniu patetycznych sentencji. Wyszłam z namiotu, by porozmawiać z drugim cierpiącym szamanem. Absurdu przybywało szybciej niż gwiazd na rozświetlonym tej nocy niebie.

Samuela odnalazłam po dokładnie przeciwnej stronie tunelu. Nie rozstawił namiotu i nie wyglądał na chorego. Siedział na śniegu, obejmując kolana rękoma. Przypominał nieco obrażone dziecko, lecz szybko odrzuciłam to skojarzenie.

– Myślałem, że uciekniesz – powiedział, gdy tylko podeszłam. – To byłby dobry moment.

– Widocznie zbyt dobry, skoro go przewidziałeś. – Udawałam, że mnie nie zaskoczył.

– Racja, rzadko udaje mi się coś przewidzieć – stwierdził gorzko. – Usiądź. Przysłali cię, żebyś ze mną porozmawiała?

Pytanie było retoryczne, ale i tak skinęłam głową, mimo że szaman patrzył przed siebie i nie mógł tego zobaczyć.

– Oboje wiemy, że to bez sensu, ale możesz ze mną posiedzieć, dopóki nie zmarzniesz – kontynuował Samuel. – Zostanę w tym stanie pewnie do rana, bo sytuacja mi na to pozwala. O świcie jednak wstanę i ruszę w dalszą drogę, jakby nic się nie stało. Czy to nie jest przerażające?

Nie potwierdziłam, nie zaprzeczyłam. Jako ktoś, kto zawsze bał się, że pewnego dnia zostanie zaszlachtowany na środku rynku ku uciesze tłumów, nie zastanawiałam się nigdy nad właściwym sposobem poszanowania pamięci zmarłego.

– Jak to jest poświęcić kogoś, aby samemu przeżyć? – spytał nagle szaman.

Czy to, co poczułam, powinnam nazwać zaskoczeniem? Jak bardzo można się czegoś nie spodziewać? I dlaczego właściwie spytał „jak”, a nie „czy” kiedykolwiek mi się to zdarzyło?

Nie miałam ochoty odpowiadać. Rozumiałam, że w tej chwili Samuel czuł się dorosły, ale dla mnie nadal był młodym człowiekiem, który nawet nie potrafił sobie wyobrazić prawdziwego zła ani cierpienia. Nie. Nie „dla mnie”, tylko „przy mnie”.

Dopiero po chwili przyszło mi do głowy, że musiał zobaczyć któreś z moich wspomnień. Panowałam nad swoim umysłem dużo lepiej niż on, ale tamtej nocy, gdy stanęliśmy przeciwko rządowym szamanom, wszystko działo się zbyt szybko i zbyt mocno, bym mogła to kontrolować.

Nie wiem, czemu spośród wszystkich wydarzeń, których nie mogłam wymazać z pamięci, przypomniła mi się poznana wiele lat wcześniej dziewczyna.

Udawałam wtedy chłopca, bo mężczyźni, nawet młodemu i drobnej postury, łatwiej znaleźć pracę. Czyha na niego też mniej zagrożeń, gdy błąka się samotnie od jednego domu do drugiego z prośbą o ciepły kątek.

Ludzie, którzy mnie przygarnęli, mieszkali w małej osadzie na uboczu. Znaleźli tam żyzne ziemie, ale w wielu sytuacjach byli zdani tylko na siebie. Mieli jedną córkę. Wydawało mi się, że kupili ją za ciężkie pieniądze od ubogiej rodziny z miasta. O takich transakcjach nie mówiło się głośno, bo dzieci nie były przecież towarem, co najwyżej rzadkim dobrem.

Pracowałam u nich ponad pół roku, aż początkowa nieufność w stosunku do mnie jako obcego przerodziła się w szczerą sympatię. Młody mężczyzna stanowił skarb dla niedużej osady.

Nigdy nie dowiedziałam się, czy to rodzice skłonili dziewczynę do zwrócenia na mnie uwagi, czy sama uległa pechowemu zauroczeniu. Faktem jest, że ze względu na nią szykowałam się już do wyjazdu. Był jednak środek zimy i zdecydowałam się poczekać do wiosny. Jeszcze przez wiele lat przeklinałam tę decyzję.

Sępy nadjechały w środku dnia. Osada była zbyt mała, by mogła obronić się przed plemieniem. Ponieważ istniała od kilku pokoleń, mieszkańcy zdążyli już uwierzyć, że świat o nich zapomniał.

Na krótką chwilę przed atakiem dziewczyna płakała, odgrywając scenę miłosnej kłótni rodem z jarmarcznego spektaklu, a mnie przypadła rola młodzieńca, który ma serce z kamienia.

Nie zdążyłyśmy nic zrobić. Usłyszałyśmy krzyki mordowanych mieszkańców. Czas zatrzymał się na chwilę w niemym przerażeniu i nim ruszył z powrotem, kilku rostrych mężczyzn wkroczyło do izby. Jeden z nich złapał mnie i pociągnął do drzwi. Na pierwszy rzut oka widzieli, że nie nadaję się na Sępa, ale mogłam pracować przy obozie. Ja – chłopiec.

Ona – dziewczyna jak z piosenki, o błękitnych oczach i włosach złotych niczym kłosa zboża, została w tej izbie. Ostatni raz widziałam ją przewróconą na ziemię, gdy pochylał się nad nią wojownik z obleśnym uśmiechem na twarzy. Gdybym wierzyła w Boga ludzi, pewnie dziękowałabym mu za to, że nie zobaczyłam niczego więcej. Na dobrą sprawę nigdy nie sprawdziłam, co się z nią stało. Mogłam oczywiście się domyślić, ale tak bardzo nie chciałam tego wiedzieć.

– Nikogo nie poświęciłam – powiedziałam bezbarwnym głosem, nie siląc się na dobór odpowiedniej gamy emocji. – Kiedy walczysz o istnienie, po prostu ratujesz siebie. Wydaje ci się, że nie robisz niczego złego, że i tak nie mógłbyś pomóc tej drugiej osobie. Jeśli zginąłbyś razem z nią, niczego by to przecież nie zmieniło. Nie podejmujesz też żadnej decyzji, bo nie masz na to wystarczająco dużo czasu ani opanowania. Wybierasz po prostu życie i kiedy jest już po wszystkim, nawet nie wiesz, jak do tego doszło.

Samuel siedział z zadartą głową i patrzył na niebo. Wydawało się, że w ogóle nie słucha i zastanawiałam się, czy zaraz poprosi o powtórzenie, czy nagle zmieni temat, jakby żadne z tych słów nie padło.

– Dlatego właśnie musimy iść dalej – powiedział niespodziewanie. – Bo my możemy jeszcze świadomie podjąć decyzję. Dokonać wyboru, na który kiedyś będzie za późno.

Moim ciałem wstrząsnęły dreszcze. Nie spytałam, co miał na myśli, bo przecież ustaliliśmy, że zostanę, tylko dopóki nie zmarznę, a nagle zrobiło mi się bardzo zimno.

\*

Nie można powiedzieć, że nowy świt wymazał dramat poprzedniego dnia. Ludzie nie otrząsnęli się z tragedii w ciągu jednej nocy, jednak nastąpił minimalny ruch w kierunku normalności.



Miałam wrażenie, że nawet ja myślę jaśniej. Po pierwsze, zaczęłam wątpić w winę Tymoteusza. Obiektywnie zejście lawiny wyrządziło bardzo duże szkody i nie przychodził mi do głowy ani jeden powód, dla którego ktoś mógłby się na coś takiego zdecydować. Po drugie, trzęsłam się na samą myśl o zbliżającej się konfrontacji z Sępami. Samuel nie miał szans, a nawet jeśli, to znałam plemiona i nie wierzyłam, że pozwolą się poprowadzić przeciwko Rządowi Rodanu.

Oficjalnie oczywiście obie grupy nienawidziły się z całego serca. Rządowi obiecywali ludziom ochronę przed bezwzględnyimi barbarzyńcami, jeśli ktoś jednak żył tak długo i wiedział tyle co ja, zaczynał się zastanawiać, jak to możliwe, że Rząd, który dysponował dużą armią naziemną, zaawansowaną bronią i szamanami, nie potrafi sobie poradzić z uzbrojonym w maczugi i noże plemieniem.

– A, muszę cię umalować – powiedziała Marie, wytrącając mnie z zamyślenia.

Skinęłam głową.

– Dlaczego właściwie?

Nie powinnam była pytać. Uderzyło mnie, jak bardzo nieostrożna zrobiłam się w ciągu ostatnich dni. Zupełnie jakbym przeczuwała, że to już nie ma większego znaczenia.

– Podobno jesteś znacznie mądrzejsza od nas. Zaczynaj więc myśleć, zanim wszystko źle się skończy – wyrzuciła z siebie, ignorując moje pytanie. W jej głosie pobrzmiwała złość. Słusznie, pasowała do tych słów, tylko słowa nie pasowały ani do Marie, ani do mnie. Chciałam wierzyć, że zmysły mnie oszukały i usłyszałam fragment rozmowy toczącej się gdzieś w tunelu.

– Gotowe – rzuciła sucho Marie i kiedy już byłam pewna, że odejdzie, dodała: – Ciągłe szukasz pomocy u innych. Spróbuj chociaż raz

wyobrazić sobie, że ty też mogłabyś komuś pomóc.

Wsiadliśmy na wozy. Pomyślałam później, że to był ostatni moment, kiedy mogliśmy zawrócić, bo tego dnia ruszyła zupełnie inna lawina.

Po południu, gdy konie z coraz większym trudem pokonywały górski teren, Dag zatrzymał pierwszy wóz, wstał i uniósł dłoń. Nie rozumiałam, co to miało oznaczać, ale inni najwyraźniej wiedzieli, bo obudzili śpiących i sięgnęli po broń. Tymoteusz natychmiast zawrócił. Nie trzymał się już tak daleko z przodu, ale i tak nie wiedziałam, jakim cudem zauważył ten gest, skoro konwój znajdował się za jego plecami.

Nikt nic nie powiedział. Ku mojemu zdziwieniu Samuel otrząsnął się nagle z letargu, zeskoczył z wozu i wyszedł przed wszystkich. Panowała taka cisza, że słyszałam skrzypienie jego butów na śniegu.

– Chcemy rozmawiać z waszym przywódcą! – krzyknął głośno.

Dwa duże ptaki poderwały się do lotu i zaczęły kołować nad nami. Nic więcej się nie wydarzyło przez wiele długich uderzeń serca.

Nawet nie wiem, skąd wyleciała włócznia, która wbiła się tuż obok stóp młodego szamana. Nagle poważna mina Samuela znikła i na powrót stał się sobą. Wyciągnął włócznię, obrócił ją do góry ostrzem i zaczął drzewcem rysować na śniegu.

W końcu zza załomu skalnego wyszedł mężczyzna, dosyć stary i prawdopodobnie mało wartościowy dla plemienia. Ktoś, kogo można spisać na straty, jeśli obcy jednak zaatakują. Nosił długie futro, chyba niedźwiedzie, mocno zniszczone i za duże. Prawdopodobnie odziedziczył je po innym wojowniku. Jego sylwetka przygarbiła się już, ale dawniej musiał być słusznego wzrostu. Długie ręce wciąż dawały mu większy zasięg w walce, niż mieli zwykle przeciwnicy.

– Wyglądacie na rządowych – powiedział z twardym akcentem.

– Nie jesteśmy nimi – odparł szaman, nie przestając rysować.

– Skąd macie te rzeczy?

– Uznali, że bardziej ich potrzebujemy, i wszystko nam oddali. – Samuel uniósł rozbawiony wzrok, jakby drwina w jego głosie nie była dostatecznie czytelna.

– Jakich kłopotów szukacie? – spytał Sęp.

– Chcę wyzwać waszego przywódcę na pojedynek o prawo do rozkazywania wam – wyrecytował szaman tym samym beztroskim tonem, nadal z wesołymi ognikami w oczach.

– Dlaczego mielibyśmy się godzić na tę walkę?

Samuel odwrócił się, po czym wykonał gest ręką, jakby chciał zagarnąć wszystkie wozy wraz z ich zawartością.

– Możemy was zabić i zdobyć to samo – rzekł przytomnie starszy mężczyzna.

Sprawiał wrażenie całkiem mądrego, ale to nie była cecha, którą ceniono w jego plemienu.

– Mam rozumieć, że przewodzi wam człowiek, który boi się pojedynku z kimś takim jak ja? – powiedział szaman.

Tania prowokacja nie zadziałałaby w innej wspólnotie. Po co wpuszczać obcych na swój teren, skoro można ich wyrznać i ograbić z dala od obozu? Stary przewrócił oczami i pomyślałam, że nawet on jest tego wszystkiego świadomy. Chodziło jednak o plemię, które pustych manifestacji siły potrzebowało tak samo jak chleba albo kobiet.

Sęp uniósł dłoń, podobnie jak przed chwilą Dag, i wykonał kilka niezrozumiałych gestów. Na zboczu góry, wysoko nad nami, jakaś postać zerwała się do biegu i w kilka minut pokonała trudny teren. Potem znikła nam z oczu.

Od tej chwili zapadła cisza. My wszyscy czekaliśmy, a Samuel nadal rysował i nie ulegało wątpliwości, że na śniegu powstaje obraz małego

kotka.

Czas dłużył się niemiłosiernie, więc żadną miarą nie potrafiłam ocenić, ile trwało, nim nadjechało trzech konnych. Nie zbliżyli się, tylko dali starszemu mężczyźnie znak, że ma przyprowadzić przybyszów. Nie musiałam się odwracać, by zgadnąć, że jakimś sposobem Sępy pojawiły się również za nami.

Szaman przytrzymał konwój jeszcze przez chwilę. Ulepił śnieżkę i położył ją pod łapką narysowanego kota. Wręczył starszemu mężczyźnie włócznię, a sam odwrócił się demonstracyjnie tyłem, po czym wsiadł na wóz. Błądził wzrokiem gdzieś po wierzchołkach górskich szczytów. Bardzo możliwe, że nie mógł patrzeć, jak jego dzieło znika pod końskimi kopytami.

W eskorcie gospodarzy podjechaliśmy pod bramę ogrodzonego ostrokołem obozu Sępów. Z dwóch stron miejsce chroniły skalne ściany, wyglądające niczym stworzony na zamówienie czterdziestometrowy płot.

– Jeżeli chcecie rozmawiać z wodzem, zdajcie broń! – zawołał starszy mężczyzna, odwracając się do nas.

– Nie musimy z nim rozmawiać wszyscy – odparł spokojnie Tymoteusz.

Tak jak się obawiałam, skinął na mnie głową. Ześlizgnęłam się niezdarnie z wozu, a towarzystwo Samuela i Marie wcale nie dodawało mi otuchy.

Szamani odpięli noże i przekazali je Dagowi, ostentacyjnie ignorując wyciągniętą rękę Sępa. My nie miałyśmy nic do oddania. Marie przykleiła się do Samuela, ale jej poza i mina były tak sztuczne, że nawet najmniej uważny obserwator wyczułby fałsz. Mnie Tymoteusz złapał za smycz, więc uznałam, że mogę odgrywać rolę kobiety odczuwającej jednocześnie

niechęć i respekt do swojego oprawcy. W tym przynajmniej byłam wiarygodna.

Brama rozsunęła się cicho, niemal bezszelestnie, co wydawało się niemożliwe, biorąc pod uwagę jej wielkość. Eskorta konna została przy wozach, a my poszliśmy za starszym mężczyzną wydeptaną w śniegu ścieżką na główny plac.

Miejsce w pewnym sensie przypominało nową osadę. Znajdowały się tutaj chaty z grubych bali, tak niskie, że wyglądały, jakby składały się niemal wyłącznie ze spiczastych dachów. Domy były jednakowe, aby wróg nie mógł łatwo odgadnąć ich przeznaczenia. Z doświadczenia wiedziałam, że gdzieś w mroku, tuż nad powierzchnią śniegu, czają się niewielkie okienka.

Część zbrojnych stała na placu. Reszta najprawdopodobniej ukrywała się przed wzrokiem obcych, żeby nie mogli oszacować liczby przeciwników. Sępy nie odznaczały się inteligencją, ale od kilku pokoleń żyły walką, więc musiały wiedzieć, jak robić to dobrze.

Przywódca czekał na nas na wielkim drewnianym tronie. Kątem oka dostrzegłam śnieg, nienaturalnie spiętrzony dookoła konstrukcji. W ten sposób ukryto drągi do jej przenoszenia. Najwyraźniej atrybuty władzy nie miały wielkiego zastosowania w codziennym życiu obozu.

U stóp mężczyzny siedziała dziewczyna, nieszczerólnie piękna, ale dobrze odżywiona i obdarzona większym biustem niż ja i Marie razem wzięte. Po obu stronach tej pary stali strażnicy w pełnym rynsztunku.

Przywódca Sępów spojrział na nas krytycznie, jakby zastanawiał się, czy woli splunąć, czy uśmiechnąć się paskudnie. Podejrzewam, że czyniąc to drugie, był zupełnie nieświadomy dokonywania jakiegoś wyboru.

– Zgodziłem się was przyjąć – powiedział głośno, zwracając się nie do nas, tylko do swoich ludzi – bo jestem ciekawy, dlaczego tacy idioci postanowili przyjechać tu na pewną śmierć.

– Chcemy wypowiedzieć wojnę Rządowi Rodanu i potrzebujemy armii – odparł swobodnie Samuel.

Przez kilka uderzeń serca nikt nie wiedział, jak zareagować, i dopiero gdy wódz zaśmiał się niepewnie, inni poszli w jego ślady.

– Jesteś większym głupcem, niż sądziłem – rzekł. – Nawet nie zdążę się rozgrzać, zanim cię zabiję.

– Czyli zgadzasz się na walkę o przywództwo?

Mężczyzna na tronie przekrzywił lekko głowę. Musiał mieć świadomość, że ta rozmowa wygląda zupełnie inaczej, niż powinna, a skoro tak, to dalszy rozwój sytuacji również może wymknąć się spod kontroli.

– Znaj moją łaskę, gówniarzu! – krzyknął tubalnym głosem, choć słyszałam fałszywe nuty w tej próbie odzyskania pewności siebie. – Zabiję cię własnoręcznie, skoro tak ci na tym zależy, a wcześniej daruję jeszcze jedną noc życia, żebyś zaznał smaku prawdziwej kobiety.

Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby to zdanie pochodziło z jakiejś jarmarcznej sztuki. Mężczyzna odgrywał teraz przed swoim plemieniem rolę nieustraszonego wojownika. My nie byliśmy dla niego zbyt znaczącą publicznością.

Wódz trącił nogą dziewczynę, która wstała i zaczęła się rozbierać. W jej ruchach nie było niczego powabnego ani uwodzicielskiego. Zwykła mechaniczna czynność, nieco nieporadna z powodu drżenia dłoni, gdy wystawiała ciało na działanie siekącego mrozu.

Zasada ostatniej nocy. Znałam ją, choć mieszkałam w zupełnie innym obozie Sępów, położonym daleko stąd.

– Dają ci kobietę, by sprawdziła twoje ciało i doniosła im o słabych punktach – powiedziałam głośno.

– Wasza suka za dużo szczeka – warknął przywódca.

Jeden ze strażników podszedł i wyciągnął miecz w stronę mojej szyi. Wstrzymałam oddech, bo wiedziałam, że im delikatniej dotknie mnie ostrze, tym szybciej rana się zagoi. Nie zabijają kobiety obcych przed walką, ale kukielkę rozszarpią bez względu na wszystko.

Tymoteusz zareagował błyskawicznie, ledwie zdołałam zaobserwować ruch jego dłoni. Jedną ręką otoczył moją szyję, jakby chciał przyciągnąć mnie do siebie. W rzeczywistości odpiął łańcuch od obroży i popchnął mnie na ziemię. Łańcuch zakręcił młynek w powietrzu, a następnie owinął się na klindze miecza i jednym szarpnięciem wyrwał go zaskoczonemu strażnikowi z rąk.

Pozostali wojownicy sięgnęli po broń, ale starszy z braci powstrzymał ich ruchem dłoni. Dopiero po chwili zerknęli niepewnie na przywódcę, bo przypomnieli sobie, że obcy nie ma prawa im rozkazywać. Tymczasem szaman rozwinął łańcuch płynnym ruchem, w taki sposób, że miecz wylądował u stóp drewnianego tronu.

Wszystko wyglądało jak kuglarska sztuczka, do tego stopnia, że niemal spodziewałam się braw, ale wokół nas zapadła cisza. Nie było takiej magii ani fortelu, który pozwoliłby miastowemu rozbroić plemiennego wojownika. Nie wątpiłam też, że człowieka, któremu odebrano miecz, czeka surowa kara.

– To by było na tyle w kwestii wymiany uprzejmości – skomentował głośno Samuel. – A walczyć możemy dzisiaj. Denerwuję się przed pojedynkami i nie dam rady nic przełknąć, dopóki nie będzie po wszystkim.

Przywódca Sępów nie zaśmiał się tubalnie ani nie spojrział na przeciwnika z pogardą. Jego kobieta zaczęła się z powrotem ubierać. Najwyraźniej uznała, że jej część występu już się skończyła.

– Niech będzie, skoro tak spieszo ci umierać – powiedział mężczyzna na drewnianym tronie, ale w jego głosie brakowało przekonania, które powinno towarzyszyć podobnym słowom.

– Świetnie, w takim razie zajmijcie się areną czy jak to tam nazywacie i wskażcie mi miejsce na namiot, żebym miał się gdzie przygotować – polecił Samuel, zacierając ręce.

– Nie powiedziałaś, jaką bronią chcesz walczyć, przybyszu. – Wódz mimowolnie spojrział na łańcuch w dłoni Tymoteusza.

– Żadną – odparł wesoło młodszy z braci. – Przecież obiecałeś zabić mnie rękami.

Mało brakowało, a wypuściłabym ze świstem wstrzymywane powietrze. Ja znałam ciało szamana i nie miałam wątpliwości, że Samuel jest znacznie słabszy od wodza Sępów. O ile uwierzyłam, że istnieje fortel, dzięki któremu wygra, o tyle nie dawałam mu żadnych szans w ucziwej walce na gołe pięści.

Wódz machnął ręką. Widziałam narastającą w nim złość i podejrzliwość. Sępy nie słynęły z mądrości, ale niewątpliwie ceniły zdolność przetrwania, a ich przywódca właśnie zauważył, że zetknął się z zagrożeniem, którego nie umie ocenić ani nazwać.

## AL – 35 LAT WCZEŚNIEJ

Karol czuł, że całe życie przelatuje mu przed oczami, i to wcale nie metaforycznie.



Urodził się we wspólnocie innej niż wszystkie. Na początku myślał, że są jedyną taką grupą na świecie, ale potem zdał sobie sprawę, że świat jest bardzo duży i gdzieś na pewno mieszkają podobni wariaci.

W dzieciństwie nie lubił ani swojej wspólnoty, ani ojca. Chociaż ten często wyjeżdżał, Karol pamiętał go zawsze przy biurku, otoczonego setkami luźnych kartek, które próbował poskładać w całość, jakby nie były puzzlami pochodzącymi z wielu różnych układanek.

Ojciec przywoził z wypraw do miasta zniszczone książki, a w wyobraźni Karola te wyjazdy stawały się niebezpiecznym i emocjonującym poszukiwaniem skarbów. Dzięki temu mógł wierzyć, że jego tata jest bohaterem. Niestety, to działało tylko kiedy był dzieckiem. Gdy dorósł do wieku nastoletniego, nie potrafił już usprawiedliwić zachowania ojca – wiecznie milczącego, niezwracającego uwagi na nich, na matkę ani na jej kolejnych kochanków.

Nie potrafił też wytłumaczyć, dlaczego podobnej niechęci nie żywi do matki. Odkąd pamiętał, traktował ją raczej jak sąsiadkę, częściowo obcą osobę, która bywa mniej lub bardziej miła, ale nie można od niej oczekiwać niczego więcej. Matka nie była jedyną płodną kobietą we wspólnocie, lecz tylko ją otaczał wianuszek adoratorów. Miała nienaturalnie duże piersi i szerokie biodra, a z każdym dzieckiem zbliżała się coraz bardziej do jakiegoś plemiennego wyobrażenia kobiecości.

Wiedziała o tym bardzo dobrze i pozwalała się uwielbiać. Cieszyły ją kwiaty, drobne upominki, psie spojrzenia młodych chłopców, ale też męskie dłonie zaciskające się na jej pośladkach i usta z zapamiętaniem wpijające się w dekolt. To, że nie kończyło się na niesmacznych pieszczotach, których czasem był mimowolnym świadkiem, Karol słyszał aż nadto wyraźnie.

Może właśnie za to tak nienawidził ojca, dla którego nic nie było równie ważne, jak przywiezione z kolejnej podróży kartki: ani żona, ani dzieci, ani drewno na zimę.

Chłopiec był najstarszy z całego rodzeństwa, więc szybko musiał przejąć męskie obowiązki w domu. Przed nim nikt ich nie wypełniał albo robili to okazjonalnie amanci matki. Kolega opowiadał mu, że w miastach dzieci są dobrem całej wspólnoty i wszyscy się nimi opiekują, a istnieją nawet takie miejsca, w których płodnym kobietom daje się wolność, aby nie marnowały swojego daru uwiązane do jednego mężczyzny.

Karol wraz z rodzeństwem musiał jednak żyć wychowywany przez jednych i tych samych rodziców, bo tak właśnie robili dawni ludzie.

Ojciec przekazał mu dwie rzeczy. Po pierwsze powtarzał, że trzeba zrozumieć przodków, aby odzyskać ich świetność, ale nie popełnić tych samych błędów, i była to zasada, którą kierowała się cała wspólnota. Po drugie nieświadomie nauczył Karola, aby w przeciwieństwie do niego nigdy nie zapomniał, co jest w życiu najważniejsze.

Chłopak miał piętnaście lat, gdy ojciec wyjechał do daleko położonego miasta. Twierdził, że znajdzie tam dużo książek i dobrze zachowanych przedmiotów codziennego użytku z czasów przodków. Nawet starsi członkowie wspólnoty nie wiedzieli, skąd wziął tę informację ani kto go zabił. Nikt nie lubił poszukiwaczy przeszłości. Rządy nauczyły ludzi nieufności do wszystkiego, co pogrzebały ruiny.

Karol nie zmartwił się, ale też nie ucieszył na wieść o śmierci ojca. Dopiero później docenił status pólsierot, który poprawił sytuację jego rodzeństwa. Po raz pierwszy miał czas na tak zwaną szkołę.

Wspólnota, choć bardzo liczna, nie miała aż tylu dzieci w zbliżonym wieku, by organizować lekcje, tak jak to robili dawni ludzie. Udostępniała jednak w specjalnym budynku ręcznie przepisywane książki, znalezione

w ruinach urzędnika. Pełnił tam dyżur ktoś ze starszych, kto wskazywał drogę.

Chłopak chodził do szkoły już wcześniej, ale po całym dniu ogarniania domowych obowiązków zasypiał w pół zdania. We wspólnocie miał więc opinię bardzo pracowitego, ale niezbyt bystrego. Później jednak wszystko się zmieniło, bo Karol wbrew składanym w dzieciństwie przysięgom zakochał się w przeszłości i rok po śmierci ojca z mieszanką odrazy i fascynacji wszedł do jego gabinetu, aby zanurzyć się w stosie rozrzuconych kartek.

Miał dziewiętnaście lat, gdy starsi po raz pierwszy pozwolili mu jechać na wyprawę do miasta. Myślał, że rozplacze się na jego widok. Ruiny dawnego świata, o których do tej pory tylko czytał, były jeszcze bardziej imponujące niż w opowieściach.

Dzięki swojej wiedzy mógł czasem rozpoznać markety, szpitale albo biurowce. Pomyśleć, że wspólnoty, które w nich mieszkały, nie miały pojęcia, do czego wcześniej służyły te budynki! Starsi mówili, że to Rządy zabroniły dotykać przeszłości, jakby wciąż była gotową do wybuchu bombą. Karol jednak nie wierzył, że ktoś mógł narzucić ludziom ignorancję albo ustawowo odebrać im ciekawość. Tym bardziej że współcześnie nie było już ustaw. Obowiązywało prawo zwyczajowe, z czego nikt w mieście nie zdawał sobie sprawy.

W wieku dwudziestu pięciu lat młody mężczyzna stał się jednym z najbardziej cenionych obywateli wspólnoty, której kiedyś tak nienawidził. Szybko nadrobił braki w edukacji, a dzięki latom ciężkiej pracy potrafił też produkować dobra na wymianę. Miasto niechętnie wpuszczało obcych na swój teren, ale potrzebowało żywności i różnorodnych narzędzi. Mieszkańcy z radością oddawali za nie sterty nikomu niepotrzebnych śmieci – bezużyteczne pamiątki po przodkach.

Karol nie zdziwił się, gdy rada w demokratycznym głosowaniu wybrała go na męża dla płodnej kobiety. Karolina była od niego pięć lat młodsza i wielu starszych bawiła ta zbieżność imion. Młodzi nie zakochali się od pierwszego wejrzenia, lecz na prośbę Karola przysięgli sobie wzajemny szacunek i z tego przyrzeczenia oboje się wywiązywali.

Gdy Karolina po raz pierwszy zaszła w ciążę, radość wspólnoty nie znała granic. Miesiączkująca dziewczyna z dużym prawdopodobieństwem była płodna, ale w przypadku mężczyzn trudniej o obiektywne kryterium. Czasami traciło się kilka lat na oczekiwanie, a potem następował nieprzyjemny i wstydlivy proceder rozdzielania małżeństwa na rzecz lepiej rokującego związku.

Karol odetchnął z ulgą, bo nawet jeśli utrata Karoliny nie byłaby wielkim dramatem, to chciał zostać ojcem. Z wielu powodów, choć nawet sam przed sobą nie potrafił przyznać, że jednym z nich był wyższy status społeczny i lepszy dostęp do wiedzy, jaki by mu wtedy przysługiwał.

Wspólnota badała życie przodków już od wielu pokoleń i choć jej członkowie wciąż mieli więcej pytań niż odpowiedzi, to odkryli również kilka faktów, których ujawnienie mogło być niebezpieczne.

W dniu, kiedy Karolina urodziła zdrową i silną córeczkę, starsi zaprosili Karola do chaty, w której siedzieli tylko zasłużeni dla wspólnoty rodzice, i wręczyli mu kartkę zapisaną znajomym pismem:

*Wiemy, że metody pozyskiwania energii elektrycznej w czasach przodków nie były doskonałe. Dzieliły się na bardzo szkodliwe dla środowiska albo nieefektywne. Narastające skażenie wody i powietrza zmusiło ludzi do poszukiwania nowych dróg. Ponieważ do wszystkich badań wykorzystywali komputery, użyli maszyn, których moc obliczeniowa znacząco przekraczała dzisiejsze wyobrażenia. Prawdopodobnie nie byli w stanie zweryfikować wyników.*

*Są dowody na to, że nowe elektrownie na początku działały zgodnie z założeniami. Inaczej nie zbudowano by ich tak wielu na całym świecie. Możemy tylko zgadywać, czy fizyczne uszkodzenie jednej z nich zapoczątkowało reakcję łańcuchową, czy raczej ich liczba przekroczyła masę krytyczną i to doprowadziło do tragedii. Dziś wiemy jedynie, że doszło do serii wybuchów. Zginęło wtedy około pięćdziesiąt procent ludzkości (Rządy muszą dysponować dokładniejszymi danymi). Ogromną liczbę ofiar pochłonął chaos, który zapanował później. Temu okresowi zawdzięczamy grodzie, kuloodporne luksfery i systemy zabezpieczeń.*

*Promieniowanie utrzymuje się do tej pory, doprowadzając do niezrozumiałej dla nas reakcji fizycznej, jaką jest emanacja kukiełek (czy Rządy wiedzą, jak i dlaczego?). Dla człowieka jest już całkowicie niegroźne, jeśli nie zostanie skanalizowane przez tak zwanych szamanów.*

*\*Wiele dowodów wskazuje na to, że bezpłodność pojawiła się u przodków jeszcze przed wybuchem i nie była postrzegana jako problem, lecz rodzaj zmiany ewolucyjnej.*

*\*\*Techniki budowy elektrowni, których produktem ubocznym było promieniowanie nazywane przez współczesnych mocą, nie potrafilibyśmy już dzisiaj odtworzyć. Czy to oznacza, że technologia dawnych ludzi jest dla nas bezpieczna?*

Karol nie zdziwił się, rozpoznając pismo ojca, bo w pełni sobie zasłużył na taką ironię losu. Oddał kartkę bez słowa. Pomyślał tylko, że mogliby żyć jak przodkowie, a nie jak szczury, które zagnieździły się w ich domach. Takiej przyszłości chciałby dla swoich dzieci i jeśli jego ojciec myślał tak samo, to Karol miał mu za złe, że nigdy im tego nie powiedział.

Przez najbliższe kilka lat żyło im się dobrze z Karoliną. Plotkowano oczywiście, że kobieta wymienia listy z nieśmiałym kowalem i aż się

serce kraje, gdy trzeba patrzeć, jak tych dwoje przy różnych uroczystościach spotyka się w jednej izbie, ale musi udawać, że nic ich nie łączy.

Niejeden życzliwy świadek opowiadał też, jak Karol, mocno pijany po powrocie z kolejnej wyprawy, łapy dzierlatkom pod spódnice wkładał i świństwa na ucho szeptał. Do zdrady jednak nie doszło. Połączyła ich miłość do dzieci, skoro nie mogła do siebie nawzajem.

Po trzech dziewczynkach urodził się wreszcie chłopiec – Albert, ale dopóki wyglądał na cherubinka z błękitnymi oczami i kręconymi blond włoskami, mówili na niego Al. Szybko stał się oczkiem w głowie nie tylko rodziców, ale i całej wspólnoty, tym bardziej że w wieku czterech lat nadal cieszył się pozycją najmłodszego.

Karol kochał go oczywiście, lecz martwił się brakiem kolejnych dzieci, a Karolina coraz bardziej stanowczo odmawiała prób.

Tego wieczora wrócił do domu po całym dniu kopania ziemniaków i mimo że był wyczerpany, zdjął brudne ubranie, umył się na placu i dopiero wtedy wszedł do izby.

– Tata! Tata! – rozległo się od razu.

Najstarsza dziewczynka pomagała już przy obiedzie, a dwie młodsze ze śmiesznie dorosłymi minami próbowały opiekować się Alem. Tak naprawdę same nie były dużo większe od niego, ale napawały się tym czasem, gdy każdy rok różnicy ma jeszcze ogromne znaczenie.

Karol kucnął i pochwycił w ramiona rozwrzeszczane towarzystwo, biegnące w jego kierunku. Udał, że się przewraca, kiedy jasnowłosa gromadka rzuciła mu się na szyję.

Kątem oka dostrzegł spojrzenie Karoliny i zamarł w bezruchu. Nie było rozbawione ani ganiące, tylko potwornie smutne. Miała oczy zapuchnięte od łez, a nie znał drugiej kobiety, która płakałaby tak rzadko jak ona.

– Dziewczynki, zabierzcie Ala do kominkowego – polecił.

– Po co?

– Zaraz obiad...

– Dopiero co...

Zaczęły szczebiotać jedna przez drugą, ale ich głosy złąły się w jedno odległe echo.

– Grzeczne dzieci powinny się słuchać! – uciął ostro.

Nigdy nie krzyczał. Teraz też nie zamierzał i zdał sobie sprawę, że to zrobił, dopiero kiedy usłyszał własny głos. Na szczęście podziałało i zaskoczone dziewczynki odeszły, ciągnąc pomiędzy sobą nic nierozumiejącego malucha.

– Co się stało? – spytał.

Karolina odpowiedziała szeptem i dopiero po chwili jego umysł rozszyfrował ciche: „Jestem w ciąży”.

– Ależ to wspania... – chciał wykrzyknąć pełnym entuzjazmu głosem, ale zmroziło go jej spojrzenie.

Usiadł przy stole, przeczuwając, że musi się zmierzyć z kolejnym wyznaniem. Karolina nie odzywała się jednak i po długich minutach pełnej napięcia ciszy uznał, że powie to pierwszy.

– Nawet jeśli nie jestem ojcem, będę je kochał tak samo jak pozostałe – wydusił.

– A jak kochasz pozostałe?! – krzyknęła i odwróciła się tyłem. – Dziecko jest twoje, ale boję się, jak długo... Ludzie mówią, że zapuszczasz się za daleko, że ryzykujesz bardziej niż ktokolwiek przed tobą.

Miał ochotę odetchnąć z ulgą, ale powstrzymał się. Cieszył się oczywiście, że tylko o to chodzi, lecz Karolina traktowała sprawę bardzo poważnie.

– Nawet jeśli coś mi się stanie, to wspólnota się tobą zaopiekuje. Młoda jeszcze jesteś, więc i męża dostaniesz nowego. Kto wie, może lepszego ode mnie – próbował zadrwić.

– A nie przyszło ci do głowy, że coś może się stać nam wszystkim?! Że ściągniesz na wspólnotę rządowych? – Spojrzała na niego wyzywająco.

Wstał, żeby mieć wzrok na tym samym poziomie co ona.

– A czy ty uważasz, że istnieją tortury, którymi wyciągnęliby ze mnie cokolwiek na wasz temat?! Poza tym – dodał łagodniej – nawet rządowi nie chcieliby mieć na rękach krwi płodnych kobiet i dzieci.

Był przekonany, że Karolina pokiwa głową, machnie ręką albo zrobi coś równie logicznego, jak podczas wszystkich dotychczasowych kłótni, ale ona wybuchła spazmatycznym płaczem.

– Nie jedź, proszę... – łkała. – Urodzę ci to dziecko, a potem postaramy się o następne, tylko nigdzie nie jedź...

Nie odpowiedział. Poszedł do gabinetu ojca i spał tam na podłodze bez kolacji. Myślał, że z czasem żonie przejdzie, ale z każdym dniem stawała się bardziej zacięta. Karol pracował więc coraz więcej, a dzieci częściej płakały, instynktownie wyczuwając złość między dorosłymi. Nawet Al zrobił się nieznośny.

Karol martwił się najbardziej o to, jak ta atmosfera odbije się na nienarodzonym dziecku. Chciał jechać, wiedział, że w jednym z dużych miast odkryto niedawno zbiorową mogiłę przodków i kilku cwaniaków szukało kogoś, kto będzie gotowy zapłacić za jej przeszukanie. Pamiętał jednak o ojcu i obietnicy złożonej samemu sobie. Nie wolno mu było zapomnieć, co jest najważniejsze.

Dlatego pewnego wieczora wrócił do domu i podszedł do milczącej uparcie Karoliny.

– Nigdzie nie pojedę, dopóki mi nie pozwolisz – powiedział z trudem.



Zarzuciła mu ręce na szyję, przytuliła mocno i pocałowała jak męża, którego sama by sobie wybrała. Dzieci zaczęły się cieszyć i skakać z radości. Tego dnia siedzieli wszyscy do późna, śmiejąc się głośno z byle czego. Od tej pory codziennie powtarzał sobie, że było warto.

Trzy miesiące później pracował z innymi mężczyznami w lesie, gdy przybiegł zziębnięty wyrostek. Karol zamarł w pół ruchu, kiedy stało się jasne, że to właśnie jego chłopiec szuka.

– Pani Karolina bardzo chora – wykrztusił dzieciak.

Nic więcej nie potrafił powiedzieć, bo tylko tyle przekazali mu dorośli. Karol rzucił wszystko i wrócił do osady, gdzie starsza kobieta czekała już przy płocie. Złapała go pod rękę.

Mówiła nieprzerwanie, ale tylko pojedyncze frazy zdołały się przebić do jego świadomości.

– ...tak źle... dziecku nie udało się... ta noc przesądzi czy przeżyje... czy będzie mogła mieć jeszcze... nie wiemy...

Kiwał głową, nieświadomy nawet tego, że potakuje, jakby rzeczywiście rozumiał.

Tuż po nim wrócili pozostali mężczyźni i jeden z przyjaciół zaproponował, że weźmie dzieci na noc do siebie. Karol nie protestował. Podziękował spokojnie wszystkim, którzy przyszli ze słowami otuchy albo propozycją towarzystwa. Poszedł do chałupy i zaczął się pakować.

Błądym świtem osiodłał konia i wyruszył w drogę. Nie powinien jechać sam, ale jeśli miejski gang lub rządowi chcieliby go zaatakować, to równie łatwo poradziłoby sobie z jednym słabo walczącym mężczyzną, co z pięcioma.

Wiedział, że o dzieci nie musi się martwić, bo wspólnota zadba o nie bez względu na to, jak zakończy się ta noc. On wolał żyć kolejny miesiąc w niepewności niż stawić czoła prawdzie. Dopóki nie wróci, będzie mógł

wierzyć, że Karolina wyszła z tego bez uszczerbku na zdrowiu. Nie dawała mu też spokoju myśl, że gdyby mieli wiedzę medyczną i technologię przodków, jej szanse byłyby większe. Pewnie nawet nie umieli sobie wyobrazić, o ile większe.

Karol jechał pięć dni i w podróży miał tyle samo szczęścia, co pecha. Z jednej strony udało mu się natrafić na pokojową osadę, w której uzupełnił za darmo zapas filtrowanej wody. Z drugiej, czwartego dnia złapała go niekończąca się ulewa, a do miasta dotarł tak zmęczony i przemarznięty, jak jeszcze nigdy w życiu.

Wiedział, że było ogromne i dobrze zachowane, ale w siekącym deszczu nie mógł tego zobaczyć, nawet kiedy przemierzał główną ulicę. Powtarzał sobie, że to lepiej, bo dzięki niepogodzie spotkał mniej osób i nie zauważyli go przypadkowi gapie. Mimo wszystko w głębi serca był zawiedziony.

Znalazł pusty, zniszczony budynek, a następnie upewnił się, że nie ma tam śladów bytności innych ludzi. Uwiązał konia i rozpałił niewielkie ognisko pod połową dachu. Wrzucił suszone mięso do gotującej się wody. Potem wmusił w siebie ciepły posiłek, choć zdawałoby się, że po całym dniu drogi powinien rzucić się na każde jedzenie.

Czuwał do świtu, zapadając w krótkie, nerwowe drzemki albo oglądając każdy kamień w swojej kryjówce. Czasami tak bardzo zazdrościł mieszkańcom miast tego, że mieli ruiny na co dzień. Jego wspólnota musiała trzymać się z daleka od dużych skupisk ludzkich, jeśli nie chciała ściągnąć na siebie uwagi nieodpowiednich osób.

Gdy zbudził się z kolejnej, zdawało mu się krótkiej drzemki, odkrył, że słońce już wzeszło. Przestało też padać, ale miasto spowiła mgła, a wilgoć osiadała na wszystkim jeszcze bardziej niż podczas deszczu, bo wpływała pod dachy i nieprzemakalne kaptury.

Karol czuł, że jest zmęczony. Tak bardzo zmęczony, że najchętniej machnąłby ręką i wrócił do domu, do dzieci, za którymi już tęsknił. Wiadomość o mogile przodków pochodziła przecież sprzed kilku miesięcy i pewnie wszystko, co miało jakąś wartość, dawno zostało rozgrabione. Nie potrafił jednak zawrócić, bo jego ucieczka z osady stałaby się jeszcze bardziej bezsensowna.

Wypił gorący napar z lipy, a potem ruszył w głąb miasta. Pogoda ograniczała widoczność, ale też chroniła przed wzrokiem miejscowych. Mimo że miał ze sobą konia, a w sakwie cenne przedmioty na wymianę, nikt nie zaczepił go po drodze.

Pół dnia zajęło mu odszukanie właściwego budynku. Kiedy go jednak zobaczył, wiedział, że to ten: duży gmach zbudowany na planie kwadratu, z wysokimi oknami, gdzie szyby zastąpiono deskami, a nawet foliowymi torbami i płachtami brudnego płótna. Dawno temu musiał robić zupełnie inne wrażenie, prawdopodobnie był to urząd albo siedziba bogatej firmy, może banku.

Karol podszedł i zadzwonił, nim zdążył zastanowić się, czy naprawdę tego chce. W tej chwili niczym ciekawostka historyczna przyszła mu do głowy myśl, że te betonowe grodzie, opadające ciężko jak kraty, zaczęto montować po wybuchach, a nie – jak się wydawało większości współczesnych – przed. Świat, w którym żyło kilkanaście miliardów ludzi, był bezpieczniejszy od tego, w którym ocalałe setki milionów walczyły o przetrwanie.

Drzwi otworzyły się z przeciągłym zgrzytem, jakiego nie wydawał żaden dobrze utrzymany mechanizm. Stał w nich mężczyzna chudszy i na oko starszy od Karola. Kiedy otworzył usta, błysnęły metalowe zęby, których i tak było za mało, by wypełnić liczne braki.

– Czego? – spytał.

– Słyszałem, że znaleźliście coś ciekawego – powiedział ostrożnie Karol.

– Od kogo? – Facet łypnął podejrzliwie.

– Mam długą drogę za sobą, wolałbym wiedzieć, czy nie przyjechałem na darmo.

– Wejdz – polecił szczerbaty niechętnie.

– Nie mogę zostawić konia...

– To weź go ze sobą.

Karol pociągnął zwierzę za uzdę i wszedł do ogromnego hallu, który otwierał się zaraz za drzwiami. Ściany pociemniały, a zdobiący je malunek prawie się zatarł, ale nadal było to najpiękniejsze pomieszczenie, jakie kiedykolwiek widział. Przez chwilę przyglądał się urzeczony, jakby zapomniał, po co tu przyszedł.

– Coś jeszcze zostało? – spytał. – Minęło sporo czasu.

– Taaa – przyznał gospodarz. – Ale poszukiwaczy przeszłości nie ma zbyt wielu...

W tym momencie Karol poczuł silne uderzenie w tył głowy i zapadł w ciemność. Ledwie usłyszał, jak facet z metalowymi zębami dodał:

– ...a nam płacą od każdej sztuki.

Później pamiętał tylko bolesne przebudzenie w drewnianej skrzyni. Miał związane ręce i zasłonięte oczy, a jego mała cęła podskakiwała na wybojach. Szamotał się, zasypiał i sikał pod siebie. Przez wiele godzin nikt do niego nie zaglądał.

Potem przysłała kolejna ciemność, tym razem wywołana ostrym chemicznym zapachem, na swój sposób błoga. Obudził się czysty, umyty i przebrany w biały strój, z opatrzonymi ranami. Kiedy już dopuścił do siebie cień nadziei, przyszedli po niego żołnierze. Karol nigdy nie widział ich na własne oczy, ale nie miał wątpliwości, że tak wyglądają rządowi.

Poprowadzili go długim korytarzem, a potem zjechali z nim windą. Wszystko było tak nienaturalnie rozświetlone i niezniszczone, jakby Rządy miały władzę nad powszechnym rozkładem.

Spodziewał się tortur, ale zamiast tego wprowadzili go do niewielkiej sali, w której znajdowało się trzech mężczyzn i kobieta w zielonej sukni. Karol nie zorientował się, z kim ma do czynienia, dopóki nie złapała go mocno za nadgarstki – wtedy całe życie przeleciało mu przed oczami. Im obojgu.

Gdy ocknął się jak z narkotycznego snu, nadal siedział w tej samej sali. Kobieta puściła jego ręce i ukryła twarz w dłoniach. Karol zdał sobie sprawę z tego, że on również płacze. Nie musieli mu zadawać żadnego pytania, wiedzieli wszystko.

\*

– Wyprowadźcie go – rozkazał Anton.

Pokazał na migi pozostałym osobom, że również mają wyjść. Rozmawianie z histeryzującą szamanką nie było obowiązkiem przyjemnym, ale niewątpliwie należącym do niego. Delikatnie położył dłoń na jej ramieniu, starając się nie musnąć odsłoniętej skóry.

– Dlaczego płaczesz, Rebeko? – spytał łagodnie.

– Tyle nas omija – załkała. – Miłość, nienawiść, przyjaźń, dzieci. Czy pan wie, jak ten człowiek kocha swoje dzieci?

– Nie potrafię sobie tego nawet wyobrazić – powiedział ostrożnie.

– A ja potrafię! – krzyknęła niespodziewanie. – I chciałabym to poczuć, choć raz przeżyć coś naprawdę!

– Chyba nie rozumiem...

– Dziecko – oświadczyła zniecierpliwiona. – Wiem, że możecie sprawić, żebym zaszła w ciążę. Tylko ci na zewnątrz nie potrafią tego zrobić inaczej niż naturalnie, ale tutaj są lekarze, którzy umieją.

Wyrzuciła z siebie wszystkie słowa praktycznie na jednym oddechu i teraz łapała nerwowo powietrze, jakby się dusiła. Anton musiał przyznać, że jego też zatkało. Miał oczywiście świadomość, że szamani, wydostając wiedzę z innych ludzi, wchodzi również w jej posiadanie. Na szczęście takich skanerów jak Rebeka było tylko kilku, jeśli wierzyć w rzetelność raportów otrzymywanych od pozostałych Rządów. Większość szamanów potrafiła co najwyżej uzyskać odpowiedź na określone pytanie.

– Postaram się coś zrobić w tej kwestii – wyjąkał, niezbyt jeszcze pewien, co ma na myśli.

– Obiecujecie pan? – Spojrzała na niego z nadzieją.

– Masz moje słowo – przytaknął, bo nic go to przecież nie kosztowało.

– Ale najpierw potrzebujemy dokładnej lokalizacji wspólnoty, z której pochodzi tamten mężczyzna.

– Nie skrzywdzilibyście dzieci, prawda? – spytała podejrzliwie. – On się bardzo przestraszył.

– Oczywiście, że nie – odparł zgodnie z prawdą.

Rebeka odetchnęła głęboko. Wyjęła z rękawa sukni aksamitną chusteczkę i delikatnie osuszyła oczy. Potem poprawiła włosy, sięgnęła po przygotowany dla niej ołówek i zaczęła rysować mapę.

– Opowiedz mi o tej wspólnocie – poprosił Anton.

Mówiła więc, rysując jednocześnie. Uspokajała się stopniowo, a na jej twarzy pojawił się łagodny uśmiech, jak zawsze, kiedy mogła się z kimś podzielić swoją opowieścią.

\*

Sala, w której obradowała rada, była okrągła, a jej środek wyznaczał podwieszony sufit o tym samym kształcie. Pod nim stawali petenci lub oskarżeni. Dookoła ciągnął się niski mur pulpitu, za którymi skrywały

się wygodne fotele. Nad blatami zwisały małe mikrofony jak kwiaty na cienkich łądkach. Nikt z nich jednak nie korzystał.

Rada wybierana przez wysoko postawionych członków Rządu Rodanu była najwyższym organem decyzyjnym na swoim obszarze. Na innych terytoriach funkcjonowały ośrodki dowodzenia sterowane przez jednego człowieka i takie, gdzie wszyscy pracownicy – dopuszczeni do odpowiedniego poziomu wiedzy – podejmowali decyzję w demokratycznym głosowaniu. Rodan w wielu kwestiach lubił iść drogą środka.

Przewodniczący rady jako jedyny na sali zachował kamienną twarz. Generał wstał i wbrew tradycji, zgodnie z którą członkowie rady siedzą, bo i tak górują nad petentem, zrównał się twarzą z Antonem.

– Czy dobrze zrozumiałem, że pan wnioskuje o likwidację osady? – spytał tak wolno, że sylabizował słowa.

– To moja rekomendacja, przedstawiłem wszystko w raporcie – odparł grzecznie Anton.

Generał usiadł i starał się uspokoić. Zdawał sobie sprawę z tego, że choleryczny charakter nie daje mu przewagi w negocjacjach.

– W całej historii naszego Rządu podjęto podobną decyzję tylko trzy razy i miałem nadzieję, że nic takiego nie wydarzy się za mojej kadencji – oświadczył.

– Oni wiedzą bardzo dużo i gdyby zrobili z tej wiedzy użytek, mielibyśmy poważne problemy – stwierdził Anton.

– Jak pan sobie to wyobraża? – spytał pomarszczony jak suszony owoc minister, prawa ręka przewodniczącego rady. – Nasi żołnierze wyrzynający kobiety i dzieci? To już nie te czasy, kiedy nie musimy obawiać się buntu własnych ludzi.

– Dlatego zaproponowałem, żeby wykorzystać Sępy – wytłumaczył Anton. – Nikt nie powiązałby tego z nami, a wspólnota jest dostatecznie bogata, by atak im się opłacił. Nie widzę też potrzeby zabijania najmłodszych dzieci, które nie rozpoczęły jeszcze edukacji. Tę uwagę również zawarłem w raporcie.

Kartki zaszumiały, kiedy kilka osób jednocześnie zaczęło szukać właściwej strony. Przewodniczący rady przyglądał mu się badawczo.

– Mówił pan, że chce poruszyć dwie kwestie – powiedział. – Może chwilowo przejdźmy do tej drugiej.

– Obawiam się, że będzie bardziej kontrowersyjna...

Generał uderzył dłonią w stół, ale powstrzymał się przed komentarzem.

– Po zeskanowaniu ostatniego obiektu Rebeka poprosiła o możliwość posiadania dziecka – kontynuował niezrażony Anton. – Uważam, że jesteśmy w stanie spełnić jej prośbę.

Tym razem drgnęli wszyscy, tylko przedstawiciel środowiska naukowego spojrział na niego pobłażliwie.

– Był pan lekarzem, zanim zaczął się pan piąć po szczeblach kariery – przypomniał, jakby ktoś o tym nie pamiętał. – Powinien pan wiedzieć, że podobne eksperymenty zarzucono wiele lat temu, bo w rozumieniu genetycznym szamani są już innym gatunkiem niż ludzie i ich komórki nie łączą się z naszymi. Przynajmniej nie przy zastosowaniu znanych nam metod.

– Nazywanie ich innym gatunkiem jest oczywiście uproszczeniem – uzupełnił złośliwie Anton. – Ale nie jesteśmy tu po to, by dyskutować o naturze szamanów. Badania, o których pan mówi, przeprowadzono dawno temu, w czasach, kiedy hodowanie żeńskich osobników uważano za zbyt niebezpieczne. Nie istniała wtedy możliwość stworzenia zygoty złożonej z komórek dwojga szamanów.



- Nie wiemy, czy to się uda – zaprotestował naukowiec.
- Jeśli embrion obumrze, dowiemy się bardzo szybko.
- Cięża może psychicznie zdestabilizować Rebekeę.
- Podobnie jak kolejny skan – powiedział Anton. – Każda szamanka jest uśpioną miną, a mimo to ryzykujemy wybuch. Dlaczego? Bo są krokiem naprzód. Dziecko szamanów to potencjalny przełom i jeśli go nie dokonamy, znajdą się inni, którzy wpadną na ten sam pomysł...
- Dziękujemy, panie Antonie – przerwał mu przewodniczący. – Przekażemy obie sprawy do laboratorium analitycznego i poinformujemy pana o wyniku. Prywatnie dodam, że jest pan geniuszem albo szaleńcem. Proszę tylko pamiętać, że nie potrzebujemy ludzi, którzy połączą obie te cechy.

## ROZDZIAŁ 6

Arena, jak to określił Samuel, przypominała zbitą w pośpiechu zagrodę dla świń. Jeden z jeńców, zmuszonych do pracy na rzecz plemienia, przerzucał na taczkę końskie łajno, którym teren był usiany.

Podeszliśmy do drewnianej bariery, brnąc w szarobrazowym śniegu. Do naszej czwórki dołączył Li. Jego obecność napełniała mnie otuchą, bo wierzyłam, że zna wynik walki i potrafi ocenić, czy coś mu grozi. Trudno jednak było znaleźć jakiegokolwiek potwierdzenie tej nadziei w zaciętym wyrazie twarzy nastolatka.

Po drugiej stronie zagrody zjawił się wódz Sępów. Ta sama kobieta, która wcześniej klęczała przy tronie, zsunęła z jego muskularnych ramion ciężkie futro. Mężczyzna został w samych spodniach i butach. Miał ciało poznaczone bliznami, nienaturalnie rozrośnięte mięśnie i warstwę tłuszczu, czyniącą go jeszcze większym.

Samuel uśmiechnął się drwiąco i teatralnym gestem odrzucił pelerynę. Nosił cienki czarny golf i długie rękawiczki, a jakiś głos z tyłu głowy mówił mi, że ten strój nie może być przypadkowy.

W zestawieniu z przeciwnikiem szaman ze swoją chłopięcą posturą wyglądał na nastolatka.

Kilku wojowników, którzy na czas walki ochoczo wychynęli z kryjówek, zarechotało głośno. Umilkli jednak, bo ich wódz wcale się nie śmiał.

Zaczął prószyć śnieg. Wielkie białe płatki opadały zbyt ciężko, by nie wydawać żadnego dźwięku, a jednak lądowały bezgłośnie.

Patrzyłam, jak Samuel zsuwa jedną z rękawiczek i wymienia uściski dłoni, najpierw ze starszym bratem, a potem z Li. Zastanawiałam się, co przekazali mu telepatycznie, lecz wyraz twarzy młodego szamana pozostał nieprzenikniony. Chociaż to nie do końca prawda – Samuel wyglądał jak ktoś, kto z trudem próbuje zachować powagę podczas oficjalnej uroczystości.

Kiedy podszedł do mnie, tłumiony uśmiech przebił się na powierzchnię.

– Dostanę buziaka na szczęście? – spytał.

W pierwszej chwili nie zrozumiałam, co on właściwie powiedział. Taczka z łajnem, uzbrojone Sępy, duże płatki śniegu i jego pytanie zdawały się docierać do mnie z kilku różnych światów.

– No już, nie patrz tak! – krzyknął wesoło. – Może być w policzek.

– Oni walczą wręcz tylko wewnątrz plemienia. Dążą wtedy do nokautu, aby zminimalizować straty – wyszeptałam szybko, prawie na jednym oddechu. – Celuj w krtani. Nie będziesz musiał się przebijać przez mięśnie.

Stałam na palcach i pocałowałam go w policzek, jakby to miało dopełnić rytuału, który zagwarantuje mu zwycięstwo.

Samuel uśmiechnął się szeroko, ale w jego oczach dostrzegłam strach. Po raz pierwszy dysonans między pozą, którą przybrał, a tym, co myślał naprawdę, był tak widoczny. Wcale nie chciałam tego wiedzieć. Wolałabym wierzyć, że to tylko zabawa, gra, która mnie przeraziła, bo jeszcze jej nie zrozumiałam.

Młodszy z braci wyszedł na arenę. Tymoteusz zdawał się zachowywać spokój, Li zacisnął dłoń na drewnianym słupku ogrodzenia, Marie wyglądała, jakby miała wybuchnąć płaczem. Ja wybrałam maskę strachu, którą najłatwiej było mi utrzymać.

Jeden z otaczających to miejsce wojowników uderzył klingą miecza w naramiennik i inni poszli w jego ślady. Nierytmiczny łomot dołożył dodatkowy dysonans do całej sytuacji. Śnieg nadal padał bezgłośnie.

Wódz zbliżył się ostrożnie do przeciwnika. Krążył wokół Samuela, a ten tylko obracał się w jego kierunku. Szaman bez trudu uchylił się przed pierwszym ciosem. Był szybki, ale to za mało, by wygrać walkę na śmierć i życie.

Po chwili Sęp albo stracił cierpliwość, albo uznał, że wie już tyle, ile powinien. Z głośnym rykiem rzucił się na mniejszego od siebie mężczyznę, wyprowadzając jeden za drugim serię ciosów. Trafił Samuela w bok głowy z taką siłą, że szaman od razu upadł twarzą w śnieg.

Otoczył nas ryk triumfu.

Wódz nie pozwalał sobie jednak na przesadną pewność siebie. Podbiegł do leżącego i kopnął go z całej siły. Gdyby nie narastająca wrzawa, usłyszelibyśmy dźwięk pękających żeber. Nim jednak zdążył odsunąć nogę, Samuel przeturlał się, usiadł i uderzył przeciwnika w krocze. Zanim

tamten zorientował się w nagłej zmianie sytuacji, otrzymał drugi cios w to samo miejsce.

Marie podskoczyła i zauważyłam kątem oka, że jej twarz rozświetliła nadzieja. Naprawdę chciałabym tak słabo znać się na walce, by mieć złudzenia. Szaman znajdował się zbyt blisko Sępa.

Samuel spróbował się cofnąć, ale siedząc na śniegu miał tragiczne pole manewru. Przeciwnik bardzo szybko znalazł się nad nim. Młodszy z braci zasłonił się odruchowo, jednak trudno to było nazwać gardą. Wódz pochwycił jego rękę i tym razem usłyszeliśmy odgłos łamanej kości, a nawet gdyby coś go zagłuszyło, to rosnąca plama krwi i nienaturalny kąt wygięcia kończyny nie pozostawiały wątpliwości.

Spojrzałam przerażona na Tymoteusza. Stał niewzruszony z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę, a jego piegi odznaczały się jeszcze wyraźniej na poblądłej twarzy. Chciałam wierzyć, że to tylko z zimna.

Samuel opadł na śnieg jak szmaciana lalka. Wydawało się, że płacze z bólu. Sęp pochylił się nad nim, uniósł pięść do ciosu, by dopełnić dzieła. W tym momencie lewa dłoń szamana wystrzeliła w górę i nim przeciwnik zdążył się zorientować, wężłe palce zacisnęły się na jego gardle.

Teoretycznie nie potrzeba dużo siły, by zmiażdżyć krtań, ale wykrwawiający się szaman nie mógł mieć jej nawet tyle. Dlatego nie wierzyłam własnym oczom, gdy wódz upadł, przygniatając go swoim ciężarem. Kilku mniej bystrych wojowników wzniosło okrzyki, myśląc, że to był chwyt zapaśniczy. Sęp zaczął jednak orać śnieg rozczapierzonymi palcami i nie ulegało wątpliwości, że właśnie się dusi.

Zapadła cisza, w której dało się słyszeć jego rżenie. Nikt się nie poruszył, choć spektakl zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Jeszcze kilka uderzeń serca po tym, jak wielki mężczyzna znieruchomiał,

staliśmy, patrząc po sobie zaskoczeni. Dopiero kiedy Samuel zdrową ręką spróbował zrzucić z siebie ciężar, Tymoteusz i Li podbiegli do niego.

Odciągnęli ciało wodza Sępów i unieśli syczącego szamana. Może zażył jakiś specyfik przed walką? To by tłumaczyło nienaturalną odporność na ból. Nie, cholera! Widziałam, jak mocno oberwał i jak upadał. Powinien stracić przytomność. Czy to też potrafili oszukać ziołami?

Samuel tymczasem wbrew wszelkiej logice stanął o własnych siłach. Uniósł też lewą dłoń w tryumfalnym geście. Prawa ręka zwisała bezwładnie, a krew przesączała się przez czarny materiał, znacząc śnieg.

– Wpuście moich ludzi – wyszeptał ledwie słyszalnym głosem. – I szykujcie ucztę, dzisiaj się bawimy.

Po tych słowach opadł bezwładnie w ramiona starszego brata. Marie podbiegła ze łzami w oczach do nieprzytomnego szamana i nie potrafiłam powiedzieć, czy były to łzy radości, czy żalu.

– A, biegnij do Pata po moją apteczkę – rozkazała.

Odwróciłam się posłusznie i pognałam w stronę bramy, odprowadzana złowrogim milczeniem. Zgodnie ze zwyczajem Sępów Samuel był teraz ich przywódcą. Wielowiekowa tradycja dotyczyła jednak członków plemion, a nie miastowych i nie wątpiłam, że prędzej czy później otaczający nas wojownicy zrozumieją, że zostali oszukani.

Tymczasem jednak otworzono ostrokół, a po drugiej stronie ogrodzenia powitała mnie radosna wrzawa, która ucichła, gdy tylko się zbliżyłam.

– Marie prosi o apteczkę – wydukałam, czując skoncentrowany na sobie wzrok tak wielu osób.

– Bardzo z nim źle? – spytał Pat, jednocześnie szukając na wozie właściwego pakunku.

– Jak na walkę z człowiekiem wielkości niedźwiedzia ma się świetnie – odpowiedziałam tak, jak sądziłam, że zrobiłby to Tymoteusz.

Podziałało. Kilka osób zaśmiało się jak z nieśmiesznego, ale jednak żartu, kilka odetchnęło z ulgą. Z trudem podniosłam ciężką torbę, którą podał mi Pat, i pobiegłam z powrotem. Słyszałam, jak kawalkada wozów za moimi plecami gramoli się na teren obozu.

Gdy podeszłam do naszego namiotu, niespodziewanie zatrzymał mnie Li.

– Połóż przy wejściu – polecił swoim głębokim głosem. – Teraz nie wolno im przeszkadzać.

Chciałam zaprotestować. Przecież kukiełka była ostatnią osobą, której ktoś miałby nie dopuścić do szamana przy pracy. Nie odważyłam się jednak odezwać. Obrazy składały się w mojej głowie w całość. Zaczęli go uzdrawiać, gdy tylko skończyła się walka, nie czekając nawet, aż wrócę z apteczką. Czy istniała taka mieszanka ziół, która utrzymałaby człowieka na nogach pomimo bardzo poważnych obrażeń? Tylko dlaczego Samuel? Czemu nie Tymoteusz?

– Znałeś wynik? – odważyłam się spytać zamiast tego.

– To nie działa tak prosto – odparł. – Mogę przewidzieć tylko konsekwencje zdarzeń, które już się dokonały. Czasami samo ujawnienie przyszłości zmienia ją, bo to dodatkowy element w układzie przyczyn i skutków.

Skinęłam głową. Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się odpowiedzi ani wytłumaczenia, które nastąpiło zamiast niej.

– Od dawna wiedziałem, że przeżyje – dodał nagle Li. – Byłem też w stanie pokazać mu ciosy, jakie wyprowadzi wódz Sępów, ale ostateczny przebieg walki zmieniłaś ty. Miało pójść znacznie gorzej.

– Znacznie gorzej? – powtórzyłam.

– Idę po swoją broń. Tymoteusz będzie cię za chwilę potrzebował.

Patrzyłam, jak czarna postać oddalającego się chłopaka odcina się na śniegu. Obóz Sępów opustoszał po walce. Widziałam tylko kilku jeńców wojennych zaangażowanych w przygotowanie uczty, ale wojownicy niemal zniknęli. Nieliczni, których udało mi się dostrzec, trzymali się na uboczu.

– A, chodź do mnie – rozkazał głos za moimi plecami.

Chciałam wejść do namiotu, ale Tymoteusz wyszedł mi naprzeciw i zatrzymał mnie w pół drogi.

– Co o tym myślisz? – Wskazał głową obóz.

– Nie ufałabym Sępom – powiedziałam ostrożnie.

– Bardzo słusznie.

Odwrócił się i przytrzymał materiał, abym mogła wejść do namiotu nie garbiąc się. Samuel leżał na futrach w rozświetlonym światłami półmroku, a Marie kończyła gipsować jego prawą rękę. Pomimo bandaża oplatającego ciasno całą klatkę piersiową oddychał równo i spokojnie. Nie widziałam też żadnego siniaka, choć niewątpliwie wcześniej miał je na twarzy.

– Jest moja bohaterka! – zawołał radośnie.

Uśmiechnęłam się z zakłopotaniem tylko po to, by nie tracić ludzkich odruchów.

– Gotowe – stwierdziła sucho Marie. Czyżby w ogóle nie wyczuwała fałszu i chciała przeciąć tę nić porozumienia między nami?

– Świetna robota – pochwalił Tymoteusz.

Słowa zabrzmiały głucho, jakby myślami był już w innym miejscu. Wyciągnął z kolorowego plecaka Samuela butelkę i opiekuńczym gestem spróbował ją wsunąć w dłoń Marie.

– Nie chcę. – Pokręciła energicznie głową.

– To nie alkohol, tylko zioła na pobudzenie. Potrzebuję cię w pełni sił dziś wieczorem.

Jej oczy ciskały błyskawice, ale tym razem przyjęła butelkę i wypła do dna. Później pomyślałam z przerażeniem, że zrobiłabym to samo, bo pozbawione emocji wyjaśnienie Tymoteusza brzmiało tak wiarygodnie. Później, gdy już zobaczyłam, jak Marie próbuje wypowiedzieć jakieś zdanie, ale z jej ust wydobywa się tylko mamrotanie i dziewczyna upada miękko na ziemię. Oddychała.

– Przyrowadź Mikę. Zostanie z nią na czas uczyty – rzucił starszy z braci.

Wiedziałam, że polecenie jest skierowane do mnie, a mimo to nie drgnęłam. Tymoteusz złapał Marie pod ręce i przeciągnął ją w głąb namiotu, po czym z zauważalną troską okrył futrami. Zdziwił się, gdy zauważył, że nie wyszłam.

– Czego nie rozumiałaś?

– Może wymienię, co rozumiałam? Będzie szybciej – odparłam, zakładając ręce na piersi.

Uśmiechnął się naturalnie, w taki sposób, że jego twarz wyglądała chłopięco.

– Marie jest dobrym człowiekiem, naiwnie i bezinteresownie dobrym – powiedział, patrząc mi w oczy. – Nie wierzyłem, że tacy ludzie istnieją, dopóki jej nie poznałem. To dla nich chcemy stworzyć świat, w którym będą mogli żyć normalnie i wychowywać swoje dzieci, ale jeśli to dobro ma przetrwać, oni nie mogą wziąć udziału w naszej walce.

Nadal miałam założone na piersi ręce, szeroko rozstawione nogi i patrzyłam wyzywająco. Żałowałam, że nie potrafię nieświadomie zmienić miny ani pozycji. Dopiero tu i teraz zdałam sobie sprawę, że naprawdę



staniemy naprzeciw rządowej armii, a oni wierzą, że istnieje taka wersja przyszłości, w której zwyciężą.

\*

To nie była pierwsza uczta Sępów, jakiej musiałam być świadkiem. Nigdy jednak nie siedziałam za stołem.

Wbrew temu, czego się spodziewałam, wojownicy stawili się całkiem licznie, skuszeni dobrym jadłem w środku zimy i litrami alkoholu. A może ich nie doceniałam i tak naprawdę chcieli uspić naszą czujność pozorną współpracą? Na dobrą sprawę drugi scenariusz nie wydawał się ani trochę mniej prawdopodobny.

Siedziałam między Samuelem i Tymoteuszem, idealnie pośrodku wielkiej podkowy stołów. Po jednej stronie ubrana na ciemno wspólnota szamanów, po drugiej uzbrojeni wojownicy Sępów, groźni nawet bez pełnego rynsztunku, i ich niewolnice, przekazywane z rąk do rąk jak butelki.

Samuel śmiał się, przepijając raz do jednych, raz do drugich, jakby w ogóle nie zauważał różnicy pomiędzy swoimi ludźmi a pijanymi Sępami, którzy coraz śmielej pozwalali sobie na wulgarne odzywki i budzące odrazę zachowanie względem zniewolonych kobiet. Kilku zerkało ciekawie w moją stronę, bo skoro dziewczyna dobrego wojownika nie była ani ładna, ani biuściasta, to musiała mieć inne, rozpalające wyobraźnię zalety.

Dwóch ludzi szamana przyniosło gitary i zaczęło grać na nich zapamiętale, ku uciechu obu stron podkowy. Jeden z członków plemienia wsadził na stół młodziutką kobietę o jasnych włosach. Rękawy ściągniętej do pasa sukienki kołysały się smętnie, gdy dziewczyna zaczęła tańczyć przy wtórze pijackich wrzasków. Zastanawiałam się, skąd została

porwana. Byłaby naprawdę piękna, gdyby nie usta wygięte w podkówkę i powieki opuchnięte od płaczu.

– A, zatańczysz dla mnie? – spytał Samuel.

Pochyliłam głowę i spłonęłam rumieńcem, bo nie miałam pewności, ile osób się nam przygląda. W rzeczywistości wszystko się we mnie zagotowało i najchętniej skoczyłabym mu do gardła. Jak mógł prosić o coś podobnego właśnie w tej chwili?

– Wiem, nie lubisz tańczyć – powiedział z rozbawieniem. – Ale dzisiaj jestem zwycięzcą i zasłużyłem na nagrodę. Skoro nie chcesz tańczyć dla mnie, to może chociaż ze mną?

Nim zdążyłam się zastanowić, co ma na myśli, Samuel zdjął pelerynę, wskoczył po krzesło na stół i wyciągnął w moją stronę zdrową rękę, żebym weszła tam za nim. Jaki miałam wybór? Głęboko w środku trzęsąc się ze złości, weszłam na ten cholerny blat.

– Czego ty ode mnie chcesz? – syknęłam z przymilnym uśmiechem.

– Zamknij oczy i zapomnij na chwilę o tym wszystkim, jest tylko muzyka – odpowiedział szeptem.

Zamknęłam oczy, lecz oczywiście nie próbowałam realizować jego absurdalnego pomysłu. Skoncentrowałam się jednak, aby wyglądać odpowiednio do sytuacji, bo wiele sępich oczu skupionych było tylko na mnie. Rumieniłam się więc jak na zawołanie, gdy nasze ciała zetknęły się w tańcu, i wybuchałam perlistym śmiechem, kiedy trącony kielich lądował miękko na śniegu albo nadepnięty talerz pękał z trzaskiem.

Szaman prowadził mnie lewą ręką, płynnie lawirując po stole, jakby taniec był mu dużo bliższy niż walka. Pozwalałam się obracać, przyciągać i dotykać zmysłowo. Straciłam nadzieję na to, że przejrzał moją grę i domyślił się, że najchętniej przyprawiłabym go o otwarte złamanie jeszcze jednej kości.

Nagle muzykę i pijackie śmiechy przeciął krzyk. Kobieta, odciągnięta w ciemność raptem kilka metrów od stołu, z trudem zrzuciła z siebie bezwładne ciało kochanka.

– Ja nic nie zrobiłam... – zaczęła łkać, odruchowo osłaniając głowę rękami.

– Głupia! – krzyknął jeden z Sępów. – Upił się tylko i chrapie.

– Nie żyje! – zawodziła kobieta.

Muzyka ucichła, wszyscy znieruchomieli i nim zdążyłam się zorientować, Samuel pociągnął mnie na stronę swoich ludzi.

– Zdrada! – wrzasnął ktoś z plemienia.

Ktoś inny dobył miecza, niektórzy potrafili jeszcze wstać, ale trucizna z zadziwiającą prędkością zbierała żniwo.

Tymoteusz zerwał się z krzesła i odczepił ukrytą pod blatem stołu maczetę. Przez dłuższą chwilę stał i obserwował członków plemienia, gotowy podjąć walkę, gdyby któryś z nich był w stanie zaatakować. Gdy już upewnił się, że nic nam nie grozi, wskoczył na stół.

– Nie możemy być pewni, że to wszyscy! Przeszukajcie chaty, tylko ostrożnie! Jeden ranny do uzdrowienia w tym tygodniu nam wystarczy! – krzyknął.

Potem odwrócił się do mnie i płynnym ruchem odpiął łańcuch zwisający z obroży.

– Mój brat i tak nie umie się tym posługiwać – powiedział z pełną powagą.

Zeskoczył ze stołu i pobiegł z dzielącym się na mniejsze grupy oddziałem w ciemność. Samuel zostawił mnie na chwilę i podszedł do stojącej cały czas naprzeciw nas dziewczyny o jasnych włosach. Przełknęła nerwowo ślinę, ale zaraz przypomniała sobie niedawną rolę i wyeksponowała nieduże piersi.

– Zrobię wszystko, panie – wyszeptała drżącym głosem.

Samuel roześmiał się.

– Świetnie się składa, bo brakuje nam osoby do zmywania – powiedział wesoło. – Lepiej się schowaj na razie. To nie jest przyjemny widok dla kobiety.

Skinęła głową i uciekła posłusznie, zbyt zubożniała, by żywić nadzieję na odmianę losu.

Szaman wrócił do mnie.

– Szkoda, że to już koniec muzyki – rzucił z udawanym żalem, zaraz jednak spoważniał. – Nie patrz tak. Wiem, że nasze pierwsze spotkanie nie wyglądało najlepiej. Zachowałem się jak ostatni cham i do tej pory jest mi wstyd, ale powiedz, czy zrobiłem coś, co pozwoliłoby ci wierzyć, że naprawdę jestem potworem?

Staliśmy na stole, a wokół nas od śniegu odcinały się wyraźnie ciała Sępów, niektóre wciąż wstrząsane drgawkami. Jeden z wojowników wbiegł nagle w krąg światła rzucanego przez pochodnie i upadł, trafiony w plecy trzecim nożem. Nie widziałam nigdzie Li, ale pamiętałam te nieduże rzeźbione trzonki.

– Nie – odparłam, nie zastanawiając się zbyt długo nad odpowiedzią. – Nie zrobiłeś. Gdzie była trucizna?

– W alkoholu. Strategia i dydaktyka w jednym.

– W takim razie po co to wszystko? – odważyłam się spytać. – Pojedynek, przejmowanie władzy, skoro od początku chcieliście ich zabić.

– Nie od początku. – Potrząsnął głową. – Powinnaś już rozumieć, że są powody, dla których staramy się nie planować z wyprzedzeniem. Poza tym podaj mi lepszy sposób na zgładzenie całego plemienia Sępów bez strat po naszej stronie.

Nie odpowiedziałam. Setki myśli, których wolałabym nie słyszeć, przetoczyły się przez moją głowę. Rządowi szamani zwykle mieli bardzo ograniczoną zdolność prekognicji. Kogoś takiego jak Li spotkałam po raz pierwszy – i całe szczęście. Częściej niż z pomocy szamanów Rządy korzystały z analityków, czyli kukiełek jeszcze starszych ode mnie, nierzadko przykutych do krzesel w pokojach, w których komputery nieprzerwanie wyświetlały im dane.

Regeneracja nie była nie wiadomo czym, przynajmniej dopóki ktoś nie odkrył, że odnosi się również do neuronów. Miałyśmy lepszą pamięć i szybsze przyswajanie wiedzy, a z wiekiem i doświadczeniem coraz lepsze zdolności analityczne.

Najgroźniejszy przeciwnik dla Rządów, jakiego potrafiłam sobie wyobrazić, rzeczywiście musiał zachowywać się nielogicznie. W tym Samuel był świetny, nieporównanie lepszy od brata. Tylko że ja jako istota pozbawiona kreatywności nie byłam w stanie ogarnąć takiej sytuacji, w której staniemy u bram naziemnej bazy Rządu Rodanu bez planu działania.

Do rana udało się oczyścić obóz z Sępów. Mieli oczywiście kryjówki, w których zostało w odwodzie paru wojowników, ale oni nigdy nie musieli walczyć z szamanami. A czymkolwiek była zdolność wyczuwania życia, świetnie sprawdzała się w poszukiwaniach.

Kobiety plemienia i jeńców wojennych, którzy nie chwycili za broń, zamknięto w jednej strzeżonej chacie. Zapewniono im opał, wodę i jedzenie, lecz wbrew protestom wybudzonej kilka godzin później Marie, nie wolność.

Ciała pochowano, chociaż wykopanie tak dużej mogiły w zmrożonej ziemi wymagało ogromnego wysiłku od ludzi, którzy i tak już nie przespali nocy. Na czas tego dziwnego pogrzebu przyniesiono również

drewniane nosze, na których spoczywał unieruchomiony Al. Stracił władzę w nogach, ale wyglądał, jakby uznawał to za niewielką cenę.

– Żałuję tylko, że nie mogłem być z wami, gdy umierali – powtórzył kilka razy.

Członkowie wspólnoty pomijali tę deklarację upartym milczeniem. Ku mojemu zdziwieniu nadal nosili w sobie dobro, o którym mówił Tymoteusz. Przynajmniej niektórzy z nich, bo Li z pewnością nie przeżywał śmierci kolejnych ofiar. Także Samuel, choć ostentacyjnie nie brał udziału w polowaniu na Sępy, nie zareagował w żaden sposób na rozlew krwi. O świcie pomagał uprzątnąć stoły, pogwizdując melodię, do której tańczyliśmy. Potem przyszedł do mnie z radosnymi ognikami w oczach.

– Bardzo jesteś zmęczona? – spytał. – Chciałbym jeszcze dzisiaj poćwiczyć.

– Jesteś świeżo po walce – odparłam, patrząc na niego podejrzliwie.

– Przed walką przecież nie proponowałem.

Skinęłam głową, a mój umysł buntował się przeciw nowej zasadzie: „nie szukaj logiki”. Weszliśmy do chaty. Ogień, który trzaskał wesoło w kominie, stanowił jedyne źródło światła.

– Nie sądziłem, że to kiedyś powiem, ale jestem zazdrosny o mojego brata.

Nie zareagowałam. Był to jeden z tych dni, gdy gierki Samuela trafiały na wyjątkowo niepodatny grunt.

– O to, że jego traktujesz poważnie – dodał po chwili.

Zadałam sobie trud obrzucenia go zdziwionym spojrzeniem. Nie żartował, a mnie naprawdę nie chciało się stroić min i wymyślać odpowiedzi.

– Boję się was obu tak samo, jeśli to chciałbyś usłyszeć – rzuciłam sucho.

– Nie to.

Zbliżył się i dotknął mojej twarzy delikatnie, czule, w taki sposób, w jaki robili to mężczyźni, którzy próbowali zaciągnąć kobietę do łóżka.

– Chciałbym wiedzieć, czy jesteś zdolna do miłości, A?

– Już pewnie wiesz, że moje ciało jest w stanie reagować na bodźce seksualne...

– Do prawdziwej miłości – przerwał mi zniecierpliwiony i cofnął się.

Mogłam udać zdziwienie, smutek, złość – całkiem spory wachlarz emocji do wyboru. Pozwoliłam, by moja twarz znieruchomiała, aby przypomnieć mu, z kim ma do czynienia.

Czy byłam zdolna do miłości? Jakoś nie miałam okazji tego sprawdzić. Nikt nie tolerował tego, czym byłam naprawdę, a nie potrzebowałam, żeby ktoś pokochał osobę, którą potrafiłam udawać.

– Zaczniemy już – powiedziałam tylko.

Ściągnęłam płaszcz i sukienkę, usiadłam na podłodze. Po dłuższej chwili Samuel uklęknął za mną i objął mnie jedną ręką. Bandaż na jego piersi mocno ograniczał powierzchnię styku naszych ciał, ale uznałam, że to dobrze. Wyższy poziom zespolenia teraz, gdy szaman sprawiał wrażenie niestabilnego emocjonalnie, nie byłby przyjemnym doświadczeniem.

Wszedł we mnie spokojnie, oddzielił rozsądną ilość mocy, przeniósł ją do swojego organizmu i wyszedł. Żadnego przeciągania czy ryzykownych zachowań, to było do niego niepodobne. *Nie szukaj logiki* – pomyślałam po raz kolejny. *Nie analizuj* – dodałam i starałam się nie myśleć o tym, że na poziomie emocji, których Samuel nie był w stanie kontrolować podczas połączenia, przepełniał go szczery smutek.

\*

Następnego dnia, gdy już większość się wyspała, wspólnota zaczęła organizować sobie życie w obozie Sępów. Ludzie sprawdzali zapasy, wypakowywali rzeczy, a nawet malowali wnętrza drewnianych chat kolorowymi farbami, które Dag przywiózł ze sobą.

Pozostawanie w tym miejscu, na grobie plemienia i pewnie niedaleko bazy Rządu, zakrawało na szczyt absurdu. Powoli zaczynałam rozumieć, że właśnie dlatego to robiliśmy.

Po tygodniu szamani i obrażona Marie przenieśli Ala do swojego namiotu. Li stanął na straży i widziałam ukradkowe spojrzenia, jakie członkowie wspólnoty rzucali w kierunku wejścia. Osobiście nie słyszałam o przypadku uzdrowienia osoby z pękniętym rdzeniem kręgowym, ale nie zdziwiłam się, gdy kilka dni później obolały i pulsujący niewidoczną dla ludzi mocą Al stanął na własnych nogach.

Ten mały cud pozytywnie wpłynął na morale w grupie. Wieczorem po raz pierwszy od bardzo dawna znów były śpiewy przy ognisku i zaklinanie ognia.

Ponieważ pijacka radość stopniowo przeradzała się w męczący harmider, zaryzykowałam próbę wymknięcia się z obozu. O dziwo nikt mnie nie zatrzymał, nawet przy bramie.

Usiadłam na przełęczy niedaleko ostrokołu. Chwilami miałam wrażenie, że mogłabym po prostu pobiec w dół i już nigdy nie wrócić do tego wszystkiego. Wiedziałam jednak, że mnie dogonią. Cieszyłam się więc na razie gwiazdami i złudzeniem wolności wyboru.

– Niesamowite – powiedział Tymoteusz, siadając obok mnie. – Jak ludzie, którzy oglądali to każdej nocy, mogli pozostać nieczułymi bezmózgami?



Nie zdziwiłam się nawet tym, że nie słyszałam, jak podszedł. Po latach samotnego życia bardzo szybko przyzwyczaiałam się do tego, że zawsze ktoś znajduje się w pobliżu.

– Ludzie są dobrzy w niemyśleniu – odparłam.

Uśmiechnął się.

– Widzisz to światełko? – Pokazał ręką jasny punkcik w oddali. – Tam, na dole.

– Miasto?

– Naziemna baza Rządu – oświadczył, z satysfakcją obserwując moją reakcję.

– Jak długo tu zostaniemy? – spytałam, ukrywając strach.

– Nie mam pojęcia. – Wzruszył ramionami. – Na pewno dowiesz się, gdy przyjdzie czas, żeby wyjechać.

– Zamierzasz spontanicznie wyruszyć na wojnę?

Roześmiał się, wyciągnął skręta i zapalił. Ostatni raz widziałam, jak to robił tamtej nocy, po starciu z szamanami.

– Przeceniasz moją spontaniczność – powiedział. – Liczę na Li.

Skinęłam głową. Brzmiało logicznie, na swój sposób. Tymczasem Tymoteusz wsunął dłoń w moje włosy i zaczął przeczesać je palcami, delikatnie muskając opuszkami szyję.

– Nie chcę wchodzić pomiędzy was – stwierdziłam, bo już wcześniej spodziewałam się tej rozmowy.

– Daj spokój, Mika zatrzymała się na etapie wiecznego dzieciństwa. Dla niej mógłbym być równie dobrze starszym bratem albo nauczycielem.

– Wypuścił przez usta kłęby ziołowego dymu.

– Mówiłam o Samuelu.

– Lubię z tobą sypiać, a on wymyślił sobie prawdziwą miłość. Raczej nie wejdiesz pomiędzy nas. Nie namówilibyśmy go na trójkąt. – Znowu

się roześmiał.

– Wiesz? – Przywołałam na twarz zdziwienie.

– Że postanowił się zakochać? Wiem od pierwszej nocy, gdy wniósł cię półprzytomną do sali i okrył kocem. Żebyś ty widziała wtedy jego oczy! Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek był tak przejęty.

Nie zareagowałam, zewnątrz ani wewnątrz. Puściłam to mimo uszu jak pijacką uwagę.

– Czyli co? Rzucicie o mnie monetę? Pobijecie się?

– Nie jesteśmy ludźmi, A. Możesz decydować, kiedy i z którym z nas chcesz być.

Złapał mnie nagle mocno za włosy i odciągnął moją głowę do tyłu. Ciepłe usta zaczęły całować szyję, podczas gdy zimna dłoń wsunęła się pomiędzy uda. Pisnęłam mimowolnie, choć mogłam przewidzieć, że to mu się spodoba.

Rozgrzewał palce w moim wnętrzu, a potem zanurzał je w śniegu. Uczucie było nieprzyjemne i jednocześnie doprowadzało mnie na skraj rozkoszy. *Nie szukaj logiki* – pomyślałam, przymykając oczy.

\*

Plemię Sępów urządzało chaty w taki sposób, że każda z nich była jednocześnie kuchnią, sypialnią, jadalnią i narzędziownią, jak domy budowane w nowych osadach. Wspólnota szamana odtworzyła jednak strukturę, do której przyzwyczała się w mieście. Dlatego spaliśmy na siennikach ułożonych obok siebie w jednej chacie.

Dag namalował w środku górski pejzaż naturalnych rozmiarów, żeby wnętrze wyglądało, jakby brakowało ściany. Nigdy nie uległam temu złudzeniu, ale może to wymagało wyobraźni, której kukielki nie posiadają. Inni zapewniali, że sztuczka się udała. Podejrzywałam jednak, że chcieli być mili.

Tej nocy krzyk wyrwał mnie z tak głębokiego snu, że po przebudzeniu nie potrafiłam powiedzieć, gdzie się znajduję.

– Kartka! – zawołał Al, nie zwracając uwagi na śpiących. – Potrzebuję kartki i czegoś do pisania.

– Pogięło cię, człowieku? – mruknął Pat pod nosem, przekręcając się na drugi bok.

– Muszę to zapisać – gorączkował się Al.

Tymoteusz zapalił świecę i podniósł się z siennika, w pełni ubrany i przytomny, jakby przez całą noc czekał na ten moment.

– Ja muszę... – zaczął znowu Al, lecz szaman uciszył go gestem dłoni, a potem podał mu rękę i pomógł wstać. Przeszli ostrożnie pomiędzy siennikami i wyszli na zewnątrz.

Wsunęłam buty na bose stopy, wciągnęłam długi wełniany golf i opatuliłam się kocem. Poszłam za nimi, choć na zewnątrz było tak potwornie zimno, że mało brakowało, a wróciłabym do ogrzanej sypialni.

Wiał wiatr, który nie pozwalał oddychać. Staralam się wypatrzeć ich w ciemności, ale świeca, którą niósł szaman, prawdopodobnie zgasła. Nie mogli jednak długo zostać na dworze przy tej temperaturze. Kucnęłam i poszukałam rozświetlonego okienka gdzieś nisko pod dachem. Udało się, pobiegłam w tamtym kierunku.

Śnieg skrzypiał pod stopami. Był tak twardy, że w ogóle nie zostawiałam śladów. Weszłam do chaty, w której świeciła lampa odziedziczona po Sępach wraz z zapasem nafty.

Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Tymoteusz rozpalał właśnie w kominie, a owinięty w koc Al trząsał się z zimna. Mimo to siedział na jednej z licznych skrzyń i drżącymi rękoma coś szybko notował.

Pomyślałam, że szaman zaraz mnie wyrzuci, ale pokazał mi tylko na migi, że mam być cicho. Przyłożył dłoń do kilku iskier tłących się

pośród szczapki drewna i ogień na palenisku wybuchł pełnym blaskiem. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że Tymoteusz nadal unika używania swoich zdolności w obecności członków wspólnoty.

Przycupnęłam bliżej komina i nie odzywałam się. Szaman usiadł pod ścianą, opierając się plecami o skrzynię. Śledził pozornie obojętnym wzrokiem nerwowe ruchy Ala, który układał obok siebie kolejne zapisane kartki.

Technik zrzucił z ramion krępujący go koc – w innych okolicznościach wyglądałby zabawnie w samych majtkach z białej bawełny i kolorowych skarpetach do kolan.

Czekaliśmy, choć nie wiedziałam na co ani skąd wzięłam w sobie tyle ciekawości i odwagi, żeby tu przyjść. Nie stało się jednak nic spektakularnego. Al notował, Tymoteusz zapadał w krótkie drzemki albo tylko zamykał oczy. Bardzo trudno było to ocenić, bo prawie się nie poruszał.

Ja nie spałam, ale też bałam się czymś zająć, jakby każdy dźwięk mógł zakłócić skomplikowany rytuał, którego jeszcze nie rozumiałam.

Odetchnęłam z ulgą, gdy na zewnątrz zaczęło szarzeć. Obawiałam się już, że ta noc będzie trwała wiecznie. Takie szare poranki ciągnęły się w obozie bardzo długo, aż słońce wzbilo się na tyle wysoko, by wyłonić się zza wierzchołków gór. Wystarczyły jednak jako punkt odniesienia, jeśli ktoś chciał ocenić, jaka jest mniej więcej pora dnia.

Może kilkadziesiąt minut, a może kilka godzin później podskoczyłam, gdy drzwi otworzyły się z głośnym trzaskiem. Samuel otrzepał buty ze świeżego puchu, nic sobie nie robiąc z pełnej napięcia ciszy. Wszedł do środka z dzbanem parującego napoju.

– Mam kawę, ale nie mówcie nikomu, że zasłużyliście na taki rarytas – powiedział wesoło.

Postawił dzban na jednej ze skrzyń i wyciągnął kubek, wypychający kieszeń spodni.

– Widziałem to – oświadczył nagle Al tym samym gorączkowym głosem co w nocy. – Wszystko widziałem we śnie...

Wciąż półnagi, zaczął przeglądać nerwowo kartki, jakby wystraszył się, że którejś brakuje.

– Przyniesiesz jego rzeczy, A? – spytał grzecznie Samuel.

Gdyby to samo polecenie padło z ust Tymoteusza, byłabym pewna, że właśnie kazał mi wyjść. Młodszy z braci rzeczywiście mógł uznać niekompletny strój Ala za najpilniejszy problem do rozwiązania.

Tak czy inaczej musiałam iść do chaty sypialnej.

Wstałam z trudem, nawet nie sądziłam, że zdrętwiały mi nogi. Kiedy wyszłam na zewnątrz, szary cień i iskrzące się na śniegu promienie słońca dzieliły obóz na dwie równe części.

Wiele osób krzątało się na zewnątrz i uśmiechało się życzliwie, gdy dreptałam pomiędzy chatami, zawinięta w koc ciasno jak w kokon. W sypialni dostrzegłam tylko dwóch mężczyzn z nocnej warty. Przeklinali mnie pod nosem, kiedy kończyłam się ubierać i zbierałam rzeczy Ala. Wróciłam do drugiej chaty, którą wypełniał teraz zapach kawy i wesołe trzaskanie ognia na kominie. Jedna ze skrzyń była otwarta, a Al siedział na podłodze i oglądał broń dawnych ludzi, jakby nigdy wcześniej jej nie widział.

– ...prze-pro-gra-mo-wać – sylabizował. – Tak to nazywał człowiek w moim śnie.

Samuel wziął ode mnie zwinięte ubrania i położył je na podłodze. Spróbował mi podać kubek z kawą, ale wyszłam. Nie sądziłam, że pójdzie za mną.

– Masz rację, lepiej im nie przeszkadzać, kiedy się bawią – powiedział i mrugnął. W ciągu ostatnich dni wrócił do dawnej formy i humoru.

– Co robi Al?! – spytałam ostro.

– Przeprogramowuje czy jakoś tak – odparł, łamiąc sobie język. – Zrozumiałem tyle, że będziemy mogli strzelać ze starej broni.

– Której przypadkiem macie całą skrzynię?

Szaman przekrzywił lekko głowę i przyjrzał mi się uważnie. Pomyślałam, że chyba niewłaściwie użyłam ironii – przekazywanie informacji nie wprost często zdarzało się ludziom, ale dla mnie było trudniejsze do naśladowania niż zwyczajna komunikacja.

– Pierwszy raz widzę, jak się złościś – oświadczył nagle. – Całą twarzą, a nie tylko oczami.

W tym momencie ludzka kobieta krzyknęłaby, tupnęła albo go spoliczkowała. Zgadywałam oczywiście, bo młody szaman stwarzał sytuacje, w których nikt chyba nie miał gotowego modelu reakcji.

– Czyli wyjeżdżając z miasta wiedzieliście, że Al wyśni, jak używać broni?

– Tak – powiedział, poważniejąc.

– Zakładam, że nie wyśnił tego przypadkiem, tylko nagle zyskał dar retrokognicji, jeden z najrzadszych, jakie w ogóle występują u szamanów?

– kontynuowałam.

– Tak – skinął głową Samuel.

– A odkrył go w momencie uzdrowienia? – Podeszłam do niego i wspięłam się na palce. – Jak wszyscy tutaj – wyszeptałam mu prosto do ucha.

\*

Dopiero późnym wieczorem udało mi się znaleźć przy bramie Li. Zawsze brał nocne warty i rozumiałam już, że w ten sposób mógł unikać

innych przez całą dobę. Na mój widok również się nie ucieszył, tylko ostentacyjnie splunął pod nogi.

– Mogę o coś spytać? – zagadnęłam głupio, po ludzku.

– Skoro musisz.

– Co wiesz o mojej przyszłości? – rzuciłam lekkim tonem niezobowiązującej konwersacji.

– Wciąż tego nie rozumiesz – odparł, mierząc mnie wzrokiem. – Prekognicja to nie wróżenie z kart. Wszystko się zmienia wraz z każdą decyzją i każdym przypadkowym zdarzeniem.

– A jeśli nie podejmę żadnej decyzji?

– To również jest rodzaj wyboru, zwykle najgorszy z możliwych.

Odwrócił się bez słowa i ruszył wzdłuż ostrokołu.

Zrobiłam kilka kroków za nim, gorączkowo zastanawiając się, jak poprowadzić dalej tę rozmowę.

– Nie lubisz mnie – stwierdziłam w końcu.

Spojrzał przez ramię, a w otaczającym nas półmroku jego oczy wydawały się całkowicie czarne.

– To nie jest kwestia sympatii – rzucił sucho. – Po prostu wiem, że kiedyś mnie zabijesz.

## TYMOTEU SZ – 25 LAT WCZEŚNIEJ

– Nie wykonałeś rozkazu – powiedział spokojnie Anton.

Żałował, że chłopiec i tak odczyta jego emocje lepiej, niż on sam umiałby je opisać.

– Nie wszystkie rozkazy powinny być wykonane – odparł Tymoteusz.

Siedział przy stole naprzeciw mężczyzny i majtał w powietrzu stopami.

– Znam inną definicję rozkazu – stwierdził ostrożnie Anton.

– Ale są takie polecenia, których pan by nie posłuchał? – Piegowata dziecięca buzia i zimne oczy przyprawiały nieprzyzwyczajonych o ciarki na plecach.

Mężczyzna wolał uznać, że to pytanie retoryczne. Brzmiało zbyt poważnie i złowieszczo, nawet jak na Tymoteusza.

– Powiesz mi, dlaczego uznałeś, że nie powinieneś zabijać tego człowieka?

– On tylko nie zgadzał się z polityką Rządu. Poza tym niczego złego nie zrobił – wyjaśnił chłopiec.

– Zwykle takich ludzi karzemy. Uważasz, że się mylimy?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo nie wiecie, czy polityka Rządu jest dobra. Co jeśli to wasz przeciwnik ma rację?

Anton zrobił głęboki wdech. Szamani nie byli inteligentniejsi od ludzi. Wprost przeciwnie, ich IQ zwykle oscylowało w okolicy przyjętego dla normalnego człowieka minimum i nikt nie pamiętał, czy to była konsekwencja posiadania innych zdolności, czy celowy zabieg pierwszych genetyków – tych, którzy potrafili jeszcze dokonywać złożonych zmian w genomie.

Sporadycznie zdarzały się osobniki niedorozwinięte i niezdolne do wypełniania prostych rozkazów. Większość, tak jak Rebeka, pozostawała wiecznymi dziećmi, myślącymi samodzielnie, ale stosunkowo łatwymi do kontrolowania. Mechanizm hiperkompensacji nieposłuszcza ich planom natura zastosowała po raz pierwszy w przypadku Tymoteusza i nie byli pewni, jak groźne mogą być tego konsekwencje. Na wszelki wypadek Anton zaniżał w raportach wyniki testów na inteligencję, bo chłopiec już zdążył prześcignąć sporą część kadry naukowej. Nikt jeszcze nie opisał



szamana geniusza, ale istniało wśród nich całkiem sporo udokumentowanych przypadków ciężkich chorób psychicznych, a Tymoteusz miał skłonności również w tym kierunku.

– To jak? Dajesz nam pięćdziesiąt procent szans na to, że mamy rację, i pięćdziesiąt, że się mylimy? – Anton starał się nadać głosowi lekko żartobliwe brzmienie.

– Nie wiem – odparł poważnie Tymoteusz. – Ale nie bałby się pan teraz, gdybym się zupełnie mylił.

– To ciekawy wywód logiczny, ale ja boję się czegoś innego. Obawiam się, że niektórzy mogą cię źle zrozumieć, dlatego bezpieczniej jest zostawiać takie myśli dla siebie.

Chłopiec skinął głową.

– To cenna rada – przyznał.

Anton potrzebował więcej czasu na przeanalizowanie sytuacji i dopiero po kilku minutach zrozumiał, że odniósł połowiczne zwycięstwo.

Zegarek na jego ręce zamrugał czerwono-żółtym światłem. Kiedyś te urządzenia pozwalały na przekazywanie wiadomości, a dziś cieszyli się, że jeszcze mrugają. Mężczyzna wstał, uśmiechnął się do dziecka przepraszająco i wyszedł.

Pewnym krokiem poszedł do pokoju rady. Szczęśliwie minęły już czasy, gdy występował tam w roli petenta.

– Panie Ministrze, czekaliśmy tylko na pana – poinformował przyjemny głos rejestratorki spotkania.

Anton obrzucił wzrokiem pełne napięcia twarze członków rady.

– Brakuje przewodniczącego – stwierdził.

– Przewodniczący miał rozległy zawał – oświadczył przedstawiciel gremium naukowego. – Szanse na to, że wróci do zdrowia, są nikłe.

– A szamani? Próbowaliście uzdrawiania?

- Nie są cudotwórcami, jak pan wie – uciął ostro naukowiec.
  - Skoro nic nie możemy zrobić, proponuję wstrzymać obrady na najbliższe kilka dni – powiedział ostrożnie Anton.
  - Prawdę mówiąc – odezwał się cichy i rzadko obecny na zebraniach kierownik działu analitycznego – nie wezwaliśmy pana jako Ministra. Pański projekt zgodnie z raportem ma bardzo rozwinięte umiejętności posługiwania się mocą...
  - Jak na sześciolatka wyniki są imponujące, ale chyba nie rozumiem, do czego pan zmierza.
  - Raport ocenia zdolności bojowe jako przekraczające przeciętną, do tego nienaturalnie wysoki współczynnik empatii, odczytywanie myśli w normie i prekognicja poniżej średniej – ciągnął analityk. – Nic na temat uzdrawiania.
  - To jeszcze dziecko, nie było potrzeby...
  - Umiejętność zabijania zdążył pan już przetestować – prychnął generał.
  - Panowie – uciszył ich naukowiec. – Pytanie brzmi, czy zgadza się pan na wykorzystanie Tymoteusza w tej sytuacji?
  - Nie mogę zagwarantować określonego wyniku – stwierdził Anton po namyśle.
  - Ten argument nie powstrzymał pana przed wprowadzeniem drugiej fazy projektu – rzucił złośliwie przedstawiciel gremium naukowego.
- Nie chodziło więc o przewodniczącego. Teraz, kiedy Anton nie miał już jego poparcia, członkowie rady nerwowo szukali haka, żeby zablokować drugą fazę, a śmierć najważniejszej osoby w Rządzie mogła stać się ich asem w rękawie. Stworzenie Tymoteusza było przekroczeniem granicy. Jeśli Samuel będzie w stanie fizycznie i psychicznie rozwinąć się do formy dorosłej, to cały pas przygraniczny zostanie spalony do gołej ziemi.

\*

Chłopiec wszedł do sali, w której leżał przewodniczący, praktycznie niewidoczny zza aparatury medycznej i czujników.

Anton stał w oddzielnym lustrem weneckim pomieszczeniu, gdzie kilku lekarzy gapiło się w ekrany, jakby czekali na widowisko.

– Nie powinienem zacząć od łżejszych przypadków? – spytał Tymoteusz.

Minister uśmiechnął się pod nosem. Czasami był dumny z przenikliwości chłopca. Mężczyźnie z trudem udało się wcisnąć malutki przycisk z boku mikrofonu. Urządzenie nie działało, jeśli ktoś nie trzymał nieprzerwanie czerwonego guziczka.

– To umiejętność zerojedynkowa. Nie rozwija się wraz z ćwiczeniami – powiedział.

Mały szaman skinął głową, a potem przełknął ślinę. Podeszedł do pacjenta i nieponaglany przez nikogo wsunął rączki pomiędzy czujniki. Oparł dłonie na piersi starszego mężczyzny, zamknął oczy. Przez kilka – odmierzanych zmianami zielonego wykresu – uderzeń serca nie wydarzyło się nic, a potem monitory oszalały.

– Poziom promieniowania rośnie! – krzyknął jeden z lekarzy.

– Normy przekroczone...

– Natężenie mocy...

Syreny alarmowe zagłuszyły głosy ludzi.

– Na duchy przodków! Czy on go chce zabić? – spytał kierownik działu naukowego.

Anton zacisnął dłoń na mikrofonie, ale nie odważył się go włączyć. Wiedział, że zdekoncentrowanie chłopca w takiej chwili jest równie niebezpieczne, jak pozwolenie mu na dalsze używanie mocy.

Zamknął oczy, jakby wierzył, że zaraz obudzi się ze złego snu.

– Patrzcie! – zawołał ktoś za jego plecami.

Odwrócili się wszyscy jednocześnie. Obraz z echokardiografu śnieżył i zanikał. Mimo to w krótkich przeblyskach widzieli, że siła skurczu mięśnia sercowego wzrasta, jakby martwe komórki zregenerowały się w ciągu kilku sekund.

– Akcja serca stabilizuje się, ciśnienie rośnie – relacjonował jeden z lekarzy, przekrzykując oszalałe wycie czujników. – Pacjent został napromieniowany!

– Potwierdzam, silne napromieniowanie, łagodne obrażenia wewnętrzne, brak zagrożenia dla życia...

Tymoteusz otworzył oczy i cofnął się.

– Chyba mam jeden – przekazał głośnik w dyżurce lekarzy.

– Wyciszcie to cholerstwo – syknął Anton i dopiero gdy alarm umilkł, włączył mikrofon. – Co to znaczy, Tymoteuszu?

– Powiedział pan, że uzdrawianie jest zerojedynkowe – wyjaśnił chłopiec. – W takim razie ja mam jeden.

Minister nie uśmiechnął się ani nie odpowiedział. Czuł, że to początek kłopotów.

– Może pan nam wytłumaczyć, co tam się wydarzyło? – spytał kierownik działu naukowego.

– Obawiam się, że nie wiem.

– Pan powinien wiedzieć. Pan to przecież stworzył!

To spojrzano błękitnymi oczami w jego stronę i Anton aż nadto dobrze rozumiał, że chłopiec jest świadomy emocji kotłujących się za szybą.

\*

Minister nie mógł spać tej nocy. Budził się co chwilę ze snów, których nie pamiętał, a potem leżał w ciemności, rozważając strategię obrony, bo co do tego, że jego przeciwnicy zaatakują, nie miał już wątpliwości.

Nad ranem wziął zimny prysznic, by przywrócić trzeźwość myśli. Poszedł do ambulatorium spokojnym krokiem, ale zrobił to od razu, bo i tak nikt by nie uwierzył, że Anton nie przejął się sprawą.

Wszedł do pomieszczenia przylegającego do sali chorego, w którym, o ile to było możliwe, kręciło się jeszcze więcej lekarzy niż poprzedniego dnia.

– Co z nim? – spytał.

– Chwilami odzyskuje przytomność – poinformowała go kobieta z włosami starannie zaczesanymi do góry. – Boli go cała skóra, jak po poparzeniu, ale nie licząc skutków promieniowania jest w stanie sprzed zawału.

Minister nie ucieszył się. W brzuchu czuł zawiązany supeł, a za dużo czasu spędził w towarzystwie szamanów, by nie słuchać takich sygnałów.

– Anton! – zawołał słaby głos z głośnika.

Wszyscy jednocześnie spojrzeli na chorego. Wezwany mężczyzna zawahał się, a potem włączył mikrofon.

– Tak, panie przewodniczący?

– Nie widzę cię, ale wyczuwam twoją obecność – powiedział pacjent. – Co wyście mi zrobili?

Cisza, która zapadła w pomieszczeniu, zdawała się nie mieć końca. Minister uznał, że nie pozostaje mu nic innego, jak wziąć na siebie ciężar odpowiedzi.

– To była eksperymentalna metoda – wyjaśnił spokojnie. – Nie znaleźliśmy innego sposobu, żeby pana uratować.

– Czego jeszcze mam się spodziewać? – spytał przewodniczący, odzyskując dawną rzeczowość.

– Nie wiem – odparł Anton i po raz pierwszy w życiu żałował, że to, co powiedział, nie było kłamstwem.

\*

Rada obradowała w niepełnym składzie, chociaż konieczność wybrania nowego przewodniczącego była już przesądzona. Pacjent wprawdzie fizycznie wrócił do formy, ale miał objawy depresji. Minister widział jego kartę i przekreślony zapis „zdestabilizowany emocjonalnie”. Gremium ustaliło, że tej kategorii nie wolno używać w odniesieniu do ludzi, a po długiej naradzie podjęto decyzję, że przewodniczący nadal będzie traktowany jak człowiek.

Cała ta sytuacja nie przysporzyła Antonowi sympatyków.

– Czy pan wiedział, czym skończy się uzdrowienie przez produkt pierwszej fazy? – Pytanie kierownika działu naukowego brzmiało jak oskarżenie.

– Tak jak powiedziałem na poprzednim posiedzeniu, Tymoteusz nigdy wcześniej nie uzdrawiał. – Anton celowo użył imienia chłopca.

– Miał pan powody, by przypuszczać, że nie powinien tego robić? – dociekał naukowiec.

– Nie, to był czysty przypadek.

– Przez przypadek zmienił pan dorosłego człowieka w szamana?! – krzyknął generał, zrywając się z miejsca. Zaraz jednak usiadł, zganiony wzrokiem przez pozostałych.

– Nie mówimy o pełnej przemianie na poziomie komórkowym, ale o zyskaniu pojedynczego daru – uściślił Anton.

– Czy pan jest w stanie ocenić, ile jeszcze nie wiemy o zdolnościach produktu? – spytał analityk.

– To nie ja podjąłem decyzję o wykorzystaniu chłopca, tylko rada – podkreślił Minister. – Wystarczy, że nie każemy mu więcej uzdrawiać.

– Nie o to mi chodziło. – Analityk powiódł wzrokiem po obecnych. – Pytam, jakie jest procentowe prawdopodobieństwo, że stanie się coś,

czego nie możemy przewidzieć? Zwłaszcza w odniesieniu do drugiej fazy projektu.

Anton spodziewał się ataku i uznał, że ma tylko jedną niepodważalną linię obrony.

– Jeżeli rozwój drugiej fazy projektu będzie budził wątpliwości, zawsze zdążymy go przerwać – oświadczył.

– A jeśli nie? – Naukowiec udał, że przegląda dokumentację medyczną przewodniczącego. – Jeśli zorientujemy się, gdy będzie za późno?

– Proszę, abyśmy doczekali przynajmniej do porodu – powiedział spokojnie Minister. – Będziemy mieli ciało ukształtowanego osobnika do badań.

Na tak postawioną sprawę rada wyraziła zgodę, ale Anton nie miał wątpliwości, że o dalsze ustępstwa będzie trudno. Przegrywał na całej linii, a wiedział, czuł od samego początku, że to właśnie dzieło jego życia. Przełom, który zaważy kiedyś na losach świata. Nie mógł pozwolić, by zablokowała go grupa asekuracyjnych ignorantów. Wystarczy, że obrócili wniwecz osiągnięcia przodków.

Wiedział, że będą go obserwować, więc poszedł na obiad, a potem wypełniał zaległe raporty i przeglądał wydruki dokumentów nadesłanych drogą elektroniczną. Z jednej strony szybciej wypisałby je na komputerze, z drugiej ludzie ufali już tylko papierowi.

Wieczór spędził na siłowni, dopiero następnego dnia w ramach służbowych obowiązków poszedł do Rebeki. Cięża jeszcze nie była widoczna, ale szamanka już nosiła zwiewne suknie i robiła na drutach dziecięce ubranka. Łatwo dała się przekonać, że następne dziecko będzie bardziej zbliżone do jej wyobrażenia niewinnego cherubinka niż zbyt inteligentny Tymoteusz.

– Pan Minister! – krzyknęła radośnie, zaraz jednak posmutniała. – Stało się coś złego?

– Jeszcze nie – powiedział łagodnie. – Ale stanie się, jeśli stąd nie wyjedziecie. Pomogę wam się wydostać, lecz tam, na zewnątrz, zostaniesz sama. Tymoteusz dołączy do ciebie później, bo podróżując z dzieckiem, zwracałabyś na siebie zbyt dużą uwagę. Dopóki nie będziesz bezpieczna, powinnaś też ukrywać ciążę, żeby nikt nie pomyślał, że jesteś płodna. Dasz radę, Rebeko? Zrobisz to dla Samuela?

Pokiwała z powagą głową.

– Rząd uwierzy, że zginęliście, i nie będzie was szukał. Dopilnuję tego – zapewnił.

Wątpił, czy szamanka rozumiała, jak wielkie groziło im niebezpieczeństwo. Anton znał jednak kupca, który już kilka razy zdążył zasłużyć na karę śmierci. Pat miał u niego poważny dług wdzięczności i duże doświadczenie w unikaniu rządowych. Na pewno potrafił zorganizować transport dla Rebeki i zapewnić Tymoteuszowi schronienie. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że gdy chłopiec podrośnie, będzie dostatecznie inteligentny lub silny, by ochronić brata.

## ROZDZIAŁ 7

Sprzątałam chatę zaaranżowaną na kuchnię i jadalnię, gdy usłyszałam krzyki za oknem.

– Padnij!

– W lewo...

Nie dałam się nabrać ani nawet zaciekawić. Treningi z bronią trwały od kilku tygodni i spokojnie mogłam sobie wyobrazić członków wspólnoty biegnących w pochylonej pozycji pomiędzy chatami.



Skończyłam pracę i dopiero wtedy wyszłam na zewnątrz.

– Trafiony! – krzyknął triumfalnie Dag.

Pat westchnął ciężko, położył się na ziemi w nienaturalnej pozie i wywalił język, aby rozbawić towarzystwo odgrywaniem martwego. Towarzyszył temu krótki wybuch śmiechu, który raptownie umilkł, gdy kolejne śnieżki poszybowały w powietrzu.

Samuel wyskoczył zza usypanego ze śniegu okopu i przejechał na plecach za ścianę najbliższej chaty, nieprzerwanie ciskając ułożone na brzuchu kulki za linię przeciwnika. Dag okazał się jednak równie szybki i rzucona śnieżka rozprysła się na udzie szamana.

– Ha! Straciliście dowódcę! – wrzasnął, chowając się za okopem.

– To ma być rana? – odkrzyknął Samuel zza ściany. – Z przestrzeloną nogą mogę walczyć do jutra.

– Zasady są takie same dla wszystkich – skomentował Tymoteusz, kryjący się za wozem po stronie drużyny Daga.

Jego się tutaj nie spodziewałam.

– A czy ktoś wcześniej zgłosił, że może kontynuować walkę ranny? – spytał młodszy z braci.

Wychylił się zza chaty i w tym momencie dostał od Tymoteusza śnieżką w bok głowy. Śmiech rozległ się po obu stronach frontu.

Wtedy pomiędzy walczące grupy wbiegła Marie i nikt nie miał wątpliwości, że zabawa właśnie się skończyła. Chociaż Tymoteusz był najdalej, pierwszy znalazł się obok niej. Wszeptała coś, a ja po raz pierwszy zobaczyłam, jak wygląda jego twarz, kiedy się boi.

– Sam, A! – krzyknął. – Reszta niech się czymś zajmie.

Spodziewałam się protestu lub pytań ze strony wspólnoty.

– Leć – syknął Pat, zdziwiony tym, że stoję w miejscu.

Pobiegłam więc z nimi do jednej z chat, kryjących się w śniegu tuż pod ostrokołem. Wpadliśmy do środka. Li leżał na podłodze, a jego drobnym ciałem wstrząsały konwulsyjne drgawki, jak przy padaczce. Marie włożyła mu kawałek drewna między zęby, nim pobiegła do nas.

– Co wziął? – Tymoteusz upadł na kolana obok chłopaka.

– Nie wiem, eksperymentował ostatnio.

– Od kiedy eksperymentujemy z ziołami?!

Marie cofnęła się i zaczęła płakać.

– To zaszło za daleko, Tom. Za daleko...

– Sam, zabierz ją stąd, bo nie mogę się skoncentrować – polecił starszy z braci.

Przesunął dłońmi nad ciałem Li, stłumił przekleństwo.

– A, zdejmij płaszcz i sweter – powiedział, rozbierając się. – Wciągniesz jego umysł do swojego wnętrza.

Otworzyłam szeroko oczy. To szamani wchodzili w kukiełki, transfer nigdy nie był inicjowany z naszej strony. Potrafiłam wymusić kontakt mentalny tylko dlatego, że oni się tego nie spodziewali. Wciągnęłam powietrze przez otwarte usta.

– Odczytałeś moje wspomnienia – stwierdziłam pozbawionym intonacji tonem. – Czyli seks też był elementem strategii.

– On umrze, A, jeśli będziemy to teraz omawiać – odparł.

Wyciągnął nóż z pochwy na udzie i rozciął rękaw nastolatka.

– Weź go za rękę, tak aby wasze żyły na przedramionach stykały się na całej długości – instruował. – Drugą rękę podaj mi w taki sam sposób. To ma być bardzo płytki poziom kontaktu. I odłóż złość na później. Ostatnie, czego nam potrzeba, to eksplozje mocy.

W takich chwilach żałowałam, że nie jestem człowiekiem. Zaczęłabym krzyczeć, płakać albo rzuciłabym się na niego z pazurami. W najlepszym

wypadku wpuściłabym go do swojego wnętrza i zmiotła jednym rozbłyskiem.

Niestety, ta nieludzka część mnie, uparcie racjonalna, wyciszyła się, wyłączyła emocje i zrobiła dokładnie to, co powiedział.

Umysł Li nie bronił się w żaden sposób. Przepłynął bezwolnie, jakby unosił się na fali cierpienia, samotności i goryczy. Tej czerni, którą widziałam w jego oczach, było tak strasznie dużo w środku.

– Wracaj do nas – rozkazał łagodnie głos Tymoteusza w moim wnętrzu.

– Za miesiąc – powiedział nastolatek i zaczęły przeze mnie przepływać urywane obrazy naziemnej części bazy rządowej. – Powinniście uderzyć za miesiąc. Będą świeżo po rekrutacji, a ich analitycy ocenią prawdopodobieństwo ataku na bliskie zero.

– Musisz być wtedy z nami – odparł Tymoteusz. – Obiecaliśmy sobie przecież, że wszystko naprawimy.

– Nie mogę, Tom. Już dłużej nie mogę i nie chcę. – Fala bólu uderzyła w nas z taką siłą, że ledwie zachowaliśmy kontakt mentalny. – Zabij mnie, A, proszę.

– Li, jesteście grupą, pamiętasz? – Szaman nie ustępował. – Ty, ja, Samuel i Mika mieliśmy zmienić cały świat, skoro nie mogliśmy siebie.

– A, proszę. Spal mnie. Mój umysł nie wytrzyma nawet małej dawki mocy. I tak przecież umrę, to tylko skrócenie cierpienia.

– Li, nie! – Krzyk Tymoteusza zabolął jeszcze mocniej niż cierpienie nastolatka. – Postanowiliśmy, że się nie poddamy, nawet kiedy nie będzie już nadziei, pamiętasz?

– Przepraszam. Nawet ja potrafiłem podjąć złą decyzję.

Umysł Li odpłynął wraz z nową emocją: żalem. Mogłam go zmusić, żeby został, ale nie zrobiłam tego, bo szaman również się wycofał.

Puściłam obu i otworzyłam oczy. Tymoteusz uderzył pięścią w podłogę. Nie patrzył na mnie.

– Kilka tygodni temu przepowiedział mi, że kiedyś go zabiję – wyszeptałam, nie podnosząc wzroku.

– A mnie, że zginę w waszej obronie po walce Samuela. On nie zna przyszłości, tylko jej możliwe wersje.

– Dlaczego tam poszedłeś? – spytałam zaskoczona.

– Gdzie?

– Dlaczego poszedłeś oglądać tę walkę, skoro miałeś zginąć?

– Bo Li powiedział, że wtedy wyjdziecie z tego cało.

*Znacznie gorzej* – przypomniałam sobie słowa nastolatka. Rozejrzałam się. *Zacznij myśleć, A, podobno jesteś mądrzejsza od nas.* Czy mogłam coś zrobić? Tak, i to tylko ja.

– Potrafisz przetoczyć krew? – Podniosłam się z kolan.

Chwilę patrzył na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

– Na ile to może pomóc?

– Nie oczekuj cudu – odparłam zgodnie z prawdą. – W najgorszym razie przedłuży mu cierpienie.

– Nie mogę drugi raz uzdrowić Li, moc i tak za bardzo go zmieniła, ale w laboratoriach Rządu znajdziemy dawną medycynę. Wystarczy, że utrzymamy go do tego czasu.

Wstał energicznym krokiem i ożywiony nową nadzieją wybiegł z chaty po potrzebny sprzęt.

*W laboratoriach Rządu znajdziemy* – dotarło do mnie po chwili, jak ciężki dowcip, który zaczyna się rozumieć z opóźnieniem.

\*

– Miesiąc – powtórzył po raz drugi Tymoteusz.

Siedzieliśmy w sali jadalnej. Nie było z nami Li, który po transfuzji przestał miotać się w konwulsjach, ale zapadł w śpiączkę, ani Marie, odizolowanej w chacie z niewolnicami Sępów.

Szaman rozciągnął na stole narysowaną atramentem mapę.

– Pierwszy zespół musi uderzyć na budynek elektrowni i dostać się do reaktora. Nie zaatakujemy trzydziestopoziomowej bazy z dawną technologią i szamanami. Odetniemy ich.

– Mają zapasowe generatory pod ziemią – wtrąciłam.

– Dlatego nie chodzi mi o zniszczenie elektrowni, tylko o stworzenie impulsu, który uszkodzi wszystkie urządzenia w obwodzie: windy, wejścia, systemy bezpieczeństwa, wentylatory tłoczące powietrze.

– Nie jestem pewien, czy... – zaczął ostrożnie Al.

– To jest możliwe – dokończyła za niego Mika i skryła się za pluszakiem, jakby nie potrafiła znieść faktu, że wszyscy na nią patrzą.

– Dopiero kiedy pierwszy zespół wykona swoje zadanie, możemy przystąpić do kolejnych faz – kontynuował Tymoteusz. – Po tej stronie bazy są pola uprawne i cywilna osada dla rodzin żołnierzy. Podpalimy ją. Zaklinając ogień, możemy w ciągu kilku minut stworzyć pożar, z którym nie będą sobie w stanie poradzić. Zajmie się tym drugi zespół.

– Masz garstkę ludzi przeciwko całej armii i chcesz ich podzielić na mniejsze grupki? – spytałam.

Wiedziałam, że nie powinnam podważać jego planu, a już na pewno nie przy wszystkich, ale rozumiałam też, że w tej walce to on potrzebuje mnie.

– Nie mam garstki ludzi, A – odparł spokojnie. – Z ludźmi bym nie wygrał. Dysponujemy lepszą bronią niż oni. Poza tym Sam i... ja skierujemy przeciwko nim moc.

Szmer zdziwienia przeszedł po sali. Czy niektórzy z nich naprawdę nie wiedzieli aż do tej pory?

– To nie będzie czysta gra – dodał szaman. – Ten jeden raz liczy się tylko zwycięstwo.

\*

Tymoteusz wszedł ze mną do pustej chaty.

– Słucham – powiedział od progu.

– Myślałam, że przyszedliśmy tu, żebyś nabrał mocy przed walką?

– Owszem, ale wolę się dowiedzieć, co masz do powiedzenia, niż zostać spalony przypadkowym rozbłyskiem. – Uśmiechnął się z przekąsem.

– Wiesz, co mam do powiedzenia, szczytałeś mnie – oświadczyłam spokojnie.

– Szczytałem tylko to, czego potrzebowałem. Wspomnienia związane z pobytem w rządowej bazie i ucieczką. Nic więcej.

– Skoro to tak niedużo, mogłeś poprosić, żebym przekazała ci je świadomie.

– Wiedziałem, że potrafisz oszukać szamana, bo inaczej nie udałooby ci się ukryć planów ucieczki. Nie mogłem ryzykować, że coś pominiesz z mniej lub bardziej obiektywnych względów.

– Powiedział ktoś, kto przez ponad dwadzieścia lat ukrywał swoją tożsamość przed wspólnotą – prychnęłam.

– Oskarżył ktoś, kto przez całe swoje istnienie nie potrafił przyznać się do tego, kim jest, nawet przed sobą – odparł.

Mierzyliśmy się przez chwilę wzrokiem. Uśmiechnęłam się paskudnie.

– Chcesz spalić cywilną część bazy? Kobiety i dzieci? To jest twój pomysł na ochronę dobra?

Zaśmiał się smutno.

– Naprawdę zdziwiłem się, kiedy to pytanie nie padło na zebraniu, a teraz zadała je ostatnia osoba, po której bym się tego spodziewał. – Spojrzał na mnie uważnie. – Nie jestem tym dobrym. Nie wiem, dlaczego pomyślałaś inaczej. Mam jednak zdolność empatii, której nie powinien mieć nikt zmuszony do życia między ludźmi, i przez te wszystkie lata zrozumiałem, ile jest w nich emocji. Wtedy zdałem sobie sprawę, że powinny nimi zarządzać istoty wolne od uczuć – kukielki.

– Mam uwierzyć, że szaman ryzykuje życie, aby oddać władzę w ręce kukielek?

– Nie, A. Masz uwierzyć, że razem możemy zwyciężyć.

– To szaleństwo – powiedziałam.

– Właśnie dlatego tak bardzo się tego nie spodziewają.

## ROZDZIAŁ 8

Schodziliśmy po zboczu pieszo, podzieleni na mniejsze zespoły, bo dużą grupę można było wypatrzeć z dołu. Zejście okazało się niebezpieczne i z każdym ostrożnie stawianym krokiem coraz lepiej rozumiałam, że góry stanowiły naturalną granicę, dzięki której Rząd nie musiał się obawiać ataku z zachodu.

Jedyna przełęcz przypominała wąskie gardło, pilnie strzeżone przez Sępy. W dodatku stok był dostatecznie stromy i eksponowany, by wykluczyć atak większego oddziału lub wykorzystanie ciężkiego sprzętu. Nawet konie trudno byłoby poprowadzić tym szlakiem.

Szliśmy przez kilka dni, ja, Mika i Samuel, powiązani liną, aby łąpać się nawzajem, gdy ktoś stracił równowagę. Nie rozmawialiśmy prawie wcale i nie mogłam pozbyć się z wrażenia, że jesteśmy tu zupełnie sami.

Rozsądek podpowiadał mi, że poszczególne zespoły ruszyły w równych odstępach czasowych, ale nawet z bliska nie mogliśmy ich wypatrzeć.

Płaszcz przebarwiliśmy na biało, na wypadek gdyby żołnierze obserwowali góry. Zgoliliśmy też włosy i uszyliśmy kopie rządowych mundurów, aby wtopić się w tło po dotarciu na miejsce.

Ilekcóż Samuel czy Mika ślizgali się lub potykali, a ja musiałam mocno wbijać w zbocze rodzaj malutkiej kosi, którą znaleźliśmy w narzędziowni Sępów, przypomiąam sobie, jak kruchy jest ten plan. Wystarczyło, aby jedno z nich skręciło kostkę albo nabawiło się zapalenia płuc, by cała strategia posypała się jak domek z kart.

Każdy zespół mógł zostać zastąpiony, tylko nie my. Nasza trójka musiała zejść na dół cała i zdrowa, a potem wykonać swoje zadanie. Byliśmy jedną kartą, na którą wszystko zostało postawione, jakby Tymoteusz wierzył, że każde z nas jest niezniszczalne.

Kolejny wieczór, kolejne kopanie jamy w śniegu twardym jak skorupa. Samuel zaklinał malutki płomyk, żeby podgrzać zamrożone jedzenie. Mika, milcząca i blada, obejmowała pluszaka, którego nosiła w plecaku obok karabinu i foliowego worka.

Nie mogłam spać, tylko przez całą noc nasłuchiwałam ich oddechów. Byłam pewna, że któreś w końcu zamrznie, zatrzyma się nagle. Czy mogłabym wtedy uratować jego albo ją? To zadziwiające, że przez całe swoje istnienie nie musiałam się o nikogo martwić. Do tej pory zawsze szłam sama.

W ciągu ostatniego miesiąca niebo stało się jeszcze bardziej znajome. Gdy uciekałam z tej bazy zupełnie inną drogą, używałam gwiazd jako zegarka i punktu odniesienia. Wnioskując z ich pozycji, byłam tu równo rok temu. Nie wierzyłam, że to przypadek, nawet jeśli Li podał zupełnie inne uzasadnienie wyboru tej daty.



Po czterech dniach zeszliśmy do linii lasu otaczającego ogrodzenie. Od świtu widzieliśmy to miejsce na horyzoncie. Po kilku godzinach marszu miałam jednak wrażenie, że baza bardziej się oddala niż przybliża. Kiedy wreszcie udało nam się osiągnąć cel, nie wiedziałam, czy powinnam odetchnąć z ulgą. Oznaczało to przecież, że zbliżyliśmy się do zagrożenia.

Wszystko, co nie było nam już potrzebne, zakopaliśmy na zboczu. Las był patrolowany rzadziej niż wewnątrz bazy, ale nawet pewne siebie wojsko zachowało rytuał sprawdzania całego terenu.

Po zmierzchu założyliśmy kombinezony posklejane z folii i zagrzebaliśmy się w śniegu. Czekaliśmy na odpowiedni układ gwiazd, bo żołnierze wyruszali na patrole zgodnie ze wskazaniem zegarka.

Kiedy rok temu leżałam tak sama, nie miałam foliowego kostiumu ani munduru uszytego z tego samego materiału, który miasto dostarczało armii. Miałam tylko biały, przesiąknięty krwią uniform, a skóra paliła mnie żywym ogniem, kiedy tkwiłam w lodowym grobie.

Na wszelki wypadek liczyłam w myślach od zachodu słońca, aby nie stracić zupełnie poczucia czasu, gdyby niebo zaciągnęło się chmurami. Po trzeciej w nocy wygrzebałam się na powierzchnię.

Zimno, tak potwornie zimno.

Musiałam to wyłączyć, nie myśleć o tym, że każda komórka mojego ciała protestuje przeciwko kolejnemu ruchowi. Przecież mnie z naszej trójki i tak było najłatwiej. Odnalazłam miejsce pod drzewem, gdzie zakopaliśmy Mikę. Mogliśmy zostawić jej tylko otwór na usta i nos. W przeciwieństwie do nas dziewczyna nie miała na sobie kombinezonu, lecz zwykły gruby worek. Wolałam nie myśleć o tym, czy wy dostałaby się sama, gdyby coś odcięło dopływ powietrza.

Ja nie martwiłam się tym, gdy uciekałam. Nie mogłam zamarznąć ani się udusić. Zaczęłam szybko odkopywać dziewczynkę. Na logikę

powinnam znaleźć już tylko jej ciało, lecz te myśli również odrzuciłam.

Kątem oka dostrzegłam, że Samuel gramoli się spod śniegu. Blady i zeszywniały, ale przynajmniej żywy. Pomógł mi odgrzebać Mikę i uwolnić ją z worka. Oddychała, otworzyła nawet oczy, lecz zaraz zwinęła się w kłębek, mocno przyciskając do siebie maskotkę, i płakała bezgłośnie.

Szaman pokazał mi na migi, żebym zaczęła już wyrównywać rozkopany śnieg. On przesunął dłońmi nad nastolatką, a potem objął ją mocno. Kiedy dałam znak, że możemy ruszać, wziął dziewczynę na ręce. Ja założyłam swój plecak a z przodu symetrycznie plecak Miki. Maskowałam nasze ślady, gdy szliśmy przez las tak szybko, jak tylko potrafiliśmy się poruszać skostniałymi z zimna.

Ogrodzenie było pod napięciem. Samuel położył nastolatkę i posłał mi spokojny uśmiech, połączony z zaniepokojonym spojrzeniem. Mika walczyła przez chwilę ze sobą, ale w końcu wyciągnęła drżącą dłoń i zacisnęła ją na metalowej siatce. Zauważalny dreszcz wstrząsnął jej ciałem.

Szaman bez chwili wahania wspiął się po ogrodzeniu i wyciągnął do mnie rękę, chociaż potrafiłam przez nie przejść bez pomocy. Musiałam to przecież zrobić nawet wtedy, gdy raziło prądem. Kiedy wylądowałam po drugiej stronie, Mika wstała i trzymając się kurczowo siatki, przeszła na teren obozu.

Nagle jej stan uległ gwałtownej poprawie, jakby w żyłach nastolatki zaczęła płynąć energia zamiast krwi. Wcale nie byłam pewna, czy tak się właśnie nie działo.

W tej chwili jednak ważne było tylko to, że znajdowaliśmy się na terytorium wroga, a gwiazdy na nieboskłonie już zdążyły się przesunąć. Pobiegliśmy na tyły elektrowni. W czasie zimowych nocy wartownicy

rzadko obchodzili budynek, tym bardziej że regularnie przejeżdżał tędy patrol.

Zacząłam szybko kopać dziury w zwałach śniegu odgarniętych przy odśnieżaniu drogi. Mika miała łzy w oczach. Samuel wyciągnął z plecaka szklaną butelkę i podał dziewczynce. Pociągnęła solidny łyk i zasnęła, zanim włożyliśmy ją do worka.

Nie byłam pewna, czy zastosowanie ziołowego specyfiku jest bezpieczne w tej sytuacji, ale balansowaliśmy na tak cienkiej linii, że niewiele rzeczy mogło jeszcze zmniejszyć nasze szanse.

Szaman pomógł mi przygotować dwa kolejne miejsca i również skorzystał z ziół, by zapaść w spokojny sen. Przysypałam go ostrożnie. Cały czas intensywnie się zastanawiałam, jak duży otwór pozostawić na usta, aby nie groziło mu ani uduszenie, ani zdemaskowanie.

Ja zagrzebałam się jako ostatnia, zostawiając sobie niewielką dziurę, by wpadało przez nią światło z zewnątrz. Kiedy znowu zapadnie zmrok, spróbuję ją poszerzyć. Tym razem czekała nas niemal pełna doba pod śniegiem. Czy będę miała kogo odkopać po tym czasie, skoro już kilka godzin tak źle na nich wpłynęło?

Bycie kukielką to również umiejętność stawania się przedmiotem. Uwolnienia się od emocji, myśli i poczucia czasu. Stałam się częścią zasy i chociaż zimno przenikało na wskroś, nic we mnie nie drżało. Aż do zachodu słońca trwałam w letargu, którego nie wywołały żadne zioła. Dopiero kiedy zaczęło się ściemniać, odważyłam się poruszyć, aby lepiej widzieć gwiazdy i słyszeć przejeżdżające patrole. Na początku wyszłam tylko ja. Nerwowymi ruchami zaczęłam zasypywać dziurę w zwale śniegu i omal nie przysypałam własnego plecaka. Odetchnęłam głęboko. Musiałam odrzucić strach.

Skostniałymi z zimna palcami wyciągnęłam metalową manierkę i pociągnęłam łyk mocnego alkoholu. Drapanie w gardle poprzedziło przyjemną falę ciepła. Zakręciłam buteleczkę i schowałam w plecaku biały foliowy kombinezon. Dopiero wtedy obudziłam Samuela. Nie pomogłam mu jednak wygrzebać się z lodowego grobu, tylko doprowadziłam do porządku swój rządowy mundur. Sztywny materiał i bandaże wokół piersi skutecznie ukrywały kobiecą sylwetkę.

Szłam spokojnie, wyprostowana, wzdłuż ściany budynku.

Plan zakładał, że nie powinnam nikogo spotkać, ale pęcherze żołnierzy nie działały tak idealnie jak rozkład patroli. Jeden z wartowników wyszedł z elektrowni i już rozpinał spodnie, gdy moja obecność w tym miejscu wydała mu się podejrzana.

– A ty co, młody? – spytał, wyciągając zza paska nieduży pistolet.

– Zgubiłem zegarek – powiedziałam, modyfikując tembr głosu na bliższy męskiemu. – Chciałem poszukać w nocy, żeby sierżant się nie dowiedział.

– Po ciemku? – Żołnierz zaczął się śmiać, ale jego dłoń wciąż obejmowała broń.

Nie mogłam pozwolić, żeby wystrzelił. Podeszłam powoli, ostrożnie, starałam się nadać twarzy i ruchom wyraz skrępowania, lekkiego zawstydzenia.

– Nie wiem, co się stanie, jak go nie znajdę. Podobno za takie rzeczy dostaje się przydział do wysuniętych jednostek w miastach... – Zawiesiłam głos.

Niewiele osób wiedziało, że rządowi przebrani za cywili szpiegowali w największych miastach i bardzo często ginęli anonimowo podczas takich misji. Duże gangi stanowiły zarzewie idei i buntów. Często na własny

użytek rozwijały myśl technologiczną, którą Rządy bardzo chciały kontrolować.

Żołnierz zastanawiał się przez chwilę.

– Dobra, młody, odleję się, a potem znajdziemy ci latarkę. – Spojrzał ostentacyjnie na swój przydziałowy zegarek. – Tylko się streszczaj, bo niedługo zastrzeli cię następny patrol.

Pokiwałam głową i zaczekałam cierpliwie, aż żołnierz poprowadzi mnie do budynku elektrowni. Pierwotny plan był inny i nie potrafiłam ocenić, czy w ten sposób pójdzie łatwiej, czy jeszcze trudniej.

Mężczyzna położył dłoń na czytniku linii papilarnych. Drzwi otworzyły się z cichym szumem. Zatrzymaliśmy się w progu, bo drugi wartownik mierzył do nas z karabinu. Procedura kazała w każdej sytuacji spodziewać się wroga, nawet jeśli do ataku nigdy nie doszło.

– Kto to? – burknął na mój widok.

– Młody zgubił zegarek. Miej go na oku, a ja poszukam latarki.

– Ładniutki – stwierdził drugi wartownik. – Niezłe wzięcie będziesz miał w gangu.

Przełknęłam ślinę, aby podkreślić, że jestem zbyt przestraszona, by uznać to za żart, i rozejrzałam się nerwowo. W wąskim korytarzu ledwie mieściły się trzy osoby i przyniesione – zapewne nielegalnie – skrzynie do siedzenia dla wartowników. Główną część elektrowni oddzielała od tego miejsca solidna metalowa ściana i drzwi z okrągłym kołem zamiast klamki.

Poczułam łagodne pulsowanie z tyłu głowy. Starłam się nie reagować.

– Nie strasz chłopaka – rzucił odwrócony tyłem sympatyczniejszy z żołnierzy.

Wartownik, który do mnie mierzył, promieniował lekką zieloną poświatą. Nagle zachwiał się i minimalnie opuścił broń. Wzrok miał coraz

bardziej nieprzytomny, a jego dłonie zaczęły drżeć i chociaż nie wypuścił z ręki karabinu, nie był już w stanie celować. Dopiero kiedy upadł cicho na ziemię, drugi żołnierz odwrócił się gwałtownie.

– Co... – Nie dokończył pytania, sięgnął po broń, ale nie dostrzegł żadnego napastnika, więc podbiegł tylko w naszym kierunku z wyciągniętym pistoletem.

Zmieniłam się w modelowy wzór strachu pomieszanego ze zdziwieniem i przyklęłam przy nieprzytomnym mężczyźnie. Samuel, wciąż ukryty w ciemności na zewnątrz, zaatakował drugiego wartownika. Żołnierz zemdlał od razu, ale moc otaczała go jeszcze przez chwilę, aż przestał oddychać.

Najpierw wyciągnęłam z plecaka naprawioną przez Ala broń dawnych ludzi, a potem przygotowane przez wspólnotę butelki wypełnione suszonymi ziołami. Straciłam kilka minut na odpalenie tradycyjnych zapalek i wrzucenie ich do środka. W tym czasie Samuel przyprowadził Mikę. Dziewczyna była odporna na działanie specyfiku, ale odruchowo przyciskała do ust pluszaka. Oczywiście maskotka w żadnym przypadku nie nadawałaby się na filtr.

– Drzwi – syknęłam, nim w gryzącym dymie dostrzegłam, że są zamknięte.

W tym momencie za oknem przejechał samochód. To był ostatni patrol przed świtem, czyli zostało nam bardzo niewiele czasu.

Mika położyła dłoń na panelu wejściowym, a po kilku uderzeniach serca wskazała na metalowe koło. Samuel odkręcił je z trudem. Miałam tylko chwilę na rozejrzenie się, gdy szaman skierował moc przeciwko kolejnemu wartownikowi, a ja jednocześnie wrzucałam do wnętrza hali butelki z usypiającym dymem.

Doliczyłam się ośmiu cywili na nocnej zmianie. Sama hala była podłużna, dwie symetryczne konstrukcje przypominające metalowe rury biegły aż do betonowej osłony reaktora. Elektrownia nie wydawała mi się duża. Nie potrafiłam ocenić, czy produkowała energię z mocy, czy z innego rodzaju magii dawnych ludzi.

Ostatnia butelka potoczyła się z głuchym łoskotem po betonie, a ja pobiegłam za nią, wypatrując cywili, którzy już stracili przytomność, i tych sprytniejszych, którzy skoncentrowali się na unikaniu gryzącego dymu.

Jednych i drugich musiałam zastrzelić, bo zioła działały szybko, ale niestety również krótko. Gdy uniosłam broń, nad lufą wyświetliła się siatka pokrywająca wszystkie sprzęty we wnętrzu hali, a sylwetki ludzi otoczyła zielona poświata. Przesuwając palcami po dotykowej powierzchni na kolbie, potwierdzałam cel. Zarys wybranej postaci stawał się czerwony. Strzał był już tylko formalnością.

Gdy dobiegłam do końca hali, usłyszałam za sobą kroki. Odwróciłam się na pięcie i rozpoznałam sylwetkę szamana. Prowadził za rękę drobną dziewczynę. Na plecach miał karabin, przypięty w taki sposób, że trudno byłoby mu go zdjąć, gdyby zaszła taka potrzeba.

Mika podeszła do otaczającej reaktor barierki oklejonej czerwoną folią i zawahała się. Niewątpliwie temu właśnie służyła ta barwa: uświadomieniu każdemu, kto się zbliży, że nie powinien już iść dalej.

– Zostaniecie przy mnie do końca? – spytała Samuela. – Bez względu na wszystko?

Uśmiechnął się, jakby to wciąż była zabawa.

– Pewnie, księżniczko, nie uwolnisz się od nas tak łatwo.

Dziewczynka skinęła głową. Spojrzała na przyciśniętą do piersi maskotkę i z pełną powagą oddała ją szamanowi.

– Dziękuję – wyszeptała, żeby ukryć drżenie głosu. – Nie będę go już dłużej potrzebowała.

Samuel wziął pluszaka do ręki i zamilkł.

Nigdy chyba nie czułam się takim potworem jak w chwili, gdy patrzyliśmy spokojnie na nastolatkę przekraczającą czerwoną barierkę, na drobne dłonie dotykające betonowej obudowy reaktora.

Huk wystrzału za naszymi plecami zagłuszył napływające z zewnątrz echo alarmu. Odwróciłam się. Broń sama zlokalizowała snajpera i tylko czekała na potwierdzenie. Przesunęłam palcami po uchwycie i zaakceptowałam jego śmierć.

Wszystko działo się tak wolno, że chyba mogłabym policzyć do stu, nim żołnierz upadł. Sprawdziłam jeszcze raz, jakie informacje na temat pomieszczenia wyświetlają się na obrzeżach trójwymiarowej siatki. Nikogo na horyzoncie, tylko jeden niewielki szczegół tuż obok mojej stopy. Zakrwawiony kłębek waty.

Samuel leżał na podłodze, a rozerwana na strzępy maskotka rozbryznięta się wokół jego piersi niczym śnieg. Przyklęknęłam obok i nawet ja zaklęłam na widok rany dokładnie na wysokości serca.

– Przeszła na wylot? – spytał słabym głosem.

Nie miałam pojęcia, po co mu ta informacja. Mogłam tylko powiedzieć, że na pierwszy rzut oka wyglądało to bardzo źle. Ściągnęłam kurtkę i przycisnęłam ją mocno do dziury po kuli, jakby była jeszcze nadzieja.

Zastanawiałam się gorączkowo, jaki powinien być mój następny krok. Nie reagować teraz jak człowiek, tylko jak kukielka. Wyciągnęłam spod Samuela karabin i położyłam obok niego swój pistolet – lżejszy, ale też częściowo rozładowany.

Rzuciłam okiem na Mikę. Stała wsparta dłońmi o reaktor, a smugi mocy biegły w górę po owalnej powierzchni. Aktywowałam karabin i



zlustrowałam halę. Na razie czysto. Nagle zgasły wszystkie LED-y.

Dziewczynka upadła na kolana, nie oderwała jednak dłoni od reaktora. Kątem oka wyłapałam błysk przy oddalonym od nas prostokącie wejścia. Jasne światła czołowych latarek omiatały pomieszczenie. Pochylona, przebiegłam między dziwnymi maszynami. Trzech mężczyzn weszło z podniesioną bronią i szukało nerwowo przeciwnika.

Pierwszego zdjęłam, zanim mnie zauważyli. Dzięki trójwymiarowej siatce nad lufą mogłam celować i poruszać się bez światła. Przypadłam do ziemi i wczołgałam się pod metalową konstrukcję. Zmarnowali kilka naboju, które tylko się od niej odbiły. Z poziomu podłogi zobaczyłam stopy jednego z nich. Strzeliłam w obie, a kiedy upadł, władowałam trzeci nabój w głowę.

Teraz ostatni z nich wiedział dokładnie, gdzie jestem. Zaczęłam pełznąć tak szybko, jak tylko potrafiłam. Usłyszałam ostrożnie stawiane kroki dokładnie nad sobą. Metal zdradzał pozycję żołnierza, ale też chronił go przed strzałem z dołu. Mężczyzna wiedział, że jest nade mną i albo ja się wychylę, albo on znajdzie sposób, żeby mnie zdjąć.

Najważniejsze, że wciąż zajmował się mną. Najwyraźniej nie zauważył jeszcze dziewczyny przy reaktorze. Mogło to oznaczać, że Mika leży już na ziemi.

Przypomniałam sobie manewr Samuela w bitwie na śnieżki. Odepchnęłam się mocno nogami i wyjechałam na plecach spod metalowej konstrukcji, próbując zatwierdzić strzał, jak tylko postać przeciwnika pojawi się na ekranie. Stał dwa metry na lewo od mojej aktualnej pozycji. Zdążył strzelić i chociaż poczułam rozdzierający ból, wiedziałam, że nie jest źle, skoro nadal mogę utrzymać karabin.

Wpakowałam dwie kule w jego głowę, mimo że drugi strzał nie był potrzebny, i zaraz poderwałam się na nogi, szukając następnego żołnierza.

Wyświetlacz nikogo już nie pokazywał. Nabój rozorał mi ramię, ale taka rana nie stanowiła istotnego problemu w walce.

Nagle na zewnątrz zawył alarm. Przez chwilę mierzyłam w stronę wejścia, jednak nikt się nie zjawił. Najwyraźniej nie chodziło o nas.

Pożar już wybuchł.

## MARK – CZAS OBECNY

Gdyby ktoś powiedział Markowi, że wstąpi do rządowej armii, ten obiłby mu gębę. Nikt nie lubił żołnierzy. Przyjeżdżali tylko wtedy, kiedy trzeba było zebrać podatki. Oczywiście mówiło się, że Rządy strzegą terytorium przed wrogimi siłami z zewnątrz, gwarantują miastom działanie linii energetycznych i wodociągów, a nawet pośredniczą w bezpiecznej wymianie najcenniejszych dóbr, takich jak leki albo wciąż używane technologie przodków. Co bystrzejsi jednak podejrzewali, że nie ma żadnego zagrożenia z za granicy, infrastruktura działa od lat, tak jak ją pozostawiono, a na pośrednictwie w transakcjach Rządy tylko zyskują.

W każdym razie Mark należał do dużej wspólnoty z tradycjami, w której nikt nie wierzył w bajki o tym, że ich miasto jest jedynym istniejącym, w lasach żyją zdiczali potomkowie tych, którzy uciekli przed cywilizacją, a niefiltrowana woda jest śmiertelnie trująca.

Urodził się w dobrze sytuowanej rodzinie, ale na tym jego szczęście się skończyło. Matka, wyniesiona przez wspólnotę niemal do roli świętej, zapewniła mu czternaścioro braci i sióstr. On w tej grupie niczym się nie wyróżniał. Pracował ciężko jak wszyscy, ale nie przejawiał szczególnego daru w żadnym kierunku. Kiedy dorósł, stało się jasne, że nie ma szans ani na wysoką pozycję w swojej wspólnocie, ani na małżeństwo z płodną kobietą.

Chociaż całe życie uczony był nienawiści do Rządów, które wyciągały tylko łapę po podatki, a nic nie dawały w zamian, to na dużym targu przystanął przed wozem naganiacza. Rząd oferował jedzenie, czystą wodę i inne dobra, których współczesny człowiek do życia potrzebował, ale nie zawsze mógł je sobie zapewnić. Mark wychował się jednak we wspólnocie, w której nie musiał się o to wszystko martwić. Już miał odejść, gdy usłyszał o małżeństwach z płodnymi kobietami.

Plotka, traktowana jak jedna z wielu bajek o przeszłości, głosiła, że Rządy potrafią leczyć z niepłodności. Co rozsądniejsi mówili, że gdyby to była prawda, to przecież wyleczyłyby wszystkich. Mark wtedy zgadzał się z nimi.

W tamtej chwili jednak... Pomyślał sobie, że ma szansę. Może niewielką, ale przecież lepsza niż żadna. Zaciągnął się w tajemnicy przed rodziną i wyjechał bez słowa pożegnania. Nie wątpił, że ustalili, co się z nim stało, i nie płakali po zdrajcy.

Podjął tę decyzję dziesięć lat temu i przeklinał ją każdego dnia aż do narodzin pierwszego syna. Później też oczywiście klął na swój los, ale przynajmniej przestał żałować, że opuścił własną wspólnotę. Miał żonę, cudownego szkraba, a nawet ciepły kąpiel, do którego czasem pozwalano mu wracać i wyobrażać sobie, że jest w prawdziwym domu.

To wszystko właśnie płonęło na jego oczach. Gdy usłyszał sygnał syreny alarmowej, był pewien, że zaraz się obudzi. Czym innym mógł być ogień, nienaturalnie szybko ogarniający cywilne budynki, jak tylko koszmarem?

Chciał zignorować rozkazy i biec przed siebie, w sam środek pożaru. Widział, że kilku szeregowców tak właśnie zrobiło pomimo nawoływań starszych stopniem. On nie mógł sobie pozwolić na ten luksus. Każdy doświadczony żołnierz pomyślałby, że tego właśnie oczekuje przeciwnik.

Mark ocknął się, szturchnięty przez towarzysza, i wziął się, podobnie jak inni sierżanci, do zbierania swojego oddziału. Zanim zdążyli uformować jakikolwiek szyk, wartownicy zaczęli strzelać w plecy tych, którzy pomimo rozkazów biegli w stronę pożaru.

Pomogło, ale Mark czuł, że coś w nim krzyczy coraz głośniejsze. A jeśli to zwykły pożar? Nieszczęśliwy wypadek? Czy ktokolwiek widział w ogóle wroga?

Podniósł do ucha kiepskiej jakości krótkofalówkę, jakiej musieli używać sierżanci.

– Oddział C7, ubezpieczenie magazynu z bronią – trzeszczał głos radiooperatora. – C8 elektrownia, C9...

– Centrum, podajcie pozycje wroga! – Mark zdziwił się, słysząc własny głos. Był pewien, że znacznie lepiej nad sobą panuje.

– Nie znamy pozycji wroga, baza główna nie odpowiada, C7 magazyn, to rozkaz! – wypluła krótkofalówka.

Mark skinął głową, chociaż nie miało to najmniejszego sensu.

– C7, ubezpieczenie magazynu! – krzyknął głośno.

Pobiegli w tamtą stronę.

*Baza główna nie odpowiada* – zabrzmiało jak echo w głowie sierżanta. W ciągu dziesięciu lat uczestniczył w setkach manewrów i ćwiczeń. Również takich, podczas których jego towarzysze ginęli naprawdę. Scenariusza, w którym następuje utrata kontaktu z podziemnymi geniuszami, zupełnie sobie nie przypominał.

Przypadli do ścian magazynu, otoczyli budynek, sprawdzili jego wnętrze. Wszystko w najlepszym porządku. Czekali, lecz wróg nie nadchodził.

Łuna ognia na horyzoncie nie pozwalała się skupić, a Mark coraz lepiej rozumiał, że powinien się skoncentrować. Tylko wspomnienie żony i

synka nie pozwalało się zepchnąć na drugi plan.

Krótkofalówka wypluwała rozkazy dla kolejnych oddziałów. *Dlaczego nikt nie atakuje? Przeciwnicy tracą najcenniejszy czas, tę krótką chwilę chaosu, o którą musiało przecież chodzić podpalaczowi. Jeśli w ogóle tam są.*

– Przy elektrowni... – Krótkofalówka wyskrzeczwała urwany, niewyraźny meldunek.

Daleko stąd, ale Mark i tak oparł palec na spuście. Wróg jednak nadal nie nadchodził.

Rozbłysk.

Chwila, nim fala biegnąca od centrum wybuchu dotarła do ich pozycji, musiała trwać krócej niż uderzenie serca i Mark nie wiedział, jakim cudem zdążył sobie zadać pytanie, czy lepiej było zostać we wspólnocie i nigdy nie mieć prawdziwej rodziny, czy mieć wszystko i teraz to utracić.

## A – PIĘTNAŚCIE MINUT WCZEŚNIEJ

Pobiegłam pochylona w kierunku reaktora. W ciemności dostrzegłam ich dopiero z bliska. Oboje leżeli na podłodze. Moja zakrwawiona kurtka zsunęła się na ziemię.

– Zabierz stąd Mikę – wyszeptał Samuel, gdy zbliżyłam twarz do jego ust, by sprawdzić, czy w ogóle jeszcze oddycha.

Powinnam spytać, po co, ale ponieważ jemu również nie mogłam pomóc, zajęłam się dziewczynką. Jej serce biło równym rytmem. Nie wiedziałam, jak to się stało, lecz była w dobrym stanie. Na tyle, na ile mogłam ocenić jej parametry życiowe, straciła tylko przytomność.

Przeciągnęłam nastolatkę na bezpieczną odległość od reaktora i po chwili namysłu wepchnęłam ją pod metalową konstrukcję. Miała duże

szanse na to, że nikt jej nie znajdzie, przynajmniej do końca tej bitwy. Wróciłam do Samuela.

– Pomóż mi wyjść – poprosił. – Mam jeszcze jedną rzecz do zrobienia.

Zamknęłam oczy, co w ciemności, która nas otaczała, nie miało najmniejszego sensu. Powinnam mu na to pozwolić, jeśli istniał chociaż cień szansy, że da radę ostatnim wysiłkiem wyrzucić z siebie moc.

– To dosyć daleko – powiedziałam ostrożnie. – Dasz radę przejść taki odcinek?

– Będzie ciężko – przyznał. – Ale udało mi się zregenerować komórki serca, reszta musi poczekać.

– Jak... – zaczęłam i nie mogłam z siebie wykrztusić nic więcej.

– Jak to możliwe, że się nie zorientowałaś? – spytał cicho. – Też nie wiem. Widziałaś nienaturalną zdolność regeneracji i fatalny sposób dobierania mimiki do sytuacji. Powinnaś wiedzieć.

Tak, powinnam. Gdyby choć przez chwilę przeszło mi przez myśl, że to możliwe. Gdybym była dostatecznie kreatywna, by w ogóle wyobrazić sobie krzyżówkę szamana z kukielką. Mój wzrok odruchowo powędrował w stronę blizny na przedramieniu Samuela. Wcześniej nie zauważyłam, że częściowo starła się w trakcie naszej wędrówki. Nie była prawdziwa.

Jęknął, kiedy spróbowałam go podnieść. Na wpół ciągnęłam, na wpół niosłam cięższego od siebie mężczyznę. Nie wiedziałam, czy Mice udało się rzeczywiście zablokować wyjście z podziemnego ośrodka i czy walka na zewnątrz nadal trwa. Mogło się zdarzyć całe mnóstwo nieprzewidzianych rzeczy, których nawet mój logiczny umysł nie dałby rady przeanalizować.

Właśnie dlatego musieliśmy dociągnąć to do końca.

– Rozbierz mnie – wyszeptał Samuel, gdy doszliśmy do przedsionka wartowników. – Moc, którą mam, za szybko by się skończyła, muszę ją

przepuścić przez siebie.

– Nie dasz rady! – krzyknęłam, choć stałam obok niego.

Chwila, gdy nikt nie wchodził do budynku elektrowni, trwała już niebezpiecznie długo.

– Dam – powiedział.

Chciał coś dodać, ale nie miał już siły, więc tylko się uśmiechnął. W jego oczach widziałam strach. Czasu było zbyt mało, żeby się zastanawiać. Złapałam nóż i rozcięłam jego mundur, szybko ściągnęłam koszulkę i objęłam go mocno, nie zważając na krew, wciąż sączącą się z rany.

Świt oślepił mnie, gdy wypęzliśmy na zewnątrz. Pożar, który szalał na horyzoncie, wyglądał wręcz niesamowicie.

Samuel wyciągnął przed siebie dłoń. Zalała mnie fala czystego, fizycznego bólu. Jadący w stronę pożaru samochód eksplodował. Ktoś zaczął do nas strzelać, ale kule odbijały się rykoszetem od sfery mocy i leciały w nadbiegających żołnierzy. Potem wszystko znikło.

Jesteśmy w domu wspólnoty, stoję w lustrzanym pokoju i widzę siebie oczami Samuela. Obraz nie różni się od tego odbitego w podłodze. W jego oczach nie staję się piękniejsza ani odmieniona. Tylko prawdziwa ja.

*Spokojnie* – pomyślałam, starając się zachować świadomość. – *Niepotrzebnie wychodziliśmy na zewnątrz. Jesteśmy blisko reaktora, to przecież logiczne...*

## MARK - NIEOKREŚLONA LICZBA GODZIN PÓŹNIEJ

Mężczyzna nie był pewien, kiedy się ocknął i czy w ogóle. Ból. Na pewno było coś jeszcze, o czym powinien teraz pomyśleć, ale nie potrafił.

Ból. Ktoś chyba stał obok niego. Przyjaciel? Wróg? Złudzenie?

Mark poruszył się i jęknął przeciągle.

– Dobij mnie – wychrypiał.

To był chyba jego ostatni cud.

– Przepraszam – powiedział głos w ciemności, zbyt przepełniony żalem jak na wroga.

Potem bolało mocniej, ale już tylko przez chwilę.

## DAG – SIEDEM MIESIĘCY PÓŹNIEJ

Dag przejechał dłonią po krótkich włosach. Nadal nie przyzwyczał się do braku dredów i coraz mniej był pewien, czy ściąłby je, gdyby mógł podjąć tę decyzję po raz drugi. Wszystko wtedy potoczyło się tak szybko, że nawet nie mieli czasu się zastanowić. Nigdy by nie powiedział, że tak łatwo będzie mu postąpić wbrew sobie.

Wziął wiaderko z farbą i wszedł z powrotem na drabinę. Malował błękitne niebo z obłokami na okrągłym suficie sali, w której zbierała się rada poprzedniego Rządu. Tutaj nie znaleźli nikogo, ale Dag nie mógł pozbyć się wrażenia, że cały podziemny kompleks przesiąkł zapachem śmierci. Mika do tej pory przemierzała korytarze i meldowała o odnalezionych zwłokach.

Kiedy mężczyzna dowiedział się, że nastolatka przeżyła wybuch, lecz przypłaciła to utratą swojego daru, pomyślał, że teraz będzie mogła stać się normalną dziewczynką. Ucieszył się nawet, jako jedna z niewielu osób. Dziś rozumiał, jak bardzo się pomylił.

Mika doroślała. Można było odnieść wrażenie, że z każdym kolejnym miesiącem odzyskiwała jeden stracony rok. Wyrastała jednak na kogoś, kogo Dag nie chciałby spotkać, spacerując samotnie po rządowej bazie.



Jeszcze tylko kilka pociągnięć pędzla. Zszedł na dół i spróbował ocenić swoje dzieło. Po lewej trzeba poprawić. Metalowa drabina zatrzeszczała, gdy przeciągał ją po podeście.

Przejmując bazę Rządu Rodanu, zyskali wiele cennych narzędzi i dokumentów. Zachowały się też – a może powinien powiedzieć „przeżyły” – kukiełki, które były analitykami. Jedna z nich istniała za czasów dawnych ludzi i potrafiła odpowiadać na pytania, których Dag nie umiałby nawet zadać.

Ogromna część technologii usmażyła się jednak wraz z impulsem wygenerowanym przez Mikę. Dopiero niedawno Alowi udało się uruchomić część wentylatorów tłoczących powietrze pod ziemię, ale na wiele pięter ludzie nadal nie mogli wejść bezpiecznie. Może to i lepiej.

Dag zszedł jeszcze raz z drabiny i próbował ocenić malowidło. Poprawki, nie lubił poprawek. Zawsze wychodziło nie tak, jak powinno – ani gorzej, ani lepiej.

– Kończysz? – spytał kobiecy głos, tak nagle, że mężczyzna aż podskoczył.

– A, wystraszyłaś mnie jak cholera. – powiedział. – Co o tym myślisz? Wygląda jak prawdziwe niebo?

– Jasne! Jest super! – zawołała z szerokim uśmiechem.

– No dobra, a teraz naprawdę – dodał, przyzwyczajony już do tego, że pierwsze reakcje dziewczyny były często dopasowane do sytuacji i oczekiwań pytającego.

– Naprawdę nie powinieneś pytać kukiełki, co sądzi o obrazie – odparła obojętnie.

– No tak. – Uśmiechnął się pod nosem.

Musieli nauczyć się nowego porządku. Jeszcze niedawno Dag żył w przekonaniu, że wszyscy wokół niego są ludźmi, a przynajmniej tak

powinni być traktowani. Teraz powoli oswajał się z faktem, że kukielki siadają przy wspólnym ognisku albo że Tom i Sam nie grają już z nimi w piłkę.

– Byłaś u Li? – spytał cicho.

– Tak, Tymoteusz chciał z nim porozmawiać – powiedziała, zbierając jednocześnie wstążką rozrzucone na ramionach włosy.

Kiedy znaleźli po wybuchu ciała jej i Samuela, tylko Tom potrafił potwierdzić, że to oni. Jako jedyny też nie zwymiotował na ich widok. Odbudowa wszystkich tkanek zajęła dziewczynie trzy miesiące. Sam najwyraźniej nie był w tym tak dobry, bo do tej pory nosił ślady po oparzeniach, nad którymi „musiał jeszcze trochę popracować”. Oboje przywrócili sobie jednak dawne fryzury, czego Dag odrobinę im zazdrościł.

O tym, że szamani i kukielka nie odczuwali wyrzutów sumienia po tym, co się stało, i nie potrzebowali ziół, żeby zasnąć spokojnie w nocy, Dag wolał nie myśleć. Musiałby wtedy znienawidzić ich albo siebie.

– Co z nim? – Nie był pewien, dlaczego ściszył głos.

– Pytał o Marie – odpowiedziała i udała smutek.

Marie odeszła, choć Tymoteusz starał się ją zatrzymać. Dag na początku podziwiał ją za tę decyzję. Kobieta uznała, że przekroczyła pewną granicę i nie będzie mogła pozostać dobrym człowiekiem, jeśli nie znajdzie się po właściwej stronie – w tym przypadku ogrodzenia dookoła naziemnej bazy Rządu.

Miała rację i Dag uznał to w pierwszej chwili za wielką odwagę: pozostać wiernym sobie i ochronić swoje wartości za wszelką cenę. Jak to pięknie brzmiało! Tylko kiedy się dłużej się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że Marie jest tchórzem. Ciężka na nich odpowiedzialność, właśnie dlatego, że byli dobrymi ludźmi, mieli uczucia i wartości, których

brakowało osobom takim jak A. Powinni korzystać z faktu, że szamani wciąż liczyli się z ich zdaniem.

– A on? Jakie są szanse na to, że będzie lepiej? – spytał cicho.

– Jest lepiej. – A wzruszyła ramionami. – Al ciągle pracuje nad odzyskaniem aparatury medycznej, która pozwoliłaby nam utrzymywać ciało w dobrym stanie, ale Li uważa, że śpiączka mu odpowiada. Uciekł od świata. Jego umysł powoli urządza się w swojej własnej rzeczywistości.

Dag skinął głową i posłał dziewczynie wymuszony uśmiech. Nie rozumiał. Nie tylko teraz. Najbardziej bolało go to, że nigdy ich nie rozumiał: Li, Miki, Toma i Sama. Nawet nie podejrzewał, jak bardzo musieli cierpieć we wspólnocie, która jemu wydawała się idealna.

– Mam cię odtransportować na górę, bo Samuel chce wieczorem zorganizować tańce i potrzebuje gitarzysty – powiedziała A wesoło.

Dag uśmiechnął się pod nosem. Może nie wszystko się zmieniało. Pozamykał puszki z farbą i poszedł za dziewczyną do szybu. Zaczęli wspinać się po drabinie.

– Wiesz, A, sądziłem, że nie lubisz tańczyć – droczył się z nią.

– Nigdy nie tańczyłam dla siebie. Może lubię, tylko jeszcze o tym nie wiem.

## EPILOG

Pierwsza plotka, która obiegła duże miasta zachodniej Europy i wysunięte posterunki, mówiła, że Rząd Rodanu wciąż korzystał z technologii przodków i podobnie jak oni poniósł dotkliwą karę.

Druga twierdziła, że za wybuchem elektrowni stała grupka szaleńców, którzy zginęli podczas ataku.

Trzeciej nie było.

Nowy Rząd powoli lizał rany. Szczęśliwie Tymoteusz w porę przewidział mój ruch i wycofał większość ludzi ze strefy rażenia. Straty po naszej stronie okazały się minimalne.

Wymieniliśmy z pozostałymi Rządami zapewnienia o nieagresji. Nikt nie przejmował się miejscowymi walkami o władzę, dopóki nowi aktorzy na scenie przestrzegali wspólnych zasad. Oczywiście do czasu, aż Rządy nie dowiedzą się, że nie tylko ludzie biorą udział w ich grze.

We wrześniu wysłannicy naszego Rządu zebrali podatki w zarejestrowanych osadach i miastach, a w grudniu zaczęliśmy planować pierwszy nabór do oddziałów naziemnych. Nie potrzebowaliśmy gwałtownych zmian. Mieliśmy dużo czasu, by odkryć, jak wyciągnąć świat z pudełka, w którym się znalazł.

Świat w pudełku

Copyright © Katarzyna Rupiewicz

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Bernadeta Leśniowska-Gustyn

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2018 r.

druk ISBN 978-83-7995-134-5

epub ISBN 978-83-7995-135-2

mobi ISBN 978-83-7995-136-9

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Anna Kańtoch

Korekta: Marta Kładź-Kocot

Ilustracja na okładce: Bernadeta Leśniowska-Gustyn

Skład, typografia i digitalizacja: proAutor.pl

Projekt okładki: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach [www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)

[www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)